

**Kathy Lette**

# **Intymne dziewcząt sekrety**

*Przełożyła Barbara Cendrowska-Werner*

*Dla Kima*

*I dziękuję wszystkim moim kumplom i kumpelkom – zwłaszcza Alowi, Carze, Lizie, Jen, Penowi, Ang, Catho, Morderczemu Koali, mojej Mamie, H. B., Humphowi, Alison, amatorom wodorostów, przygłupkom, bandzie włochatych miśków i Penny za jej rewelacyjną redakcję.*

Ma przyjść o siódmej. Obiecał. Nie trać głowy. Zachowuj się jak gdyby nigdy nic. Leci na twoją osobowość, powtarzasz sobie, gdy szorujesz pumeksem palce u nóg, wyciskasz węgry pod parówką, golisz pachy, rozjaśniasz włoski nad górną wargą i nakładasz maseczkę organiczną, składającą się z ogórka, miodu, jogurtu i białek. „Trzeba dbać o cerę, Deb” – twierdzi Julia.

6.00. Twoja twarz zaczyna fermentować. Stoisz jak słup na środku pokoju. Bąbelki pękają z cichym trzaskiem. Grog! Julia powiedziała, że czerwone wino potrzebuje niesłychanie długiego czasu, żeby zaczęło oddychać. Wydłubując resztki korka, mówisz sobie, że powinnaś wziąć się w garść. Oddychać? Co to jest? Atak astmy? Walnij pięścią koło inhalatora.

Rzuć okiem na etykietę. Boże drogi! A jeśli się zorientuje, że kupiłaś je w promocji, że to bezwstydnie tanie wino kalifornijskie za jedne 4,99 dolara, do którego dołożono jeszcze paczkę precli? Pamiętasz, jak ci opowiadał w windzie w pracy o swoim wyczulonym podniebieniu, że potrafi wskazać winnicę, gatunek winogron, rodzaj gleby... pewnie nazwisko zbierającego. „Większość mężczyzn, Debbie – wywodziła Julia przy drugim śniadaniu – uważa, że kobiety nie znają się na winach”. Naciągasz na siebie ogromne swetrzysko i gnasz do pubu na rogu. Dopiero gdy chcesz poprosić o dobre białe wytrawne i nie możesz poruszyć ustami, przypominasz sobie, że masz maseczkę. Białka stwardniały na cement. Gorzej niż jajogłowy, jesteś ludzkim omletem.

Usiłując nie rozmazać lakieru „Namiętność Malibu”, pozwalasz, by podłe wińsko wysunęło ci się z rąk i zakończyło żywot na chodniku. Połowa twojej cholernej tygodniówki. Usiłujesz wcisnąć je z powrotem do butelki chusteczką.

6.30. Oj dobra, jeśli żarcie będzie pierwsza klasa, nie zwróci uwagi na jabola. W końcu, tędy wiedzie droga do serca mężczyzny... Choć nie jest to dokładnie ta część anatomii, która cię interesuje. „Chłopie, jeśli czegoś nie zrobisz, i to szybko, koniec z nami”. Kerrie potrzebuje bardzo dużo czasu, żeby dojść do sedna. Ale jej nie zależy, ma całą masę klasycznych przystojniaków. Byłoby super wreszcie pochwalić się facetem podczas wspólnego wypadu z dziewczynami.

Najedzenie machnij ręką, za to posmaruj swój krążek domaciczny maścią plemnikobójczą. Drętwieje od niej język, ale jeśli już tak daleko się zaponiesz, nie będzie czasu, by robić skryte safari w poszukiwaniu jego blizny po wycięciu nasieniowodu. „Penetracja stanowi część gry wstępnej”, perorowała Kerrie, jedząc swe wyjątkowo pożywne płatki. A zatem twój krążek leży na nocnym stoliku pod

spienionym białym kocem plemnikobója.

Po walce z wyciskaczem czosnku, który dodajesz do duszonego awokado z pomidorami i cebulą, pożerasz całą michę fasoli. Uuch! Opychając się, przypominasz sobie ostrzeżenie Kerrie – nie jedz niczego, co powoduje zaburzenia żołądkowe. „Opij się wodą – wtedy nie dojrzy w tobie pożądlivego, popierdującego, żarłocznego stworzenia, którym naprawdę jesteś”. Przysięgasz, że będziesz jadła tylko jogurt, aż twój język zacznie się zsiadać. Gdybyś była jedną z tych olśniewających piękności, które skubią listki sałaty i wyglądają, jakby miały na głowie ważniejsze rzeczy...

Z tyłkiem wypiętym do lustra zerkasz na niego przez ramię.

Rzygać się chce! Uuch! Nie dość, że opaliłaś się nierówno, leżąc cały dzień na desce, to jeszcze twoim dupskiem można by grać w kręgle... ale jeśli twój zadek stanowi problem, to co z twoim umysłem? Justin ukończył studia dziennikarskie z najwyższymi ocenami. Żeby z nim porozmawiać, trzeba by sprzętu do nurkowania głębinowego. Rozmawiać? Rozmawiać. A niby o czym? Wczoraj na kolacji u Julii wszyscy goście siedzieli przy stole, nawijając o zawartych transakcjach, ostatnich przedstawieniach teatralnych, teoriach ekonomicznych. A najbardziej interesującym wydarzeniem w twoim życiu z ostatniego tygodnia było przekłucie sobie uszu. Przekręcasz głowę na drugie ramię i znowu gapisz się w lustro. Dlaczego? Dlaczego urodziłaś się z wielkim zadem i niskim czółkiem? Ulotniłaś się ze szkoły, gdy miałaś szesnaście lat, cztery lata temu, więc nie wybijas się jako intelektualistka. A on skończył nauki humanistyczne i ma dyplom z dziennikarstwa. Jedyne cytaty z Szekspira, jakie znasz, pochodzą z kalendarza na biurko. Masz doktorat z kalendarzy na biurko. Wciśnij się w te opinające majtki i dzinsy o dwa numery za małe. Justin jest Intelektualistą. Odróżnia Irak od Iranu. Teraz odcięłaś sobie krążenie w obu obciśniętych nogach. Twój ostatni chłopak, świr na punkcie komputerów, który bez przerwy jarał maryhę, zerwał z tobą, bo uznał, że jesteś niepiśmienną amatorką surfingu. Gorączkowo zaczynasz ćwiczyć spontaniczny dialog. Sytuacja w Nikaragui? Gwarancje bezpiecznego składowania odpadów nuklearnych? Fluoropochodne węglowodorów pod ciśnieniem?... Dasz sobie z tym radę. Kogo obchodzi, co myślą chłopcy. Grunt się nie przejmować. Nie jesteś analfabetką. Twoi starzy byli po ślubie, kiedy się urodziłaś.

6.45. Schowaj pod łóżko deskę surfingową, kostiumy do nurkowania i maryhę w doniczkach. Chyba nie chcesz, żeby uważał, że ćpasz. Zauważyłaś, że kwiaty w twoim domu martwią się tym. Julia uważa, że powinnaś rozmawiać ze swoimi

roślinami doniczkowymi... O kurczę! Już prawie siódma. Powiedz swoim roślinom, żeby same ze sobą pogadały.

7.00. Po co w ogóle zawracać sobie głowę hodowaniem roślin w domu? Za toaletą wyrastają jakieś nieprawdopodobne, nieznane uprawy, o które zupełnie nie dbasz. Miotasz się po mieszkaniu, chowając i uprzątając, co się da. Wyciągasz zdechłe złote rybki sitkiem od herbaty i spuszczasz je do zdezynfekowanego grobu w kibelku. Zamierzasz robić niewymuszone żarciki, jak to twoje zajmowanie się domem ogranicza się do nawarzenia sobie piwa i bzykania po kątach.

7.5. Zauważyłaś w swojej szklance dwie szczoteczki do zębów. Jakiś misiek z dawnych czasów zostawił tę wyliniałą zębową pamiątkę, którą pewnie przekopywał ziemię w doniczkach z marihuaną. Boże! Pomyśli, że masz Innego. Albo Innych. Potem będzie się zastanawiał, co oni złapali. Na przykład opryszczkę. Schowaj szczoteczkę na dnie kosza.

7.6. Owiń celofanem świetlówkę na suficie. Wysącz drugi dzin z tonikiem. Westchnij. Tak, teraz wszystko wygląda dużo bardziej romantycznie.

Choroby... Ty na pewno nie jesteś chora. A on? Jak delikatnie poruszyć ten temat? Julia ostrzegła cię, że wszystkich facetów trzeba dokładnie zbadać, zanim rozpocznie się z nimi jakieś cielesne igraszki. Jeśli wyrwiesz się z namiętnego uścisku, rozsuniesz mu nogi i zaczniesz go oglądać, pomagając sobie halogenową latarką, możesz trochę zepsuć romantyczny nastrój. Zdejmujesz celofan ze świetlówki i chowasz go do worka na ubrania.

Głębokie oddechy. Zachowaj spokój. Ommm... Ommm... Ommm... Myśl o czystych, jasnych powierzchniach. Puste przestrzenie. Nicość. Nicość! Gwałtownie otwierasz oczy. Patrzysz na swoje mieszkanie, jakbyś widziała je pierwszy raz. Co ono o tobie mówi? Powiada: czyste, jasne powierzchnie. Puste przestrzenie. Nicość. Dlaczego nastroju i uroku nie można dostać w rozpylaczu?

7.30. Rusz się. Weź całe naręczce książek Julii i rozłóż je dookoła. Trochę poezji w kibelku będzie dowodem twojej wrażliwości. Jakies dziełko psychologiczne koło telefonu, by zasugerować głębie. Na podręcznym stoliku uczone tomiszczka, by miał wrażenie, że twoje Prawdziwe Ja jest absolutnie wyjątkowe. (Gdybyś jednak rzuciła okiem na tytuły, to głoszą one: *Wypchaj swój budżet* oraz *Co twój pępek mówi o tobie*).

Ale przecież nie chcesz, by dostrzegał w tobie wyłącznie sam intelekt. Mężczyzna, który ma półtora mózgu przeciętniaka, doceni kobietę kochającą estetykę. Na rany Chrystusa... Buszujesz w zbiorach płyt Julii. Ma przyjść o siódmej. Obiecał. Jeśli się pospieszysz, zastanie cię słuchającą akurat 21. symfonii Glucka na trójkąt i renesansową harfę.

8.00. Pan Punktualność-plus... Musieli go zatrzymać w redakcji. Tak! Skarżył się ostatnio w stołówce, że jakaś biurwa zrobiła bałagan w archiwum. Nie bądź upierdliwa. Powstrzymaj chęć zatelefonowania. Wychłęcz swój Dż z T i niedbale przeglądaj bogato ilustrowaną księgę na temat wypasania kóz rasy angorskiej. Zamknij ją z trzaskiem. Co ty do cholery wiesz o kozach? Spojrzenie na pokój wywołuje u ciebie atak paniki. A jeżeli to, co ty uznajesz za nieodparcie ekscentryczne, w jego oczach będzie świadczyło, że jesteś rąbnięta? Ciskasz się po mieszkaniu, zgarniając przemyślnie poumieszczane książki. Naucz się pleść Kompletne Bzdury: kto idzie w górę, jak komu leci w pracy, różnice genetyczne – ćwicz zwijanie boków języka do środka.

8.30. W dobrym tonie spóźnić się.

9.00. Nie tak znowu cholernie szykownie. Ile czasu można grzebać w stosie fiszek? Dobrze zorganizowane archiwum oznacza po prostu, że gubisz teczki alfabetycznie. Zeskakujesz z krzesła. Jezu! Nie chcesz się przecież po prostu opieprzać, kiedy on przyjedzie. Niech nie myśli, że nie masz nic do roboty. Albo że zmuszasz innych, by za ciebie robili. Biegniesz do łazienki i wyciągasz z kosza zużytą szczotkę. Justin jest prawdziwym buntownikiem i mięśniakiem. Lubi, żeby jego kobiety były szalone. Zrób bałagan. Wetrzyj z powrotem trochę brudu w płytki w toalecie. Rozrzucić pościel.

Kerrie ostrzegła, że pierwszy raz w łóżku z nowym facetem to zawsze niewypał. Na ile przedwczesny może być wytrysk? Jeszcze tutaj nawet nie był... Śmierdzi, jakby coś się paliło. Pod gorącym światłem lampy na nocnym stoliku krążek domaciczny roztopił się i popękał na blady gumowy placek pszenny.

10.00. Opadasz, niczym worek na ubrania, zawierający tylko małe polistyrenowe bąbelki. Co jest takiego fantastycznego w intelektualnych gadkach? Wykańczają człowieka. Masz gdzieś rozmowy przy kolacji, do których rozszyfrowania potrzebujesz encyklopedii i słownika. Odkąd Julia okazała się od

ciebie lepsza w pracy dziennikarskiej jako reporterka z zawodów surfingowych i przeniosłaś się do Darlinghurst, twoje rozmowy prowadzone były na klęczkach: „Poszedł na maksa?”, „Zadziwiająca!”, „Nie do wiary!”. Ale jeśli zwracasz się do kostek lodu w swojej szklance, formuły paliwa do pocisków Exocet oraz nazwy toksycznych cząsteczek w płucach chorych na gruźlicę cieląt, nie przychodzi ci do głowy.

Odpowiedź nagle okazuje się oczywista. Znajomi Julii zakuwają, by błyszczeć na przyjęciach. Zachłannie pożerają wszelkie słowniki. „Jeremiada ma zdecydowane insynuacje ikonograficzne, epistemologiczne i solipsystyczne”. Intelktualizując – zwracasz się do duszonych warzyw – mówisz więcej, a masz na myśli mniej. Wydobądź się z tych džinsów. W tym rozmiarze możesz albo wyglądać odlatowo albo oddychać. Obu naraz się nie da. Justin to dupek. Nie ty. Wywijając się z obciskających majtek, postanawiasz dać sobie spokój z dietami i poddać jednej z tych operacji, w której wycinają nadmiar tłuszczu. No wiesz, labottomia.

10.30. Koisz swą rozpacz miłą duszonych warzyw, utwierdzając się w przekonaniu, że te cienkie jak prele panny w restauracjach nie mają pożywki dla umysłu. Z braku komórek mięśniowych są zbyt wycieńczone, by podnieść widelec.

11.00. Wypróbujesz nowe tematy do rozmowy: statystyka samobójstw samotnych kobiet, radykalny celibat, lesbijskość. Nastawiasz płytę z piosenką Tammy Winnette w stylu *country and western* o kobiecie całkiem samotnej i niekochanej. Używając szczotki do włosów jako mikrofonu, wyginasz się przed lustrem. „Nawet nie zadzwonił” – gruchasz jako drugi chórek. A złote rybki nawet nie spłynęły. Pływają, porzucone, w misce klozetowej.

11.30. Kryje się w tym pewna ironia – powiadasz swemu dziesiątemu dzinowi z tonikiem. Subtelna ironia, zwierzasz się jedenastemu. Przesubtelniona ironia, zwracasz się do dywanu, na którym twoje ciało znalazło przypadkowe schronienie.

Wskazówki zegara pokazują północ. Miał przyjść o siódmej. Obiecał.

Nakręć jego numer domowy. Nie bądź naiwna. Przygotuj się na głos Innej Kobiety. W słuchawce słyhać głos mężczyzny. Idiotka. Mamy lata osiemdziesiąte. Za każdym mężczyzną, który robi karierę, stoi inny mężczyzna. Poproś o niego.

– Tak? Mówi Justin.

Na dźwięk jego zasnętego głosu zaczynasz chichotać.

– Chodzi mi, chodzi mi o jedną rzecz... – teraz płaczesz – musisz się dowiedzieć czegoś o Iranie... – Pauza na beknięcie. – To idzie od Iraku do ruiny.



## **RZUT WOLNY**

Słuchaj, skarbie, nie przetrwasz jednego sezonu. Fanki przychodzą i odchodzą. Trzymam z piłkarzami dwanaście lat. Jestem jedyną, z którą chce rozmawiać w klubie. Wy, młode fanki, jesteście idiotkami. Zalewacie się i skomlicie: „O, rozmawiasz z inną dziewczyną”. To nie tak. Nie przetrwasz jednego sezonu. Widzisz, obowiązują pewne reguły. Na przykład, żeby się nie narzucać. Na przykład, kiedy idziesz do klubu, nie podchodzisz do piłkarza i nie zaczynasz gadki. To go może krępować. Na przykład jak Leanne i ja, to znaczy Leanne-Leanne-Fanka-Futbolu, wchodzimy do klubu i stajemy przy barze. Jeśli chcą z nami pogadać albo umówić się na noc, albo w ogóle czegoś chcą, muszą do nas podejść. My nie idziemy i nie gadamy z nimi. To zasada numer jeden. Tak samo nie dzwoń do nich do domu. Zresztą, większość i tak ma zastrzeżone numery. Aha, i trzymaj buzię na kłódkę. Nie opowiadaj, z kim byłaś w łóżku. Ani co robiliście. Jarasz? Czekaj. Przyniosę popielniczkę.

I nie skacz z łóżka do łóżka. Widzisz, wiem, że wszyscy moi chłopcy są mi wierni. Bo sypiam tylko z facetami z drużyny, a oni są szczęśliwymi mężami i mają w sumie szóstkę dzieci. A większość naszych graczy to z zawodu policjanci i w razie czego mieliby zapaskudzoną opinię. Muszą uważać. Więc jeśli chcesz być z moimi piłkarzami, nie możesz puścić się z byle kim, a potem spać z moją drużyną, bo ich narażasz. Bo jeśli złapią jakąś cholere, AIDS czy coś i zarażą swoje żony, będzie tu piekło i klub oberwie. Żony są ostre i obwiniają klub o to, że ich mężowie sypią z kim popadnie. Albo tego nieszczęsnego zasnęca trenera. Dlatego kiedy cię zobaczyłam w klubie, wzięłam cię na rozmowę. Bo jeśli ty coś złapiesz, my wszyscy ucierpimy. W zeszłym roku mieliśmy tu taką podfruwajkę i co? – zarażała syfem trzech czy czterech. Tak jest, z szankrami i wszystkim. Żony zapowiedziały swoim chłopom, że po treningu nie wolno im chodzić do pubu, no, może najwyżej na pół godziny. Kiedy Gibbo idzie do klubu, żona wydziela mu dwa dolce. Bo chłopaki przelecieli tę młodą. Dlatego starsi zadają się ze mną i Leanne-Leanne-Fanką-Futbolu. Nie. Nie przetrwasz jednego sezonu.

Ale... ponieważ na razie jesteśmy fiutowymi siostrami... co? Nie wiesz, o czym mówię? To się zaczęło jeszcze w szkole. Kiedy się kapnęłam, że mój facet ma jeszcze jedną, zaprzyjaźniłam się z dziewczyną, z którą dzieliłam jego fiuta, a na faceta się wypięłyśmy... Kręcisz z całą drużyną, zgadza się? Ale w tym interesie obowiązują pewna etykieta, można powiedzieć, etykieta łózkowa. Więc jeśli to robisz, rób to dobrze. Są pewne reguły. Najbardziej lubią porządnie pobzykać. Ale przeważnie się spieszą, bo muszą pędzić do domu do żon, więc wskakują na ciebie i robią szybki numer. Ale musisz podbechtać ich męskość. To dobrze wpływa na

ich pewność siebie na boisku. Lubią myśleć, że robią ci łaskę. Jak Jacko. Jackson w łóżku jest w porządku. Nie żadna rewelacja. Kiedy się spuści za wcześnie, udaje, że nic się nie stało. Wsuwa swoją fujarę i pieprzy się przez minutę i... wiesz, lubi, żeby inni patrzyli. I zawsze posuwa pierwszy, bo jest kapitanem. I mówi: „Patrzcie, jak walę!”. A potem wchodzi i spuszcza się po minucie, ale posuwa dalej... „Dobra, teraz zarzuć mi nogi na ramiona”. Chociaż się spuścił, popisuje się jeszcze przez piętnaście minut, jak już jest po wszystkim. A ty musisz jęczeć „och, och, Jacko” i udawać, że wszystko gra. Dla morale drużyny nie byłoby dobrze, gdyby wiedzieli, że ich kapitan to słabosilna fafuła. A drużyna liczy się przede wszystkim.

Mam odrobinę szampana. Przepraszam za ten bałagan i w ogóle. Jest zbyt mokro, żeby wywieszać pranie na dworze. Napiałabyś się? Trochę to mdłe, ale...

Jeśli się zakochasz, masz przechlapane. Musisz sobie powiedzieć, ma dobre ciało i używam go, tak jak on używa mojego, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Są takie fanki, które się zakochują, chłopaki je bzykają, a Leanne i ja stoimy z boku i gdy dziewczyna odchodzi, słyszymy, jak mówią, ach, ty pierdolona gangsterska dziwko, albo powiadają: „Znowu tu się szwenda”, i chowają się za maszyny do gry w pokera. Te chłopaki mają dosyć nerwów na treningu i w ogóle – od czterech lat nie przeszliśmy do finału – więc my nie powinniśmy dodatkowo ich dobijać.

I musisz coś wiedzieć o futbolu. Ale nie trzaskaj ciągle dziobem na ten temat jak Wendy Wariatka. Rzygać się chce na jej widok. To flejtuch. I nie umie gadać z chłopakami. Mówi na przykład: „Och, to zrobiłeś źle i tamto zrobiłeś źle”. A przecież trener wie, co kto zrobił źle, i omawia to z graczami. Trenerzy nie potrzebują pomocników, którzy mają pstro w głowie i naskakują na chłopaków, ledwo wejdą do klubu po przegranym meczu. Nie znoszą też fanek, które płaczą się pod nogami, jęcząc: „Och, byłeś dzisiaj wspaniały... rewelacyjny”, kiedy najprawdopodobniej w ogóle nie wszedł na boisko i cały mecz przesiedział na ławce.

Mam nadzieję, że to doceniasz, bo to wielka rzecz być wybraną na fankę, choćby nawet na jeden sezon. Moi pierwszoligowcy są tu bohaterami. To najbardziej szanowani faceci w całej okolicy. I musisz się odpowiednio zachowywać, żeby zasłużyć na wyróżnienie. Ja lubię trochę się pościgać. Lubię się za nimi pouganiać. Trudno jest dopaść pierwszoligowca. Starsi gracze mówią: „Moja żona jest tutaj. Nie rozmawiaj ze mną”. I trochę trudno z nimi zakręcić. Ale to mi się podoba. Kiedy byłam szesnastoletnią siksą, zabujałam się w takim jednym, co go nazywali Kieł. Był najostrzejszym zawodnikiem na boisku. Kiedy grał, wszyscy tak wrzeszczeli, że mało co nie wyskakiwali z portek. Był słynny z

tego swojego długiego kła. W każdym razie mój brat grał w bilard któregoś dnia w klubie katolickim i powiedział kilku koleśiom, że mam ochotę na Kła. Za jakiś czas wzywają mnie do recepcji. Podreptałam tam i podniosłam słuchawkę. Ochryply głos po drugiej stronie mówi: „Czekam na ciebie koło rzeźnika. Ulicą w dół od klubu”. Więc poszłam, a Kieł tam stał i powiada: „Idziemy do mieszkania tego faceta”.

No więc poszliśmy do mieszkania tego faceta i Kieł zdjął ubranie. Patrzę na te jego trzydzieści centymetrów i mówię: „Nie wsadzisz tego we mnie”. A on na to: „Owszem, wsadzę”. A potem tłumaczył mi o duchu drużyny i tak dalej. „Wpuść ptaszka do środka, wpuść przyjaciela”.

Tak to robią. Wszystko dla zespołu. To pomaga im dobrze się zgrać. Z wyjątkiem trenera. Kiedy on wchodzi do sypialni, inni faceci mają wyjść i zamknąć drzwi. Wiesz, to oznaka szacunku. Z wyjątkiem młodszych chłopaków, oni nie zawsze przestrzegają zasad. Normy się obniżyły, odkąd młodszy zaczęli przechodzić do pierwszej ligi. Kłopot z tymi młodszymi, którzy przyprowadzili cię do klubu, bez urazy, złotko, ale są trochę za łatwi. Żadnych norm.

Starsi gracze okazują dziewczynie więcej szacunku. Gdy zaszłam w ciążę, wtedy kiedy obstawiałam drużynę Kła, wszystkie chłopaki przynosiły mi kwiaty i czekoladki do szpitala i w ogóle. Wiem, że Kieł nie uznał, że to jego. Chociaż Tiffany jest do niego podobna jakby skórę zdarł. To nie była jego wina, ale zawsze. Nigdy przedtem nie byłam w ciąży. Nie zdawałam sobie sprawy... Kiedy miałam czternaście lat, zgwałciło mnie chyba z piętnastu facetów, byłam cała poszarpana w środku i doktor powiedział mi, że nigdy nie zajdę w ciążę. Nie spodziewałam się, że dostanę brzucha, więc nie brałam żadnych pastylek. Więc w tej sytuacji nie mogę mieć pretensji, że zrobił mi dzieciaka... Zajarasz?

Widzisz, zaćpałam się w hotelu, kiedy byłam dziewicą. Jedna moja koleżanka miała piętnaście lat, a druga miała szesnaście. I były to najgorsze dziwki, jakie ta ziemia nosiła. Fałszywka i Krowie Oko, słyszałaś o nich? Byliśmy w Burwood, siedzieliśmy „Pod Królewskim Snopem”. No więc byłam tam i się zalałam, wtedy ktoś wrzucił mi procha do szklanki z piwem. A wypięłam tylko trochę... Nie spadam pod stół po jednej puszcze, piłam piwo z tatą, zanim nas rzucił, a teraz pociągnęłam tylko dwa łyki i już byłam wstawiona i zaczynałam bredzić. Wiesz, zazdrościły mi, bo byłam dziewicą. Chłopaki, których na mnie napuściły, chyba nie wiedziały, że jestem dziewicą. No i ten facet powiedział, zabieram cię na przejażdżkę, żebyś wytrzeźwiała. Bo to było, zanim wyrzucono mnie ze szkoły, więc musiałam wracać do domu do mamy – wyrzucono mnie, bo nazwałam zakonnice lesbą. Chłopaki po

prostu myślały, że jestem zdziurą, jak Fałszywka i Krowie Oko. Ale byłam chyba jedyną dziewczyną w szkole, która nie chodziła do łóżka z facetami. Wiesz, wstydziłam się zdjąć ubranie. Bo nie miałam cycków ani włosów łonowych. Taak, moja koleżanka powiedziała, że ma znajomą, której nie wyrosły jeszcze włosy łonowe i wszyscy chłopcy, z którymi chodziła do łóżka, nazywali ją „Piłką tenisową”. Więc powiedziałam sobie: „O, ze mną tak nie będzie. Musi mi trochę wyrosnąć, zanim pójde do łóżka z facetem”. Masz dosyć miejsca? Połóż wszystkie swoje zabawki na podłodze. Miałyśmy szczęście, że dostałyśmy to mieszkanie. Mnóstwo samotnych matek mieszka w tym bloku i opiekujemy się wzajemnie naszymi dziećmi. Są tu dwa pokoje i kuchnia. Dosyć przytulnie, ale mimo wszystko...

No, w każdym razie zawiózł mnie koło Parku Narodowego, a ja byłam zalana. Wszystko widziałam jak za mgłą. Faceci pchali się na mnie. Pamiętam tylko, że mówiłam: „Dajcie spokój. To boli. To boli. To boli”. A jakiś rok później dowiedziałam się, że to te dwie dziewczyny napuściły na mnie tych wszystkich chłopaków. Ale dostały za swoje. Teraz biorą heroinę i są prostytutkami. Jedna właśnie urodziła dziecko w więzieniu. A druga z powodu heroiny poszła z torbami i odebrano jej dwójkę dzieci. Więc na dłuższą metę, mają, na co zasłużyły. Może trochę paluszków serowych? Zdziebko nawilgły, ale zawsze.

W każdym razie, któregoś wieczoru gołnęłam sobie, zadzwoniłam do matki Kła i powiedziałam: „Chcesz poznać swoją wnuczkę?”. Ona na to: „Muszę o tym pogadać ze swoim synem”. A Kieł po prostu wyparł się córki. Ale przede mną się nie wyparł. Przyszedł parę dni później i zaczął się stawiać. Widzisz, gracze potrzebują pewnej ilości adrenaliny, żeby wyjść na boisko. Przyłożył mi. Naprawdę strasznie mnie poharatał. Ale widzisz, mam miękkie serce. Chciałam go skarżyć o napaść, ale potem wycofałam oskarżenie. Tak zrobiłam. Namówił mnie do tego jego sierżant, żeby trochę go postraszyć, żeby wiedział, że z tego się nie wywinie. Wiesz, jego ojciec jest milionerem. Mają wielką firmę budowlaną, teraz odszedł z policji i jest współwłaścicielem interesu z ojcem. Nie chciałam być pazerna, ale mógłby dołożyć trochę na utrzymanie... Ale widzisz, nazywali go Amantem, bo był takim zadziornym przystojniakiem, znasz ten typ, co. I był ulubieńcem posterunku. Więc gdy jakaś mała kurewka decyduje się oskarżyć glinę o napaść, rozpętuje się piekło. Paru detektywów ohydnie mnie potraktowało. Leanne uważa, że dlatego zrobili mi burdel w mieszkaniu, a mnie wsadzili za dragi i w ogóle. Ale byłam kimś w rodzaju drużynowej maskotki. Nie. To był przypadek. Znajome gliny nigdy by mnie tak nie wrobiły.

W każdym razie Leanne-Leanne-Fance-Futbolu i mnie, jedynym prawdziwym młodym, pewnego wieczoru padło na mózg i po wielkim meczu zaczęłyśmy dawać graczom punkty, od jednego do dziesięciu. Kieł dostał ode mnie dwa. A Reggo dziewięć. Jacko następnego dnia próbował pobić rekord. W każdym razie faceci, którzy mieli mało punktów, przypilnowali, żeby nas przelecieć. Więc to była nasza wina. Ale kurczę, to było śmieszne.

A więc, w każdym razie, wyprowadziłyśmy się z tej okolicy i od tej pory byłyśmy z drużyną. Miałam wtedy zaledwie siedemnaście lat, jak ty teraz. To było jedenaście lat temu. Jesteś w porządku, znasz tego chłopaka? Szkoda, że nie mam ich zdjęć. Widzisz, w podróży – a przenosiłam się z miejsca na miejsce – jakoś wszystko gubiłam po drodze. Ale popatrz, wycięłam z gazety parę fotek Kła, Spuda i chłopaków. Trzymam je w szufladzie razem z przyprawami i takimi rzeczami. Nikt tu nigdy nie zagląda. Widzisz? Ostrzy faceci, co? Tylko mnie nie wsyp. Jeśli jacyś gracze zobaczą, że przechowuję zdjęcia innej drużyny, zaraz mnie przelecą. Często o nich myślę... Jeszcze bąbelków? Zwłaszcza gdy patrzę na Tiffany, widzę Steve'a. To prawdziwe imię Kła.

Tiffany i Alexis wychowuję tak, żeby dały sobie radę na ulicy, lepiej niż ich matka. Na przykład, parę tygodni temu przyszło tu kilku chłopaków z tym nowym facetem, nowym skrzydłowym, którego przyjęliśmy, i chłopaki zaczęły na niego najeżdzać. – Spójrz na to – mówili – jakie to maleństwo – i machali swymi wielkimi fujarami. A ja na to: „Idźcie sobie, żebym mogła się skupić na tym nowym kawałku mięska”. Taki był nerwowy. A oni mówią: „Nie, tam są dzieciaki”. Alexis i Tiffany oglądały tam telewizję, a ja rzekłam: „żadnych wymówek”, bo znali Tiffany, moją najstarszą, od dziecka. A więc Tiffany musiała słyszeć, jak mówię: „Wynoście się z pokoju. Dajcie mi dziesięć minut”, bo zapukała do drzwi i powiedziała: „Chcesz, żebym zrobiła wszystkim kawy?”. Ma dziesięć lat. Doskonałe maniery. Bardzo kobieca. Strasznie bystra. Wie, co jest grane. Nie to, że nienawidzi mężczyzn, ale wie, ile kobiety muszą z ich powodu przejść. Po prostu chcę, żeby moje dziewczynki lepiej dawały sobie radę na ulicy niż ja. Jak kiedyś Alexis. Sprzedawca napojów zaszedł do nas, a Alexis jest za mała, żeby naprawdę coś z tego kapować, ma dopiero cztery lata... Rozumie, ale jest wtedy taka zabawna... Sprzedawca zapukał do drzwi, a ona powiedziała: „Idź do sypialni i rozbierz się. Prezerwatywy są w szafce”. Mało nie pękłam ze śmiechu. Rozkoszna, co? Słodki, mały skarb. Pocałuj mamusię... Jej tatuś jest detektywem. Znasz Żarłoka? A skoro jesteśmy przy tym, napijmy się jeszcze po jednym.

W gruncie rzeczy żaden z chłopaków nie wpadł do mnie w tym tygodniu. Nie

żyję dla nich, nic z tych rzeczy. Ale jak człowiek siedzi w domu, czuje się trochę samotny. Bo widzisz, mam dwoje dzieci i nie za bardzo mogę wychodzić. Tyle co do sklepu i na mecz. Więc jak przychodzą zawodnicy, jest trochę weselej. Tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy siedziałam i oglądałam zapasy i słyszę stukanie do drzwi. Żarłok, ojciec Alexis, wiesz, ten detektyw, przyszedł z jakimiś siedmioma chłopakami na kawalerskie party. Była ze mną dziewczyna, Cheryl. Nazywają ją Śliskie Cycki z powodu jej cycków. Naprawdę kawał zdziry. Była prostytutka. Nie pracowała od pięciu lat, ale co kurwa, to kurwa. I była naprawdę dobra w łóżku. Robiła te wszystkie rzeczy, o których ja nawet nie miałam pojęcia. Gdy uprawiała seks oralny, wpychała penis faceta aż do gardła i poruszała nim, aż się spuścił. Myślałam, że się udławi, ale nie. Faceci dostali świra na jej punkcie po tym spotkaniu. A ja się jej pytałam: „Jak to robisz?”. Wiesz, myślałam, że też mnie tego nauczy, bo nikt nigdy tego nie robił.

Tak czy tak, rany, ale byli śmieszni. Leciały zapasy, a oni, wiesz, ci wszyscy faceci, siedzę z nimi, a ci policjanci jak czołgi – większość była z drużyny, a reszta gra po stronie policjantów – wspinali się na oparcie kanapy i skakali i lądowali na ramionach innych, ćwicząc zapasy, i byli w klinczu. A któryś wziął kamerę wideo i robili pornusy. Tyle że w kamerze nie było taśmy ani nic. Ale Śliskie Cycki myślała, że jest, więc lizała się po wymionach i w ogóle... Jak tam twoja szklanka? Może sosu? Proszę bardzo. „Francuska cebula”.

Żarłok chwycił mnie, a ja powiedziałam „No dobra”, i poszliśmy prosto do sypialni. Więc ssę Żarłoka, on leży na łóżku, a inny facet, Marto, zakradł się z tyłu łóżka, wsadził głowę pomiędzy moje nogi i zaczyna mnie lizać. Piłkarze nigdy nie lizają kobiet, bo uważają, że zaspokajają siebie, wiesz, od wewnątrz. W pewnym sensie to rozumiem. Większość z nich jest dobra w łóżku, ale... Prawdziwego niedołęgi właściwie nie spotkałam. Łatwo szczytuję, ale... W każdym razie, możesz sobie wyobrazić, że poczułam się zaskoczona. Było bardzo miłutko. Tylko nas troje. A Żarłok nagle zaczął świrować. „O Boże, nie możesz się skupić, Tracey?” – mówi, a ja na to: „Jak mogę się skupić?”. Wtedy on powiada: „Marto cię lize, co? To sukinsyn”. Żarłok robi się czerwony z zazdrości. Zawsze jest tak, gdy spiknę się z kimś z niższej ligi. Wiesz, myślę, że on sam się do tego przed sobą nie przyznaje, ale naprawdę jest we mnie zakochany. Z tym, że to zatwardziały kawaler i tyle... Więc to była fantastyczna noc, od początku do końca. Dużo lepsza niż oglądanie zapasów z Cheryl. Samotne kobity, we dwie. Alexis! Złaż ze sracza. Pełno tam zarazków, kwiatuszku.

W każdym razie poszłam na mecz ligi w niedzielę, a ta Cheryl – prawie metr

osiemdziesiąt wzrostu – wpadła w podły nastrój i mówi w pubie: „Spójrzcie tylko na tę starą zdzirę. Kręci u siebie w domu pornusy”. Moja mama chodzi do miejscowego kościoła, a barmanka z ligi jest prawdziwą, gorliwą katoliczką. Idzie do kościoła z moją mamą i patrzy na mnie. A ja sobie tylko myślę: „Ach, ty dziwko”. A wszyscy ci ludzie, którzy dobrze mnie znają, byli w klubie. „Kręcili pornusa w jej domu na męskim przyjęciu Żarłoka”. – Tak powiedziała Cheryl. To było męskie przyjęcie Żarłoka. A ona się z tego śmiała.

No więc natarłam na tę dziewczuchę i omal jej nie zabiłam. Czterech piłkarzy chowało się pod stołem, bo ciskałam w nią krzesłami, waliłam i naprawdę ją rozłożyłam. Och, umiała się bronić, ale ja naprawdę dostałam kręcka. I jakichś pięciu zawodników musiało mnie od niej odciągać. Ale tam było dwóch starych facetów, jak te wiekowe Muppety na balkonie. Tak właśnie wyglądali. Siedzieli i gadali: „Obstawiam tę małą rudą”. Wszyscy faceci stawiali na mnie. I chodzili, robiąc zbiórkę pieniędzy. A ona ciągnęła mnie za włosy. A ja ciągnęłam ją. A wtem ona mówi: „Puść moje włosy. To boli. Jeżeli mnie puścisz, ja puszcze ciebie”. A ja odparłam: „O nie, to mi się podoba”. Potem trzymałam ją za głowę i walnęłam w głowę.

Nie chodziło o to, że kłamała na temat imprezy Żarłoka czy Pornusów, czy że moi prawdziwi faceci wszyscy byli w pubie, czy że jest taką skończoną zdzirą – dwukrotnie zaraziła biednego Murphego rzeźączką, złapała syfa od Splodge’a i przekazała go wszystkim – ale, widzisz, muszę trzymać z zawodnikami, a ona rzucała nazwiskami. Gadała, że kręciłam pornusy z Jacko, Marto i Żarłokiem. Wyobrażasz sobie? Musiałam jej przylać ze względu na ich reputację. O swoją nie dbam. Nigdy nie żałowałam tego, co robię, i nie muszę, na szczęście, przed nikim się tłumaczyć, więc wyprawiam, co chcę. Ale oni mogą stracić reputację, swoje rodziny, żony, więc tak jakby walczę o nich. A poza tym, znam Żarłoka, w te i wewte, od siedmiu lat. Czy nie powiedziałaby mi, gdyby go rzeczywiście wzięło? Nie pisnąłby słowem?

W każdym razie, w zeszłą sobotę było przyjęcie urodzinowe Alexis. Żarłok miał przyjść. Ale się nie pojawił. A gdy do niego zadzwoniłam, jego najlepszy kumpel powiedział: „Och, poszedł po swój smoking, dzisiaj się żeni”. A kobieta, którą poślubił, ma z nim dzieci, o których nawet nie wiedziałam... Już mu przeszło... Dolać?

A więc upiłam się, wdarłam się na ślub, forsując bramę. Nie chodziło mi o mnie, rozumiesz. Ale o Alexis. To naprawdę okropne, wziąć ślub w jej urodziny. I był tam trener. Tak jak ja, spod znaku Barana. Ten głupi tuman jest nowy i po



prostu mnie nie lubi, wyrzucił mnie z recepcji bez najmniejszego powodu. To prawdziwy kretyn, a Żarłok zrobił zwrot o 180 stopni i ryknął ze śmiechu akurat w niewłaściwej chwili. Wyciągnęli mnie stamtąd, i jak zobaczyłam, że on przygląda się temu z szerokim uśmiechem na ustach, odwróciłam się i dałam mu w pysk. Niech skonam, jak mu przyłożyłam. Złamałam mu nos. Tak mu dołożyłam, jak żeście nigdy jeszcze nie widzieli. Jednym ciosem rozkwaśiłam mu nos i rozwaliłam gębę. A więc widzisz, stoczyłam wolnoamerykankę, a oni mnie grzmocili. To rodzaj walki o przeżycie, po prostu nabierałam formy, jak facet na siłowni. Potem wywlekli mnie z klubu i ojciec Żarłoka przywalił mi. A ja rzuciłam w holu czerwonym telefonem w trenera, ale nie trafiłam i padło na detektywa. Kręciło się tam mnóstwo takich.

Nie chodziło o to, że się żeni. Jak powiedziałam, mam to gdzieś. Ale to były akurat urodziny Alexis. I trochę mnie zatkało. Jestem spod znaku Barana. I naprawdę byłam podekscytowana, bo przegraliśmy pierwszy mecz w sezonie. Na rzecz Parrasów. I uważam, że to była wina Żarłoka. Naprawdę nie chciało mu się ruszać na boisku. Zawiódł całą drużynę. Myślał tylko o sobie. Nie brał nawet pod uwagę tego, że inni pokładali w nim nadzieję, a to znaczy... Napijesz się trochę brandivino? Zostało mi z imprezy.

Chcesz znać tajemnicę mojego sukcesu? Chcesz wiedzieć, dlaczego przetrwałam jedenaście sezonów? Nie zachowuję się jak żona, to znaczy, nie chcę nikomu ubliżyć, bo żony... nigdy nie byłam żoną, nie wiem, jak się zachowują. Ale z tego, co słyszałam, miewają zmienne nastroje i, chyba to normalne, ale hmm, zrzedzą, z tego, co słyszałam, wypytyują mężów – gdzie byłeś, co robiłeś? Dlatego nas potrzebują... potrzebują mnie, zgadza się? Gdybym chciała zostać żoną, mogłabym poślubić każdego z chłopaków. Ustawiają się w kolejce, żeby mnie wziąć. Po prostu nigdy nie chciałam zostać żoną, nigdy w życiu.

Chodzi o to, że Żarłok zawsze okazywał mi mnóstwo szacunku, i tak dalej. Ma jacht, który pływa po morzu, i kiedy wypada jego kolej, bierze turystów z przystani. I za każdym razem, kiedy tu przychodzi, przynosi mi resztki krewetek i sałatkę z kartofli, no wiesz, resztki z rejsu i takie tam.

Widzisz, moi chłopcy naprawdę mnie potrzebują. To jak małżeństwo, ale z całą drużyną. Mam ich adresy, telefony i wszystko... Mam też kogoś, kto załatwia za mnie rejestrację samochodu, wzięłam też ich daty urodzenia i wysyłam im wtedy kartki. Przy takich okazjach zawsze się wściekają. Och, wysyłam je do klubu, ale zawsze. Po prostu nie chcą, żebym traciła forszę na znaczki, rozumiesz?

Młodszy gracze nie okazują takich względów. O nie, młodsi gracze w pierwszej

lidze mają inne podejście. Chcą tylko zrobić Pieniądze. To są bardzo konkurujący ze sobą zawodowcy, co znaczy, że nie chodzą tak często to pubu, żeby się zabawić. Ale gdy się wreszcie wybiorą, są strasznie chamscy, zachowują się jak idioci, nazywają mnie zdziurą, choć nigdy tu nie byli, żeby mnie tak nazywać.

Chodzi o to, że Żarłok jest inny niż cała reszta. Lubi robić wszystko bez namysłu. Kiedy się pojawia... kochamy się wszędzie. Przelatuje mnie na kamieniach w parkach, w lodowatym zimnie. Na skałach. Któregoś razu przyszedł z kolegą i wyciągnęli fujary koło ósmej rano. Chodź. Idziemy do klubu. Zostawiłam dzieciaki z Nolą, mają sąsiadką, biegnę na dół, wsiadam do samochodu, a oni zabierają mnie do magazynu w klubie ligi. Widzisz, Żarłok jest gliną i ma klucze do wszystkich drzwi. Właśnie skończyli poranny trening, więc wszyscy są czyści i po prysznicu. Zazwyczaj chłopaki kładą mnie na wielkich worach kartofli. W spiżarni jest zimno, a kartofle uwierają mnie w plecy. Żarłok zdejmuję kurtkę, kładzie ją na ziemi i mówi: „Połóż się na tym”. Zawodnicy zazwyczaj nie oddają swoich kurtek, żeby się nie pogniotły i nie zabrudziły. Zazwyczaj faceci powiadają: „Ej, nie pobrudź mi kurtki plemnikobójem, bo żona wyczuje albo coś”. Nie żebym była zakochana czy coś takiego, rozumiesz? Ale Żarłok był inny od reszty. To elegancko z jego strony podłożyć mi kurtkę. To było takie... romantyczne.

Widzisz, należę do tego klubu. Nowy trener nie może mi zabronić do niego wstępu na całe życie. Mam nawet nazwę klubu wytatuowaną na cipce. I na biodrze też, z sercem i listą zawodników. Zginęliby beze mnie. Nie wyglądam źle, co? Nie jestem jeszcze starą łajzą. Jestem? Nie mogą mnie wyrzucić... mogą?

Widzisz, w tym momencie ty zaczynasz pękać. Widzisz, jesteś młoda. Jeszcze ci skóra nie stwardniała. Zrobisz coś głupiego, na przykład się zakochasz, złotko. Słuchaj, skarbie, nie przetrwasz nawet jednego sezonu.

# **MAGNETYZM WARZYW**

**RAPORT O ZAGINIONYCH OSOBACH**

Policji Nowej Południowej Walii

**Zaginiona osoba nr serii:** 8621/32

**Data:** 5 stycznia 1983

**Biuletyn policyjny:** Południowe wybrzeże Australii zmieniło się w Biuro Osób Zaginionych. Wszyscy usiłują się odnaleźć.

**Zaginiona osoba:** Rowena Taylor

**Wiek:** 16 lat

**Wzrost:** 170 cm

**Włosy:** Rude

**Zęby:** Własne

**Wygląd:** Rasa biała

**Znaki szczególne:** blizna po amatorskiej grze w piłkę nożną, lewe kolano

**Ostatnio widziana:** Podróżowała autostopem wzdłuż północnego wybrzeża

*1/1/83 – Dzień Pierwszy Na Drodze do Oświecenia, Wewnętrzny Spokój i Harmonia*

Siedzę z Kotem na swoim plecaku przed McDonaldem.

Gdy powiedziałam mojej matce, że cierpię w pustce Zachodu z braku odpowiedniej pożywki duchowej, myślała, że chodzi mi o płatki kukurydziane. Czy to dziwne, że mając takich rodziców, jestem duchowo wygłodzona? Dlaczego nie chcą przeprowadzić separacji, przeżyć kryzysu wieku średniego albo odkryć jakiejś wschodniej religii jak inni rodzice?

Obejrzałam dłoń mojej matki i wytłumaczyłam, że jest tam zakodowany jej potencjał. A ona chciała się tylko dowiedzieć, czy powinna zamówić bilet na wycieczkę dalekomorską. „Ale Ro, czy ona tam jest, w moim przeznaczeniu?” – pytała ciągle. Mówię wam, będzie im przykro, kiedy w przyszłym życiu odrodzą się jako para karaluchów. (O Boże. Waleczny ładunek nieoświeconych kmiotków podjeżdża pod krawężnik. Zwałę na nich swoją wędrówkę, udając, że chcę, żeby mnie podwieźli do Warsztatów Kobiecego Transu). Jedyna rzecz, która rusza moich rodziców, to zarazki. Philippa, moja starsza siostra, przykrywa ręką talerz za każdym razem, kiedy podaję sos Pomidorowy, margarynę czy cokolwiek, żeby jakiś kawałek bakterii Kota nie dokonał skoku kamikadze z mojego ubrania na jej kotlet. Próbowalam wpłynąć na zwyczaje żywieniowe mojej rodziny. Naprawdę. Wyrzuciłam ciasteczka i płatki kukurydziane. Szkoda, że nie widzieliście Philippy tego dnia, kiedy jej muesli się ruszało. Zgoda, było tam parę wołków zbożowych, ale to organiczne pożywienie. Kupiłam je w sklepie ze zdrową żywnością. Nie było powodu, żeby zarzygać cały stół.

Jak można osiągnąć Duchowe Oświecenie w takiej rodzinie jak moja? Pomijając już trzecie oko. Moja rodzina ma zakażenie trzeciego oka. (Bogata suka, jadąca 120 km/godz. właśnie pogroziła mi palcem z brylantowym pierścionkiem). Moi starzy powiadają mi, że przechodzę trudny okres. Nienawidzę, kiedy dorośli rzucają we mnie tym argumentem. To totalny wiekoizm. Dyskryminacja człowieka z powodu jego wieku jest tak samo uwłaczająca jak dyskryminacja rasowa. Chyba moi rodzice są już zgrzybiali. (Właśnie na drodze zatrzymał się z piskiem opon rozpędzony holden. Oświecenie, oto nadchodzę!).

Wracam. Gdy pakuję Kota i swój plecak do samochodu, żużel leci spod kół, opony piszczą, a banda łomotów naciska klaksony i wyje ze śmiechu. Nie znoszę mieć do czynienia z ludźmi, którzy nie słyszeli o niestrukturalnej, swobodnie przepływającej chińskiej sztuce walki ich wewnętrznej świadomości. To dlatego,

że nie chcę być członkiem kmiotkotariatu, wyruszyłam na ścieżkę do Duchowego Oświecenia, Wewnętrznego Spokoju i Harmonii i odpowiedziałam na ogłoszenie w sklepie ze zdrową żywnością: udział w komunie o małym zasięgu, nieseksistowskiej, antymaterialistycznej, zorientowanej na rozwój osobisty, rozbudowującej kosmiczną świadomość. (Opłata za miesiąc z góry. Przyjmuje się karty kredytowe). Muszę jechać. Mam przeczucie, że podwiezie mnie ta ciężarówka z węglem.

Myślę, że jestem jasnowidzem. (Wiedziałam, że to napiszę!). Kierowca ciężarówki poprosił mnie, żebym przestała bazgrać i opowiedziała mu coś ciekawego, bo inaczej uśnie. Ma bardzo czerwone obwódki wokół oczu i ciągle kicha. Prawdopodobnie je mięso. Opowiem mu o swojej rodzinie.

Przed chwilą omal nie dopadło mnie przeznaczenie. Po dwóch zdaniach usnął i zaczął zjeżdżać z drogi. Oto jak ciekawa jest moja rodzina.

2/1/83

Wraz z licznymi alter ego, id, przeszłym życiem, wznoszącymi się znakami zodiaku i schizofrenicznymi osobowościami, w komunie mieszka około dwudziestu pięciu osób. Każdy jest potwornie owłosiony i bardzo organiczny. Można w nich posiać ziarna.

– Ro, nie wierzymy w ego, agresję, negatywizm, zazdrość ani ambicję – stwierdził Sundram. Musi być starszym plemienia. Wygląda przynajmniej na dwadzieścia osiem lat!

– Ja też nie! – Zgodziłam się cisnąć wszystkie te emocje na górę kompostu. Potem otoczył mnie krąg ciał w batikach i przepaskach na biodrach. Zultana zapytała o mój znak zodiaku. Nie miałam zamiaru się przyznać do zazdrosnego Skorpiona ze wznoszącym się, egoistycznym Lwem. (Czy moja matka niczego nie może zrobić jak należy? Mogłaby się wstrzymać z tydzień albo dwa ze względu na moją osobowość). Powiedziałam im, że jestem Wodnikiem. Tak naprawdę, nie okłamałam ich. Po prostu zmieniłam swój znak astrologiczny na zasadzie głosowania na gwiazdy.

Potem kazano mi podzielić się z grupą moimi zahamowaniami. (Moimi

kolczykami już się podzielono – rozebrali moje przeładowane małżowiny w parę minut po moim przybyciu). Spojrzałam na nich tępo.

– Hm... Nic mi nie przychodzi do głowy.

Camille poprawiła batik, zawiązany koło pępka.

– Masz zahamowania z powodu braku zahamowań. – Ukoronowano ją na królową soi przez dwa lata z rzędu. Jest zbyt piękna, by była prawdziwa. Wpatrywałam się w kolczyk w pępku albo w stronę z „Playboya”.

– Musisz dostać się, no wiesz, do twojej wewnętrznej reklamy, Ro. – Ma troje dzieci, kolczyki w sutkach i w nosie, a jej nogi ropieją, gdyż ciało wyrzuca z siebie miejskie toksyny. To świadczy, jak mało wiem. Myślałam, że ma ropnie z upału.

Resztę popołudnia spędziłam, nawiązując Głęboki Kontakt, robiąc Irygację Odbytu oraz uczestnicząc w Warsztatach Odysei Przeszłego Życia. Sundram był kiedyś rzymskim cesarzem, Camille chińską księżniczką. Okazało się, że moja kotka miała wiele pokrewnych dusz i osiągnęła wyższy stopień kryształowej świadomości niż którekolwiek z nas. Przewali ją Kublai Khat. Ja nie mogłam niczego sobie przypomnieć, a gdyby nawet coś mi zaświtało, pewnie okazałoby się, że byłam urzędnikiem bankowym. O Boże. Tyle jeszcze muszę rozwikłać i dowiedzieć się o sobie. Nie miałam pojęcia, że to takie niesamowicie fascynujące!

PS Za parę tygodni będę mogła wydać swój pierwszy, pierwotny krzyk!

6/1/83

Słońce świeci jak stuwatowa żarówka, a wiatr jest gorący jak suszarka nastawiona na potrójne obroty. Chwasty i tropikalne krzewy pokrywają wszystkie wygony wokół nas. Cała komuna medytuje.

Prawdę mówiąc, moje medytowanie jest nie tyle transcendentalne, co przypadkowe. Wiecie, taki stan odrętwienia, który ogarnia mnie w kolejce w banku albo do toalety. Camille bez najmniejszych kłopotów wprawia swój umysł w stan neutralny. To niesprawiedliwe! Dlaczego ja nie mogę być rośliną, tak jak ona? Wiem, że droga do Duchowego Oświecenia wiedzie przez wewnętrzną świadomość, lecz jakże mogę skupić się na opróżnieniu mojego umysłu, skoro opróżnienie mojego umysłu jest jedyną moją myślą!

7/1/83

Sundram jest najbardziej oświeconym, duchowo rozwiniętym i pozbawionym zahamowań człowiekiem w komunie – otwarciem pierdzi.

14/1/83

Sundram chyba żywi w stosunku do mnie jakieś romantyczne uczucia. Chodzi za mną do komunalnych kibli. Oczywiście ja jestem najmniej rozwiniętą duchowo osobą w komunie i mam najwięcej zahamowań. Ale trudno mi odpowiedzieć mu równie romantycznymi uczuciami, gdy kucam nad trzymetrową aseptyczną przepaścią. Sundram radzi mi po prostu płynąć z prądem.

25/1/83

Początkowo myślałam, że brak jedzenia w lodówce bierze się stąd, że jakieś skąpe dranie nie składają się na wspólny fundusz. Ale chodzi o to, że tutejsi hipisowi wędrowcy żywią się głównie pokarmem duchowym. Na przykład dziś po południu Sundram suszył tacę marihuany w piecyku.

– Po co żyć naprawdę... – powiedział, zgarniając sobie na rękę szeleszczącą trawkę, i z rozkoszą zaciągnął się dymem – ... skoro można wegetować? – Kiedy skręt zgasł, wziął go z mojej ręki i spojrzał na moją odwróconą do góry dłoń. – No dobrze, dziecińco... – Gdy płuca miał pełne dymu, trudno mu było mówić, jakby usiłował przewyciężyć bekanie. – Ty, Ro... – wypuścił dym – kierujesz się głową, a nie sercem. Musisz przestać trzymać się purytańskich bzdur klasy średniej. Odpręż się, odnajdź swego ducha, bądź wolna. – Moją zdiagnozowaną rękę Sundram mocno przycisnął do swego penisa. – Seks jest formą medytacji. Wiesz, że nasze energie seksualne mogą się połączyć? Słyszałaś kiedyś o Kosmicznym Orgazmie?

Sundram wytłumaczył mi, że musi uprawiać seks, bo w przeciwnym razie jego szanse na zachorowanie na raka prostaty rosną. Biedny, biedny Sundram! No dobrze, Orgazmie Kosmiczny, oto nadchodzę!

26/1/83

Podwójny materac Sundrama leży na podłodze, mandala i siatka przeciw moskitom wiszą ponad nim. W jednym kącie leży wielki stos marihuany. Sundram ma zamiar sprzedać to w Sydney. Nie żeby zależało mu na pieniądzu. Ale musi kupić trochę niezbędnych rzeczy (płytę kompaktową, samochód, basen, w którym będzie się unosił dla relaksu). Sundram powiada, że zakupione dobra wolne są od powierzchownego materializmu, gdy używa się ich dla celów psychicznego wzbogacenia. To znaczy, że mogę teraz oszczędzać na wideo Akai.

Sundram nosi te naprawdę fantastyczne batiki z lat siedemdziesiątych. Widząc, że z trudem łapię powietrze, gdy się rozebrał, wyjaśnił mi, że freony pod



ciśnieniem, które znajdują się w dezodorantach, niszczą warstwę ozonową. Naprawdę podziwiam jego stanowisko, ale muszę trzymać nos z dala od jego pach. Jego nagie ciało pokryte jest gęstymi, czarnymi lokami. Przypomina mi rękawicę kąpielową mamy. Wyciągam się na szarej, flanelowej pościeli, byśmy mogli zabrać się do rzeczy.

– Wyślij wiadomość do twojej macicy, żebyś, no wiesz, nie poczęła – rzekł potem. – To twoje ciało. Skup się. Każ spermie opuścić twój organizm.

– Nie pocałowaliśmy się...

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– W ustach jest więcej zarazków niż w jakiegokolwiek innej części ciała. – A więc, gdy odwrócił się plecami do mnie i zasnął kamiennym snem, ja wydawałam rozkazy swoim jajnikom!

2/2/83

Uważam, że Sundram jest, powiedzmy, niesamowity. Zgadza się z tym. Teraz, bez wątpienia, jestem pogrążona w GŁĘBOKIE J, duchowej miłości – pozwalam mu realizować mój czek na zasilek.

3/2/83

Minął tydzień i nadal nie miałam Kosmicznego Orgazmu. Może to dlatego, że zajęta jestem wysyłaniem pozytywnych wibracji pytonowi, który okręcił się wokół krokwi dachu nad pokojem Sundrama, jednocześnie starając się dostroić do częstotliwości moich jajników.

W przeciwieństwie do mnie Camille naprawdę jest zgrana ze swoim ciałem. Codziennie wypija szklanekę koziego mleka z pigułką zrobioną z łożyska krowy. Dziś wieczór wyrzekła, jak trudno jest być piękną, jak to zaćmiewa jej osobowość i aurę. Biedna Camille! Sundram uspokoił ją, manipulując przy jej stawach. Powiada, że ktoś przyjdzie jej z pomocą, może się zmienić. Sundram uważa, że każdy, kto nie wierzy w cuda, nie jest realistą.

4/2/83

Odrzuciłam ofertę Sky, która zaproponowała mi masaż. Nie czuję się ani odrobinę spięta.

5/2/83

Sky przyciska mnie opowieściami, jakimi niebezpieczeństwami grozi

zatrzymanie złej karmy.

6/2/83

Zaczęłam się czuć spięta, ponieważ nie jestem spięta.

7/2/83

– Chodzi o Camille – Sky siedziała okrakiem na moich plecach i coraz mocniej je ugniatała. – Ona, wiesz, tak naprawdę tylko udaje. Nie może się pozbierać ze swoją seksualnością. Wykorzystuje swoje ciało w naprawdę seksistowski sposób. – Mój gruzełek mięśni ramieniowych był maltretowany jak piłeczka do ćwiczeń rąk.

– Naprawdę czuję się teraz o wiele bardziej jak... niż przedtem – rzekłam po głębokim namyśle. – Wiesz?

Powiedziałam Sky, że Camille jest wielkoduszna.

– Taak – przyznała Sky. – Większość mężczyzn w komunie obdarzyła jakąś chorobą. – Zaczęłam tokować, jak to musi być trudno wzrastać w nieprzyzwoicie bogatej rodzinie. Rodzice dali Camille tę farmę, by czuła się z tego powodu winna. A jakby tego było mało, cierpi z powodu napięcia przedmiesiączkowego. Biedna Camille! Trapi ją to od miesięcy! Ale naprawdę usiłuje sterować swymi energiami psychicznymi. Camille poprosiła Sundrama, by pomógł jej wypędzić złe przeżycia z dzieciństwa za pomocą technik ponownego narodzenia. Leży się wtedy nago w wannie i wraca do momentu narodzin. Widzi się wówczas twarz lekarza i wszystko!

14/2/83

Żałuję, że nie umiem medytować. Najwyraźniej pragnienie, by wpaść w głęboki transcendentalny trans, może człowieka dopaść w każdej chwili. Choć zazwyczaj nachodzi mnie, gdy trzeba pozmywać. Wiecie, gdybym nie starała się być Wodnikiem, naprawdę wpadłabym we wściekłość, gdy Tarzana i Zultana, a także inni, ciągle opowiadają o zjednoczeniu robotników, ale jeszcze nigdy nie zmywali. Ani razu.

Sundram, z drugiej strony, jest naprawdę zawiedziony, że nigdy nie może pomóc zrobić mi obiadu. „Przez lata życia w komunie rozwinąłem w sobie wyostrzoną świadomość wykorzystywania kobiet. Ale niestety nie mam czasu na wykonywanie domowych obowiązków. Przygotowuję się do Seminarium Rozbudzającego Męską Świadomość. Przepraszam – poprawił się. – Jajników”. (Słowo „seminarium” zdaniem Sundrama nie wspiera cyklu idei).

27/2/83

Camille naprawdę robi postępy w dziedzinie odrodzenia. Uświadomiła sobie, że jej bóle głowy spowodowane są porodem kleszczowym. Co więcej, tkwi w nieudanych związkach, gdyż na dziesięć godzin utknęła w kanale porodowym. (Rany, cieszę się, że urodziłam się przez cesarskie cięcie).

28/2/83

Czyż to nie zdumiewające, że trzeba mieć zezwolenie na posiadanie psa w dzielnicy willowej, ale byle głupek może mieć dziecko? Szkoda, że więcej matek nie jest takich jak Sky. Uważa ona, że jej dzieci znajdują się na wyższym poziomie świadomości. Ma Lennona z kierowcą ciężarówki, który podwiózł ją do Noosy. A Zero (ona nie chce, by miał ego) pochodzi z naprawdę prawdziwego związku z astrologiem i nauczycielem jogi. Camille uważa, że ma Jednostkę Księżycową od dr. Love Anandy, Mistrza Intuicyjnej Percepcji Serca. Wybrała wszystkich ojców na podstawie ich wyglądu. Z początku wydawało mi się, że brzmi to trochę dziwnie. Ale słyszeliście o Calvinach Kleinach... Więc co złego w tym, że się człowiek wślizgnie do Genealogii Projektanta?

29/2/83

Trochę się martwię, czy moje jajniki produkują jaja, które następnie wydalają. Zapytałam Camille o zapobieganie ciąży. Powiedziała, że stosuje metodę rytmiczną.

28/3/83

Wiecie, jak nazywają kobietę, która stosuje metodę rytmiczną? Matką. Camille jest w ciąży. Najwyraźniej straciła kontakt ze swoimi jajowodami.

29/3/83

Camille rzuciła Chinga, by się przekonać, czy powinna usunąć ciążę. (Sky, aby poronić, wsuwa do środka wodorost i pije sok z korzenia eukaliptusa). Uważam, że ojciec jest nieoświeconym kmiotem, gdyż jej nie wspiera. Sundram, troskliwy jak zawsze, pomaga jej powziąć decyzję, nawiązując kontakt z jej jaźnią.

30/3/83

Matka Camille musiała mieć bardzo traumatyczny poród. Sundram i Camille

zamknęli się w łazience na wiele godzin, przeżywając go na nowo. Jej nieszczęsna matka mogłaby przez ten czas urodzić trojaczki. Spod drzwi dochodzą dziwne jęki i gardłowe skomlenia.

Już najwyższa pora, bym przestała być taka samolubna. Wezmę się w garść i pomogę Sundramowi i Camille narodzić się ponownie w łazience.

*1/4/83*

Sundrama interesuje jaźń Camille, niech będzie. Wchodzi w nią całą.

*2/4/83*

Miałam pierwszy przebłysk mego przeszłego życia! Byłam egipską księżniczką. Bogowie kazali mi złożyć ofiarę z człowieka i musiałam wybierać między moimi niewolnikami, Camille i Sundramem. Wybrałam Camille.

*3/4/83*

Sundram powiada, że seks to tylko funkcja cielesna. Zaproponowałam, by w takim razie razem się wypróżniali.

Sky powiada, że okazałam zaborczość, zazdrość i ciemnotę (a ja tylko rzuciłam torebkę papki fruktozowej i zgęstniałej fasoli Camille na głowę) i że powinnam po prostu spać z kimś innym.

*4/4/83*

Dziś miałam swój drugi przebłysk. Dzieci Sky wyrosną na sprzedawców odkurzaczy.

Zbyt późno zdałam sobie sprawę z duchowej głębi mego związku z Sundramem i oddania, do jakiego jestem zdolna. Jedynym powodem, dla którego zmałał jego stosik dragów, jest to, że okazuje on hojność dotkniętym nędzą duchową. To znaczy, nie mógłby wypalić tego sam. Każdy, kto wchłonąłby taką ilość cannabisu, zostałby całkowicie odrzucony przez społeczeństwo i byłby skretyniałym ćpunem, czyż nie? Znowu poprosił o mój czek na zasilek i dałam mu go z przyjemnością. Wiem, że nigdy, przenigdy, nie będzie mnie pociągał seksualny jang żadnego innego mężczyzny!

*5/4/83*

Dzisiaj przechwyciłam list do Sundrama z urzędu pomocy społecznej i dowiedziałam się, że naprawdę nazywa się Simon Crudd. I trzymajcie się swoich

asteroidów – był maklerem w banku. To tłumaczy, dlaczego ciągle mówi o inwestowaniu w ludzi, dochodzie psychicznym i równoważeniu poziomów energii. To również wyjaśnia, dlaczego otwiera wodę mineralną, by oddychała, co najmniej na dwie godziny przed wypiciem.

Teraz wiem, dlaczego nie miałam Kosmicznego Orgazmu.

Jego jang diabli wzięli.

*10/4/83*

Camille powiada, że Sundram czytał z jej ręki i powiedział, że kieruje się głową, nie sercem, że seks jest formą medytacji i że ich energie seksualne mogą się naprawdę połączyć, i że będą mieli Kosmiczny Orgazm, a jeśli mu odmówi, zwiększy jego szanse na raka prostaty... „Poza tym – powiedziała – teraz chcę uporządkować swoje stosunki i zorientować się, czy są hetero – czy homoseksualne, a może jedno i drugie. Nie jestem pewna, kogo naprawdę pragnę, Sundrama czy... ciebie”.

Cóż, ja z kolei nie jestem pewna, czy chcę się wiązać z kimś, kto codziennie zjada suszone krowie łóżysko. Człowiek nigdy nie może być pewien, czy któregoś dnia Camille nie zacznie skubać trawy.

*2/5/83*

Śpię teraz z Ulissem. Jest w porządku. Całuje.

*10/5/83*

Przyłapali mnie, jak jadłam kawałek czekolady. „Nie możesz jeść czekolady, Ro, z powodu składników chemicznych” – strofował mnie Sundram. „Dobrze – powiedziałam. – Będę jadła czekoladę i wypluwała wszystkie chemikalia”.

Wtedy Sundram naprawdę się zezłościł i krzyknął na mnie, że powinniśmy jeść tylko warzywa, gdyż dzięki nim jesteśmy bierni i pogodni. On ma naprawdę w mózgu warzywa. Materię nie szarą, lecz zieloną. Powiedział też, że jeśli zmierzałam jeść czekoladę, powinnam się była nią podzielić. Na tym polega komuna – na dzieleniu się (Jasne, chłopakami również!). Camille po prostu wyrzuciła z siebie, że to „sytuacja przekąskowa o dużej zawartości błonnika”, i zaczęła kroić jedzenie do woka. Sundram zabrał japońską zupę, którą kupił w mieście. Sky się wściekła, bo ktoś wypił więcej koziego mleka, niż było zaznaczone ołówkiem na butelce.

Lodówka pełna jest papierowych toreb z wypisanymi nazwiskami właścicieli

oraz kartonów soków z etykietą „Trucizna”, by odstraszyć obcych, którzy mieliby ochotę się napić. Sky warczy na Camille, by przestała siekać skwaśniałą fasolę. „Ta kwaszona fasola jest moja, głupia dziwko”. Tak to właśnie dzielimy się i dbamy o siebie.

16/5/83

Nikt się do nikogo nie odzywa. Sky powiada, że musimy zrobić zebranie, by „odblokować gówno, które nagromadziło się w naszych emocjach”. Po raz pierwszy zorientowałam się, że mam niezwykle skomplikowaną psychikę.

18/5/83

Gdy ustaliliśmy, że wszystkiemu winni są rodzice, poczuliśmy ulgę. Ulissesa wręcz wykopano z domu! Nie tylko z tego powodu, że sprzedawał wszystko, by kupić narkotyki, oraz że miał wrzody z upałów, ale jego nieoświeceni rodzice nie mogli znieść jego programu odtruwania ciała!

20/5/83

W książce *Twoje ciało i ty* przeczytałam o odtruwaniu. Zaraz po przebudzeniu trzeba wypić szklanekę własnego moczu. Przeżywając na nowo nasze poranne pocałunki, wreszcie poczułam, że nachodzi mnie pierwotny krzyk, i zarzygałam cały stół, nakryty do śniadania.

23/5/83

Grządkę warzywną trzeba wypielić, pościel trzeba uprać, dach trzeba naprawić, zlew trzeba przetkać, pytona trzeba złapać i gliny należy ułagodzić z powodu niezapłaconych mandatów za parkowanie samochodu komuny. Nikt nie chce pomóc. Wszyscy podróżują do gwiazd.

25/5/83

Nie wiem, dlaczego wszyscy tak pilnie poszukują inteligentnego życia na innych planetach, skoro nie znaleziono go jeszcze tutaj na ziemi.

30/5/83

Rozmyślałam nad tym i, cóż, może to nie jest dekada magnetyzmu Warzyw. Mamy lata osiemdziesiąte, zgadza się? Środowisko pełne jest chemicznych świństw, mam rację? W jin i jang chodzi o równowagę i harmonię, tak? Choć tego

nie lubimy, nie mamy wyboru i musimy obzerać się hamburgerami, tkwić przed telewizorem i upić się i świrować, gdy idzie się w miasto z dziewczynami... w ten sposób zrównoważymy wszystkie te gówna w środowisku. Mam rację?

*31/5/83 – 151 Dzień Na Drodze Do Oświecenia, Wewnętrznego Spokoju i Harmonii*

Wypadłam z toru.

*1/6/83*

Chyba zostaną punkiem.

**Biuletyn policyjny:** Widziano Zaginioną Osobę, Rowenę Taylor. Podróżuje autostopem w kierunku Sydney.

## **RAPORT**

**Nielegalny przybysz:** Simon Crudd, działający pod nazwiskiem Sundram. Uważany za nielegalnego przybysza z kosmosu. Poszukiwany za hodowanie marihuany.

**Zmiana miejsca pobytu:** Sky. Zaginiona – jedna tożsamość. Uważa się, że zostawiła swój mózg na granicy Queenslandu.

**Zmarły:** *Ulisses*. Zatrucie krwi.

**Pomyłona tożsamość:** Camille ostatnio widziano w towarzystwie Guru Reinkarnacji. Teraz działa pod pseudonimem Cesarzowej.

**Umiejscowiono:** Rowenę Taylor.

W śródmieściu. Poszukiwana za wykroczenia drogowe, przejechała dogmaty swoją karmą.

**SPRAWA ZAMKNIĘTA**

# **SIOSTRY SUSHI**



## *Pas karaluchowy*

Wszyscy mężczyźni są wstrętni. Śmierdzą potem pod pachami, mają ślady ukąszeń, pęcherze i brudne gacie z napisem: „Niech w tym będzie życie”. Łypią ku mnie pożądliwie, leżąc na łóżku do masażu.

– Jakies dodatkowe usługi?

Ten salon to moja pierwsza praca, po tym jak dziś rano uciekłam z naszej dzielnicy willowej. Moja matka grzała za mną po podjeździe jak gorące wałki w jej włosach. Miliony razy groziłam, że ucieknę, lecz dopiero po dziesięciu latach spakowałam tobołek. Poprzedniego dnia poprosiłam mojego nauczyciela matematyki, by mi wytłumaczył, do czego w późniejszym życiu przyda mi się umiejętność wyliczenia kąta, pod którym skręca linia kolejowa. „Milcz, kiedy mówisz do nauczyciela” – powiedział. W przedszkolu przez cały czas uczył dziecko mówić. W liceum cały czas poświęcają na wpojenie uczniowi, by się zamknął.

Na Dworcu Centralnym czarnym mazakiem podkreśliłam ogłoszenie: „Pomocnik kręgarza”, i podążyłam do Newtown.

Czy wiecie, jak to jest, gdy człowieka skręca w brzuchu? No więc ten facet wyglądał jak uosobienie mdłości. Na plakietce na jego białym fartuchu, który natychmiast zdjął, było napisane: „Ron Smart, kręgarz”. Rozłożył się golusienki na stole i nauczał mnie technik ugniatania. Gdy odwrócił się przodem, jego erekcja praktycznie biła mnie po oczach. Zastanawiając się, czy wejść na niego, pod niego, czy też udawać, że nic się nie stało, ochłodziłam atmosferę, wygłaszając entuzjastyczny wykład na temat kątów, pod którymi skręcają linie kolejowe. Mój pracodawca powiedział mi, ile się bierze od masażu i na jaki procent mogę liczyć. Wzięłam tę pracę.

Zatrudnił jeszcze jedną masażystkę, dziewczynę, która wyglądała na punkowe, o imieniu Mouche. Jakies dziesięć kolczyków zwisało jej z każdej wahadłowej małżowiny. Nosiła skarpetki w paski, kolorowe buty gimnastyczne i organdynową suknię balową w kolorze mandarynkowym, kupioną w sklepie z używanymi rzeczami. Była to sukienka, w którą należało się wlać. I nikt nie powie: „Wystarczy”. Dziewczyna była parę lat starsza ode mnie i niesłychanie uprzejma. Przez cieniutką zasłonę, oddzielającą dwie kabinki, doszedł mnie niski, pożądlivy gwizd. „Co chcesz, żebym zrobiła, kolego?” – usłyszałam burknięcie Mouche w odpowiedzi na sygnały, wysyłane przez lubieżnego klienta. – „Zaszczekać? Czy tylko obsikać ci nogę?”.

Pierwsza skończyłam z moim klientem i w ponurej poczekalni przeglądałam

prehistoryczny numer magazynu „Cleo”. Pomiedzy ogłoszeniami najmodniejszych projektantek mody i kremami usuwajacymi piegi, zamieszczono historie Roxanne, ktora miala wyglodniale uda i zapuszczala sie w niebezpieczne rejony nocnego Nowego Jorku, pozerajac męczyzn. Doszlam wlasnie do naprawde sliskiego kawalka, gdy Roxanne weszla do „Zacisza Platona”, baru, w ktorym w szatni oddaje sie nie tylko plaszcz, ale wszystkie ubrania, i zastanawiala sie, czy wejsc do mekki macantow, czy tez przystani lesb, gdy ze swojej kabiny wylonila sie Mouche.

– Skonczylas? – Jej palce, tak jak moje, byly poczerniale od martwego naskorka.

– Nie. Zostawilam swintucha z paczka papierowych chusteczek.

– Chyba nie...

– Owszem – odparla niedbale. Patrzylam, jak zabazgrala szminka tapete pokryta kwietnym wzorem. – „Męczyzni ssą – napisala. – Chce natychmiast wyleciec z pracy”. Mouche powiedziala mi, ze opieka spoleczna uwaza, ze ona w ogole sie o prace nie stara. To zajecie zamknie im na chwile usta. „Powiedz... to... kwiatami... „. Czepialam sie kazdego listu Maxa Factora z zachodem slonca na Hawajach. „Przyslij... swojemu... męczyźnie... rosline zmutowana genetycznie”. Mouche umiala dac sobie rade w zyciu. Ja zas bylam troche posrodku.

Mój nastepny klient oparl sie chwiejnie na lokciu.

– Ktory numer stanika nosisz, zlotko? Jestem fotografem. Zawodowcem. Przyjmuję zamowienia na wszystko. Wielkie tyłki, male cycki, amputacje... Niektorzy faceci po prostu chca ogladac sesje fotograficzne przez dziurke. – Naklaniajac go, by sie polozyl, usilowalam przez szpare miedzy naszymi kabinkami nadac Mouche sygnal SOS. – Jezeli faceci podniecaja sie, ogladajac pare fotek, nie zgwalca potem takiej slicznosci jak ty, zgadza sie? Jedna z dziewczynek, ktore pracuja dla mnie – zaczela przed dwoma miesiacami – teraz chwycila byka za rogi. Ma wlasnego forda lasera, mieszkanie i w ogole. – Oszacowal mnie wzrokiem. – Stanik dwójeczka...

Slyszac, ze drzwi wejsciowe znowu sie otwieraja, wywinelam sie od tej rozmowy, ktora kojarzyla mi sie z papierem, jaki sie kladzie na deske klozetowa. Dwaj masywni męczyzni w ubraniach rozdetych od ich poteznych sylwetek weszli do poczekalni. Palce rozbolaly mnie na widok wzgorkow ich muskulow. Spojrzalam na Mouche. Ogladala sobie konce utlenionych wlosow, zeby zobaczyc, czy sie nie rozdwarzaja, po czym odgarniala felerne pasma. Mój upiorny klient pokazal sie w swym slubnym garniturze w drzwiach kabinki.

– Detektywi – syknęła na niego Mouche. Miała głos jak środek owadobójczy. Facet skurczył się i zmiotło go na ulicę, aż zniknął nam z oczu. Szukali naszego szefa, Rona Smarta. – Najwyraźniej go nie ma – prychnęła Mouche, wyciągając nasz dzienny zarobek z biurka. – Nie jest kręgarzem z papierkami, o to chodzi?

– Mamy nakaz aresztowania – powiedział detektyw głosem jak pneumatyczny świder – pod zarzutem morderstwa. – Poprosili o nasze nazwiska.

Przygotowałam się na podanie im zestawu dat, przyzwyczajęń, ulubionych kolorów, najważniejszych wykazów, poglądów politycznych... Joannę Prit...

– Tracey Wonderley – wtrąciła Mouche – I Karen James. (Była to dla mnie nowość).

– Ile masz lat? – zapytał mnie drugi detektyw.

– Siedemnaście – skłamała gładko Mouche – a ja osiemnaście.

Zaczął mnie pouczać, jak ważne jest poczucie godności własnej i jak łatwo sprowadzić dziewczynę z drogi cnoty. Skinęłam głową. Kiwałam potwierdzająco na wszystko, co mówił, jak pies, który siedzi za tylną szybą samochodu w zachodniej dzielnicy willowej.

– Cóż, Tracey – powiedział do mnie – powinnaś dziękować Bogu, że nie leżysz rozłożona na noszach w miejskiej kostnicy.

Podziękowałam mu z miejsca. A nawet nie rozmawialiśmy ze sobą. Widzicie, pochodzę z duchowo schizofrenicznej rodziny. Moja matka jest żarliwą katoliczką. Tata protestantem. Co wieczór mama otula mnie i odmawiamy *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna*. „Pójdiesz jutro na lekcję czytania katolickiego Pisma Świętego, kochanie, prawda?”. Potem tata przychodzi do mojego pokoju i przerabiamy nasz gorszy religijny repertuar. „Dobry Jezu, cichy i łagodny... Jutro są zajęcia z czytania Pisma Świętego Kościoła Anglikańskiego. Liczę na ciebie”. Schwytana między dwa bieguny moich pobożnych rodziców, wyrosłam na żarliwą ateistkę.

Monotonia jego moralizującego głosu sprawiła, że jeszcze raz kiwnęłam uśmiechniętą głową na sprężynce. Mouche pakowała wszystko, co dało się wynieść, do swej ogromnej torby: radio z zegarem, bibułka, ręczniki i roczny zapas oliwki dziecięcej. Podczas gdy detektywi przeszukiwali lokal, pociągnęła mnie mocno za łokieć.

– Chodź, Tracey. – Przerzuciła torbę, jak dysk, przez płot i śmignęła za nią. Oszołomiona jak po wybuchu, z dudniącą mi w głowie melodią *Miami Vice*, pobiegłam za nią. Pędziłyśmy do bocznej alejki. – Nigdy nie podawaj gliniarzowi prawdziwego nazwiska, kretynko. – Przypatrzyła mi się po raz pierwszy – mojej sportowej sukience w kropki, opiłowanym paznokciom i różowym klipsom. –

Wyglądasz jak podmiejska ciota w tych ciuchach. Niech ja skonam!

Ledwo udawało mi się wykrztusić słowo. Do ubrań nie miałam już głowy. Rzuciła mi przez ramię spojrzenia pełne dezaprobaty, potem spod gumy w majtkach wyciągnęła zwitek banknotów i odwróciła się do mnie.

– Masz. W chwili paniki – wyciągnęła połowę banknotów i rzuciła mi – nie trać głowy. A teraz zabieraj to. Będiesz mogła wrócić bezpiecznie do Lamington Belt.

– Nie wracam do domu.

– Co! Wynosisz się?

– Chcę być piosenkarką. Albo tancerką. Albo poetką. Albo pisarką...

– To w końcu kim?

– Sama nie wiem... Co się nadarzy najpierw.

– Świetnie – rzekła z krzywym uśmiechem, szacując mnie wzrokiem. – Więc się staraj. Nikomu w tym gównianym kraju nie chce się podnieść dupy, żeby cokolwiek zrobić, więc jeśli ci naprawdę zależy, uda ci się.

Pojawił się przed nami autobus, jadący w stronę miasta. Przejrzałam swój notesik z adresami. Były tam dwa nazwiska. Dentysta rodzinny i pomocnica nauczycielki angielskiego, Imogen. Nikt nie chciał uczyć na zachodnich przedmieściach. Mieliliśmy pomocników nauczycieli, którzy pomagali pomocnikom nauczycieli. Wszyscy inni już by mnie do tej pory wykreślili ze swoich notatników adresowych, zwłaszcza krewni. Autobus beknął błękitną chmurą spalin.

– Czy wiesz, że w Nowym Jorku są nocne kluby – moje słowa robiły fikołki, by dostać się jedno na drugie – gdzie oddajesz nie tylko płaszcz, ale wszystkie swoje ubrania?

– Nie wciskasz mi kitu? – roześmiała się. – Wiesz, jak złapać autobus? – Popatrzyłam na nią, jakby była opóźnionym w rozwoju kmiotkiem. – Chichocz bez przerwy – usiłowała przekrzyczeć ryk diesla – trochę się zarumień, spuszczaaj wzrok, stań z palcami u nóg zwiniętymi do środka, zapomnij na chwilę, dokąd jedziesz, rzuć kierowcy uśmiech i poproś o ulgowy. Kapujesz? – A potem wcisnęła mnie do autobusu.

Parująca woda waliła mnie po plecach. Wyciągnęłam śliski kawałek rozpadającego się mydła z pojemniczka. Pokryty był włosami łonowymi. Pulchne kobiety, o czerwonych z gorąca ciałach, szorowały pokryte dołeczkami uda i cellulit. Jedna oglądała znamię pod lewą piersią. Inna wytarła nos w palce i rzuciła smarki do kratki odpływowej między nogami. Dziewczęta o piersiach elastycznych

jak kauczuk wyginały gibkie ciała, by wygolić odrastające kępki włosów łonowych.

Mouche szantażem zmusiła znajomego studenta uniwersytetu, by dał jej swoją odznakę sportową. Co drugi dzień przychodziła do ośrodka sportowego, by wziąć nielegalny prysznic i popływać w chlorowanej flegmie.

Ja byłam wychowywana w kokonie z watoliny. Nic nie przygotowało mnie na spotkanie z Mouche. Mouche była egzotyczna. Nie tylko mieszkała w komunie, pisała piosenki, nie wkładała majtek, nosiła ze sobą brzytwę i farbowała włosy łonowe na ten sam kolor co na głowie („kołnierze i mufki” jak to nazywała), a także umiała pierdzieć.

– To po prostu bekanie – wytłumaczyła – tyle że w odwrotną stronę. – Tu i ówdzie grywała na ulicy. Nowa Błękitna Klinika aż pieniała się z obrzydzenia wokół nas. – Mogę cię nauczyć. Jaką melodię chcesz wygrywać? Zastanawiałam się przez chwilę.

– *Auld lang syne.*

– Czy można zapomnieć starych przyjaciół?

– I to szybko.

– Kogoś w szczególności?

– Po prostu wszystkich mężczyzn. Po dzisiejszym ranku mam ich dosyć.

– Co takiego? – Oblała mnie paroma garściami wody. – Jako rodzaj?

Ale najlepszy był jej śmiech. Był to tropikalny hałas, który ogrzewał wszystkich dookoła. Mouche potrafiła wszystko: przekłuć sobie uszy kostką lodu i igłą, odgadnąć długość penisa mężczyzny na podstawie palca wskazującego, grać na gitarze, na pianinie i śpiewać. Pod prysznicem zaczęła układać piosenkę o mężczyznach „zjadających swoje panie... na perfumowany lunch...”.

„Na tyle mercedesa” – dodałam, a ona wplotła to w swoją melodię. Wymyślałyśmy nowe wersy, szukając rymów, układając melodię, a potem łącząc ją ze słowami. Pod koniec trzech wersów i chórkę doszłyśmy do palców truposzy.

– Gdzie chcesz mieszkać? – Sieć „Hiltonów” nie ofiarowywała mi apartamentów z basenem. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, trąciła mnie łokciem, pokazując dziewczynę, która stała w klapkach na rzemyki, na zakażonych grzybicą deskach. Mouche rzuciła jej uśmiech. – Przepraszam, ale jak kompletna kretyńska zapomniałam szamponu. Mogę od ciebie kapkę pożyczyć? – Mouche wróciła z małą zieloną kałużą chemikaliów na dłoni i rozmydliła mi na głowie luksusową pianę. – Możesz zatrzymać się u mnie. – Oszacowała mnie wzrokiem. – Chociaż na to jesteś trochę za normalna.

– Nie jestem! Robiłam wszystko! Chodziłam z chłopakami, paliłam dragi, wachałam klej, kradłam ze sklepów, śpiewałam na scenie, byłam na Bali...

– Phi – prychnęła. – Jesteś zmanierowana. – Popatrzyła się na mnie spod oka. – Lubię cię. – Nagle dał się odczuć kwaśny zapach moczu. Wszystkie kobiety pod prysznicem popatrzyły na siebie oskarżycielsko, odsuwając palce od kratki odpływowej. – Śmieszysz mnie.

W kiblu obłożyłam siedzenie warstwami papieru toaletowego. W ciągu moich piętnastu i trzech czwartych lat życia matka przekazała mi tylko parę praktycznych mądrości. Nigdy nie zaczynaj zdania od „więc”, nigdy nie mów imienia Pana Boga nadaremno, zawsze naciskaj guziki w windzie kłykciami i zakręcaj kurki łokciami i nigdy nie siadaj na desce klozetowej. Nie chcąc złapać żadnej modnej fauny wenerycznej, siedziałam otulona jak w torbie kangura. Przykucnięta, wyciągałam szyję, by odczytać graffiti na górze drzwi. „Po co kucać? – naśmiewał się napis. – Zarazki skaczą trzy metry”. Odniosłam wrażenie, że w przeciwieństwie do Roxanne w „Zaciszu Platona” oddam tylko płaszcz. Jeśli mam szaleć, na razie będę to robić na paluszkach.

Komuna znajdowała się w Woolloomooloo. Tynk z sufitu obłaził plastrami jak łupież. Ze ścian odrywała się izolacja i wymalowane pastelami sceny pasterskie. Wszystko trzeba było posmarować wazeliną, by się nie łuszczyło. Gdy mieszkańców od czasu do czasu ogarniało szaleństwo i postanawiali zmienić wystrój, zbyt ciężkie meble najwyraźniej malowano tym, co było pod ręką. Pod nieobecność lokatorów komuna przedstawiała sobą róż w odcieniu fuksji oraz cytrynową żółć, upstrzoną dużymi tablicami w kolorze purpury. Reprodukcje dzieł sztuki były przybite gwoździami, przyklejone albo rozsmarowane po ścianach. Z wklęsłego dachu dyndała amputowana noga krzesła. Uchyliłam się przed nią, lecz rąbnęłam głową w ukradziony znak uliczny. – „Zawróć – głosił. – Poruszasz się w niewłaściwym kierunku”.

– Witaj w sercu karaluchowego pasa – rzekła Mouche. Z rumowiska wyłonił się Max. Anorektyczny i kultywujący zdrową hodowlę pryszczycy, bardziej przypominał precel niż człowieka.

– To jest Jo. Myślałam, że dołoży się do czynszu.

Jego oczy, obwiedzione tuszem, zaśniły szyderczo.

– Jasne. I do rachunku za telefon, ciepłą wodę, do spłaty procentów, pożyczki i do elektryczności... – Uśmiechnął się sztucznie. Miałam się dopiero przekonać, jak się żyje bez tych wszystkich rzeczy. – Na rurach są krople, jakby potrzebowały antyperspirantu. A papier toaletowy można wrzucać do kibla tylko po lunchu.

– Max ma zamiar wywiesić znak na drzwiach – zaśmiała się Mouche – „Nie działa. Użyj komuny obok”.

Natychmiast go polubiłam. Max, mało że wdawał się w ryzykowne sytuacje – szedł na całość. Zwolniony warunkowo po odwyku narkotykowym, właśnie wyzwolił się spod zaborczej opieki rodziców. Pojawił się z talerzem grzanek z serem. Z góry dochodził łomot.

– Mong – poinformował mnie Max. – Dudni tak całe popołudnie.

Mouche zamilkła. Jej usta wykrzywiły się, a potem cała twarz.

– Mong?

– Lloyd. Miłość jej życia – wyjaśnił Max. – Nazywamy go Mongoloidem. Stąd Mong.

– Mieliśmy taką szaloną noc. W „Paryżu”... nie w mieście – wyjaśniła, widząc, że ze zdumieniem unoszę brwi. – W pubie „Paryż”. W kiblu. Byłam trochę nie w sosie, a on poszedł za mną do damskiej toalety, zamknęliśmy się w kabinie, napiliśmy się jeszcze tego świństwa, a potem pamiętam tylko, że miałam tyłek w powietrzu, różowa glazura, muszla klozetowa, a ja leżałam na plecach. A później, kiedy wyszliśmy, wylałam na niego szklanek wina, potem któregoś dnia stanęłam przed jego zespołem, kiedy mieli próbę, on też tam był, a ja nie ogoliłam nóg i on powiedział: „Złotko, masz nieogolone nogi”, a ja pomyślałam: „wstrętny dupek”. Zapytał mnie wtedy, czy chcę odegrać jeszcze raz tę noc w „Paryżu”, a ja powiedziałam mu, że nie pieprzę się z niskimi mężczyznami, i wkrótce potem się wprowadził.

– O rany, jakie to romantyczne. – Te wszystkie moje pierścionki, którymi się wymienialiśmy, i obmacywania w kinach, gdzie filmy ogląda się w samochodzie, wyglądały jak poemat miłosny Keatsa. Słyszałam, jak Mouche wręcza Mongowi emocjonalne zawiadomienie, by się wynosił.

– Wykorzystywałaś mnie. Wszystkie feministki są pierdolone. Chodziło ci tylko o moje ciało – wyrzucił z siebie.

Przyznała mu rację i rzuciła za nim ze schodów barytonowe ukulele oraz marihuanę domowej roboty.

– Nie znoszę fajtłap – wytłumaczyła mi.

A więc wyprowadził się. A ja, najwyraźniej, zajęłam jego miejsce.

Pokój Mouche składał się z materaca, z którego wyszło włosie, i oblaźłego lustra. Rajstopy i rzucone byle gdzie podkoszulki tworzyły węzeł spaghetti kolorowej bawełny, ciągnący się przez cały pokój. Sypialnia z tyłu została jakby oskalpowana, dach usunięto, by go naprawić, i nigdy nie wstawiono. Spać można

było tylko w łóżku Mouche, z Mouche.

Nie mam pojęcia, dlaczego sprowadziła mnie do tego domu. Zwróciła na mnie uwagę, tak jak się zauważa sukienkę na wystawie. Podobał jej się mój sznyt i kombinacja kolorów. Ale nie byłam Gucci ani trochę. Byłam najzwyczajniejszym szybko schnącym nylonem. Ale najbardziej polubiła mnie dlatego, że pozwoliłam jej wyciskać wągry. Uwielbiała to. Leżałam z głową na jej kolanach, trzymając latarkę nad moją twarzą i rozmawialiśmy.

– Zjadłabyś mnie?... Siedz spokojnie, dobrze? Gdyby nasz samolot rozbił się w dżungli?

Wspaniale się z nią gadało. Same gówniane bzdury, o których normalnie człowiek wstydzi się rozmawiać. Porównywałyśmy pępki, nasze wewnętrzne i zewnętrzne walory. Ustalałyśmy, czy wydałybyśmy tajemnicę, gdyby nas torturowano. I kiedy byśmy się poddały – pod groźbą noża, na widok pająka, karalucha czy też gdyby nas zamknięto w pokoju pełnym sprzedawców nieruchomości.

– Och! Nie tak ostro! – pisałam. – Wystarczy, żeby mi zagrozili, że mnie odeślą do rodziców, a powiem wszystko.

– Tym nie mogliby mnie postraszyć. Bogu dzięki. Chyba nie ma nic gorszego niż wychowywanie swoich starych. – Mouche wyznała mi pod prysznicem, że jest produktem ubocznym rodziców zastępczych i domów dziecka.

– A co by ciebie złamało? – zajrzałam jej w twarz. Z jej oczu, zielonych jak kwas, wyzierało draństwo. Mouche wytarła resztki prosaka o nogawkę swoich dzinsów. Jej palce przebiegały po guzkach na mojej twarzy, jakby to było pismo Braille'a.

– Gdybym nie miała więcej orgazmów.

Tej pierwszej nocy rozmawialiśmy, póki nie poopadały nam szczęki. W końcu wsunęłyśmy się pod wynędzniały koc. Pokój przypominał scenę, oświetloną neurotycznym blaskiem latarni ulicznej. Nocne dźwięki syren i skrzeczenia kotów były czymś nowym i przerażającym. Odkąd pamiętam, zawsze zasypiałam przy hałasie maszyny do zmywania i kłapaniu kapci moich rodziców, przedzierających się przez luksusowy, gruby dywan. Im bardziej starałam się nie myśleć o moich rodzicach, tym natarczywiej wspomnienia o nich chodziły mi po głowie. Mieli na moim punkcie naprawdę wielkie ambicje: że zostanę przedszkolanką albo pomocnicą w aptece. Odkąd powiedziałam im o moim artystycznym powołaniu, moi rodzice i ja tylko na siebie burczeliśmy. Ojciec wracał do domu co wieczór z klimatyzowanej fabryki i szedł napełniać wodą basen. Ciągłe to robił. Chyba miał



nadzieję, że się rozrośnie do wymiarów olimpijskich. Mama udawała, że daje sobie radę z moimi artystycznymi aspiracjami. Jednak przez ostatnich kilka tygodni zamiast tabletek detergentu wrzucała do pralki pokarm dla świnki morskiej, tak że nasze ubrania były szlamowate i miały brudnozielony kolor.

Powtarzałam ich codzienne przemowy, jakby nagrane na taśmę. „Przybiegniesz do domu w ciąży i będziesz miała kłopoty z policją. Zanim się odnajdziesz – dowcipkował ojciec – w domu już nikogo nie będzie”.

Na mojej książeczce czekowej było niewiele, za tydzień będzie to pustynia. Spojrzałam na profil Mouche na poduszce. Miała oryginalne rysy. Piękne. Twarz o zdecydowanym zarysie, ciemna cera. Nie była to uroda, która nadawałaby się do reklamy podpasek. Włosy miała puszyste, wyglądające jak uczesane, w które można by wkładać kwiaty. I ta mała nie miała wągrów. Znalazłam przyjaciółkę. Przytuliłam się do niej nagimi plecami, żeby się ogrzać, i złączone jak dwie łyżki, zasnęłyśmy.

Następnego dnia Mouche wzięła mnie do urzędu pośrednictwa pracy, żebym pobrała zasiłek.

– Zaproponuj ci jakieś gówno – powiedziała i zaczęła mnie pouczać, jak nie dostać pracy.1) Ubierz się w niechlujne, brudne ubrania.2) Zawsze się spóźniaj.3) Na końcu każdego zdania mów „ale” i używaj pytającego tonu.4) Na pytania o poprzedni zawód pisz poetka, harfistka albo kastratka dziobaków (na pół etatu).5) Gdy zapytają, czy masz jakieś pytania na temat miejsca pracy, odpowiedz, że masz tylko jedno. Kiedy dają urlop? 6) Przeklinaj. Naprawdę pieprzona banda.

Urzędniczka przerzuciła stos różowych karteczek.

– Umiejętności? – Z jej sposobu bycia wynikało, że nie umiałam dać sobie rady na zajęciach z dłubania nosa w przedszkolu.

Umiejętności? Potrafię wyciągnąć górne C, zatrzymać na autostradzie faceta z erekcją i nie zostać zgwałcona, przyrządzić grzanek z serem, łowić jadalne morskie żyjątka, rymować trudne słowa. Uczyłam się pierdzieć, mam dobre słownictwo (tyle że piszę „finitycznie”. Można się wściedz, co) i zawsze wiem, kiedy ktoś chce mnie zrobić w konia. Po prostu mam jakiś czujnik, który zaczyna wysyłać sygnały w obecności tych, którzy włożą bez wazeliny, dyrektorów szkół, rasistów, handlarzy nieruchomości, żonatych i – uderzyła swoimi polakierowanymi szponami w blat biurka. „No... żadnych” – wyznałam – i wyniosłych urzędniczek w biurze zatrudnienia – „Wiek?” – które są wyznawczyniami wiekizmu. – „Piętnaście i dziewięć miesięcy”.

Wyznaczyła mi przeznaczenie. Przeczytałam kartkę pomiędzy jej

wypielegnowanymi paznokciami. Pomocnica do wyrzucania kurzych kup w Zetlandzie.

– Zaczynasz dzisiaj. – Mouche ubrała mnie w błyszczącą, zjedzoną przez mole minispódniczkę z taką samą górą. Urzędniczka spojrzała na moje ciało, prześwitujące przez dziury. – Tylko nie próbuj żadnych sztuczek. Biorą wszystkich nieudaczników.

Mężczyźni twierdzą, że mogą policzyć na palcach jednej ręki, ile razy płakali. Przypuszczam, że kobiety potrafią policzyć, ile razy stanęły przed ścianą. To znaczy, większość kobiet. Nie Mouche.

– Pani się wydaje, że kim pani jest – rzekła z pogardą, biorąc kartkę. – Bogiem?

Urzędniczka zadzwoniła po następnego kandydata, mierząc nas zimnym wzrokiem.

– Tak.

– No więc, jesteśmy ateistkami. – Mouche podała kartkę i klnąc, wypadła z biura. Szłam za nią po Oxford Street.

– Czy nie odbierają zasiłku, jeżeli się odrzuci ofertę pracy... nieważne jak kretyńską?

– Te cioty oczekują, że będziemy im wdzięczni za każde gówno. W gazetach ciągle skamlą o tych, którzy wyłudniają zasiłki. Gówniarze to ci, którzy wyłudniają dywidendy i pieprzą ten kraj.

Dotknęłam paru dolarowych monet, które miałam w kieszeni.

– Mouche, wiem, że być na zasiłku to jak przyjmować insulinę, ale to przynajmniej podtrzymuje człowieka przy życiu.

– Wyrzucanie kurzych odchodów w fabryce to powolna forma samobójstwa. – Obeszła budynek poczty, naciskając „zwrot monety” w rzędzie czerwonych telefonów. Ostatni wyrzucił dwudziestocentówkę. „Po co zabijać czas, skoro można zabić siebie?”. Wcisnęła mi monetę w garść. – Przeżyjemy – uśmiechnęła się. Wtedy i tam przysięgłyśmy, że nigdy nie upadniemy tak nisko, żeby opróżnić baseny albo być kasjerką w banku.

I tak zaczęły się nasze przygody. Śpiewałyśmy na rogach ulic albo przybierałyśmy kwiatami ubrania na Hills Hoist na tyłach sztywnego Paddingtonu. (Powiadają, że dobroczynność trzeba zacząć od domu... tylko należy starannie wybrać okolicę). Żywiłyśmy się resztkami. Zjadałyśmy to, na co akurat miałyśmy pieniądze. Sprzedawcy na targu owocowym Paddy’ego dawali nam

jakieś resztki. Musiałyśmy zjadać je szybko, póki były po odpowiedniej stronie góry owoców. Ale potrzebowałyśmy tej dawki penicyliny, by nie zaatakowały nas bakterie.

Towary spadały z ciężarówek w Woolloomooloo. A Max był zawsze na miejscu, żeby je złapać. Jeden tydzień przeżyliśmy na soczewicy z puszki, następny na muesli, zastanawiając się, jak ugotować sześć tuzinów żarówek. W okrutnym przeciwieństwie wobec wnętrza lodówki, Max wymalował na jej drzwiach półki z jedzeniem, od którego ślinka szła do ust, jak gdyby przez osmozę i pozytywne sugestie pastelowe ciasto z jabłkami i świeżące arbuzy magicznym sposobem zmaterializowały się w środku.

Od czasu do czasu jedliśmy placek z mięsem ze schroniska Matthewa Talbota dla bezdomnych mężczyzn albo miskę warzyw i ryżu ze świątyni Hare Kriszna, choć dodawali do swych bezpłatnych posiłków zapach religijny. Eksperci właśnie wyliczyli, że przeciętna porcja wyżywienia dla psa zawiera połowę zalecanej dziennej dawki protein i wapnia dla ludzi. Dywan w komunie, choć wygryziony, nigdy nie był odkurzany i na pewno zawierał mnóstwo składników odżywczych. Gdybyśmy rzeczywiście znaleźli się w podbramkowej sytuacji, zawsze moglibyśmy ugotować kawałki dywanu jako sos do kawałków mięsa dla psa.

Resztę naszego dziennego pożywienia zawdzięczaliśmy Marie Antoinette. Mouche, udająca przedstawicielkę schroniska dla dziewcząt zbiegłych z centrum, namówiła miejscową cukiernię, by oddawała nam niesprzedane słodkości. Za pięć dolców trzydzieści codziennie wywoziliśmy ciepły, pełen węglowodanów ładunek szarlotki, eklerków czekoladowych, bitej śmietany, babeczek z budyniem i ciasta. Od ciastek na śniadanie, obiad i podwieczorek tyliśmy i dostawaliśmy pryszczki. Jak na parę głodujących wykolejeńców byliśmy dosyć tłuści i ciało zaczęło nam obwisać.

Mouche i ja improwizowałyśmy życie. Ja pławiłam się w niegasnącym blasku jej reflektora. W sklepie Davida Jonesa zastygłe manekiny przyprawiały nas o spazmy śmiechu. Wszystko przybierało ich woskowy wygląd. Świat stał się wystawą rekwizytów teatralnych, po którym buszowałyśmy bez przeszkód.

Nad filiżankami cappuccino, tak wielkimi, że można by pływać w nich dookoła, spisywałyśmy nasze listy Pewnego Dnia. Pewnego Dnia przeczytam całego Szekspira, Mouche nauczy się grać na saksofonie. Pewnego Dnia napiszę powieść. Mouche wiersz. Kupi fortepian Steinwaya. Ja kupię basen olimpijski. Ona nauczy się japońskiego. Ja wolę stepować. I staniemy się słynnym duetem pieśniarskim.

– Ale nie tutaj – przekonywała żarliwie Mouche. – Za granicą. Australia jest

taka bezpieczna. Nic tu nigdy się nie dzieje. Nie ma o co walczyć. Nie ma granicy, za którą walisz się w przepaść. – Piana z cappuccino utworzyła albinotyczny wąs wokół jej ust. – Każdy, kto jest kimś, już dał nogę. Barry Humphries, Miles Franklin, Clive James, Christina Stead...

– Peter Allen – pisałam.

– Bruce Beresford, Germaine Greer, Peter Weir...

– Germaine kto?

Mouche uznała, że jedyna różnica między jogurtem i Australią polega na tym, że jogurt ma własną kulturę. „Australia jest do dupy”. Dziewczyny z biura zionęły wściekłością, patrząc na winylową spódnicę mini Mouche i jej rajstopy z wzorem lamparciej skóry.

– Ale czy powodem tego, że wszyscy ludzie do rzeczy dają nogę, jest to, że wszyscy ludzie do rzeczy dają nogę?

– Ten kraj jest martwy od brwi w górę. Jesteśmy intelektualnymi nekrofilami dlatego, że tu żyjemy, do kurwy nędzy.

– Naprawdę? – Zabarwiała każde moje zdanie, mój umysł był jak papierek lakmusowy, chłonący wszystkie jej opinie. – To pryśnijmy do Londynu. Na Earl’s Court. Zachował tradycję.

– Nie. Angole też są martwi. Od pasa w dół. Są przeczuleni na punkcie seksu.

– A Nowy Jork? W Nowym Jorku – powiedziałam – podają jaskrawozielone koktajle i kawior w rosyjskich herbaciarniach, właściciele psów mają łopatki do zbierania ich kup i trzydzieści osiem tysięcy ludzi śpi nocą w metrze.

– Nie pieprzysz? – wykrzyknęła.

No więc stanęło na Nowym Jorku.

Nazwałyśmy się Siostrami Sushi. Dlatego, że o tym śpiewałyśmy. O prawdziwym życiu. Uranie, wojnie, gwałcie, bezrobociu, pornografii, Bliskim Wschodzie, prezydencie Reaganiu, szoku toksycznym i terroryzmie. Te składniki nie zawsze przechodziły przez gardło publiczności, przyzwyczajonej do groszku i tłuczonych kartofli. Wyskakiwałyśmy z supermarketów i parkingów na niczego niepodważających przechodniów, atakując ich piosenką. Ludzie albo patrzyli na nas z góry swymi dobrze opłacanymi oczami z prywatną sekretarką, albo śmiali się i rzucali nam dwadzieścia centów.

Jedyną pułapkę w naszym przedsięwzięciu stanowiła policja. W Sydney, mieście, gdzie popełnia się najwięcej przestępstw w kraju, trzeba było mieć zezwolenie na śpiewanie.

Jedną z wielkich tajemnic życiowych jest sposób, w jaki ludzie wyrastają na

przeciwieństwo swych imion. Spotkaliście kiedyś pełnego nadziei człowieka o imieniu Faith – Wiara. Joys – Radość zawsze ma skłonności samobójcze. Charities – Dobroczynność zawsze po raz drugi używa torebek od herbaty. Powiadam wam, jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, nazwę je „Brzydał”, „Dureń”, „Głupek” albo „Brutalny, Bezдушny Kapitalista”, „Oszust Sprzedający Samochody”. Okazało się, że biurokraci cierpią na ten sam syndrom. Aby móc śpiewać na ulicy, trzeba było złożyć podanie i odbyć przesłuchanie przed tęnym urzędasem.

– Wasze występy – zaskrzeczał do plamy z sosu pomidorowego, która znalazła stałe schronienie na jego wełnianym, wzorzystym krawacie – są nie do przełknięcia dla publiczności. – Rozwinął listę telefonów, które przysły do jego biura z zażaleniami na nasz ryzykowny repertuar.

– Ciota – syknęła Mouche pod nosem. Zabronił nam zdobywania pieniędzy na ulicach pod groźbą aresztu i kary. – Dupek – dorzuciła jeszcze jedną subtelną uwagę na stronie. Nie, nie. Obiecałyśmy, że już Nigdy więcej.

Gdy czarowałyśmy zajadający się kanapkami tłum w słonecznym Hyde Parku tego samego dnia, spostrzegłam zbliżające się wysokie buty i ciemne okulary.

*Po co się katować dietą, by wyglądać atrakcyjnie?*

*Po co ćwiczyć, skoro jesteśmy radioaktywni,*

*Nie tak jak w kinie, ziemia nie ma dalszego ciągu.*

*Hej, panie Reagan! Spalą nas tak samo!*

W połowie piosenki przerzuciłyśmy się na stronę B naszego repertuaru: *Hej, nonny no, trzech Cyganów stało w lesie daleko lii la Nonnny no...* Obie zostałyśmy aresztowane.

– Z ciebie to prawdziwa dupa. – Mouche uznawała wszystkich za dupy. Wywinęła się z uścisku policjanta. – Tylko mniej z ciebie pożytku. – Kopnęła go w łydkę.

Policjant wepchnął nas do nowej budy z dźwiękoszczelnymi ścianami i bez okien. Mouche powiedziała, że musi zatelefonować. Ja opadłam na korytarzu, przygotowując się do więziennego życia – wielokrotnych gwałtów, walk na noże, jedzenia złożonego z pieczonej fasoli, wączania kleju, dzielenia celi z psychopatą, który nie może spać... Sierżant, który eskortował Mouche z powrotem, przyszedł z talerzem lukrowanych herbatników. Był serdeczny i ciepły jak lody kokosowe i zachęcał nas, byśmy napełniły kieszenie biskwitami, zanim nas wypuszczą.

Gdy znalazłyśmy się z powrotem na Oxford Street, Mouche usiadła na kanale ściekowym i podzieliła nasze pieniądze z występów na dziewiętnaście srebrnych słupków po pięć monet i pozostałe trzydzieści dwa brązowe centy. Czekając na

ostateczny obrachunek, wypytałam ją o telefon. Mouche przypominała zużytą tubkę pasty do zębów. Choćby się nie wiem jak naciskało, nie wydostanie się z niej ani kropelki.

– Jesteśmy bogate – zaśmiała się do mnie. Przechodnie rzucali zaintrygowane spojrzenia z ukosa na jej włosy w technikolorze. Ostatnio jej głowa wyglądała jak okładka płyty heavy metalu. Atakowała i niszczyła każdy nerw wzrokowy z siłą broni nuklearnej.

– Ale dlaczego nie skonfiskowali pieniędzy? – Byłyśmy głęboko w sercu Vaseline Valley, więc automatycznie nacisnęłam łokciem guzik zielonego światła.

– Ooch... uważaj – drwiła ze mnie. – Możesz dostać AIDS kości łokciowej.

Zakłopotana, usiłowałam przekształcić mamusine wskazanie w nonszalancką pozę.

– Co takiego? – zapytałam niedbale.

– Musimy to uczcić! – krzyknęła, podskakując. – Bułki z kurczakiem i dwa koktajle mleczne ze słodem. – Przeszła Oxford Street na czerwonym świetle, a ja za nią.

I tak przeszła reszta lata. Na szesnaste urodziny Mouche ukradła mi ze sklepu parę reeboków, ciemne okulary, album Bette Midler i autobiografię Edith Piaf. Siostry Sushi zdobyły zwolenników i mogłyśmy stale śpiewać w soboty na Paddington Markets. Nasze rundy do komisariatu przedostały się do gazet. Okazało się, że ludzie na mnie patrzą. No dobrze, może tylko w kolumnie obyczajowej gazety „Mirror” – i patrzą z zamkniętymi oczami – ale Mouche wysiadła. Choć przyrzekałam, że nie stracę kontaktu z rzeczywistością, nie uzależnię się od heroiny, nie odkryję religii ani nie złapię słoniowacizny ego, nie chciała, by nasze nazwiska ukazały się w gazetach.

Gdy przyszły jesienne deszcze, nasze zajęcie się zmyło. Jednak to nie z powodu wilgoci wkradła się zgnilizna. Mouche ostrzegła mnie przed karaluchami, ale nie przed dwunogimi stworzeniami, które wpełzały do naszego łóżka.

Poruszyłam się we śnie i po omacku położyłam rękę na pościeli.

– Mouche? – Nagle wydała się strasznie włochata.

Przepojony wódką gorący oddech Mouche nagle zabrzmiął w moim uchu.

– Cii... idź spać.

Morska trawa, wypychająca materac, wzburzyła się. Zaczynałam odczuwać chorobę lokomocyjną. Deski podłogi były tak cienkie, że obawiałam się, że pocieranie wytrze je i w każdej chwili będziemy mogli wpaść do pokoju Maxa na dole. Koce wznosiły się jak piramida i opadały w rytmie ruchów frykcyjnych.

Przypominały one miechy i w regularnych odstępach wysyłały podmuchy zimnego powietrza na moje pokryte gęsią skórka ciała. Udając, że nie zwracam uwagi na tę bestię o dwóch grzbietach, wdałam się w ożywioną dyskusję z moją poduszką, czy nasz związek polega na wzajemnym wspieraniu się. Gdy pościel opadła, chwiejnie wstał na nogi.

– Muszę się odlać. – Celował gdzieś za balkon.

– Kto to jest, do diabła? Myślałam, że poszłaś do kina z Mongiem?

– Owszem. Ale przeskoczyłam do innego kina z Szambem. Jest saksofonistą dilerą Monga z kapeli jego brata. A w kolejce do kibla spotkałam tego.

– Och, pełne głębokiego znaczenia, staroświeckie zaloty.

– Możesz też kogoś sprowadzić do domu, jeśli będziesz miała ochotę – zaproponowała wielkodusznie.

Choć miał taką twarz, że wprawiłby w drżączkę tysiące dziewcząt, były to lata osiemdziesiąte. Nawet gdybym zwariowała dla faceta, nigdzie by ze mną nie zaszedł, gdyby nie przyniósł świadectwa zdrowia. Oficjalnie poświadczonego. . Jezus!”. Odwróciłam na drugą stronę poduszkę, na której leżał.

– Nie masz pojęcia, co on przedtem wyprawiał – palnęłam jej mówkę. – Albo raczej, w co ciebie wrobił.

– Poradzisz sobie z tym, mamusiu. – Mouche uważała, że z monogamii robi się stoły obiadowe. – *Copulo ergo sum* – wymamrotała.

Spojrzałam na nią tępo. W mojej szkole bardziej interesowano się naszym pochodzeniem do dziesiątego pokolenia niż łaciną.

– Niech to cholera. Mam nadzieję, że używałaś prezerwatywy. Albo... Boże. Pozwól mi przynajmniej sprawdzić najpierw twoich facetów.

– Jak? – zarechotała. – Oznaczysz ich jeden do dziesięciu?

– Tak. Na skali Richtera.

– Trzęsień ziemi?

– Kwestionariusz pochodzeniowy. Do wypełnienia przed kopulacją. Czy spuszczasz się we śnie? Jesteś kawalerem...

– Jesteś rozwiniętym męskim feministą? – dodała.

– I pytanie, w którym trzeba podkreślić właściwą odpowiedź. Wiesz, jesteś: a) oślizgłym, durnym, zwariowanym romantykiem b) psychopatycznym gwałcicielem... c) katolikiem, który oddaje się swej wierze w ukryciu d) zboczeńcem seksualnym?

– Czy znasz modlitwę Broada?

– Co to takiego? – przerwałam.

– Daj nam dziś nasz codzienny łeb...

Jej dwunożne resztki powróciły z balkonu i krążyły wokół łóżka. Mouche przytuliła się do mnie i niezdecydowana, uniosła twarz.

– Jeden numerek?

Przyjrzałam mu się w półmroku poranka.

– Półtora. – Śmiałyśmy się tak, że nie mogłyśmy przestać.

A więc zawarłyśmy pakt, że żaden penis nie wejdzie między nas.

### *Złudzenia stosowności*

Przez jesienne miesiące wypróbowała każdy rodzaj mężczyzny, jaki figurował w menu. Nie była to zrównoważona dieta. Jedni chrapali z siłą dziesięciu decybeli. Inni wycierali swoje smarki w prześcieradło. (Znajdowałam rano polakierowany nimi materac). Mężczyźni o ostrych paznokciach u nóg i tępych mózgach. Jedni byli tłustymi fiutami – ludzkimi frytkami. Inni mieli wytatuowany tors. Ponieważ budziłam się rano pierwsza, mogłam dobrze im się przyjrzeć. „Pochłaniam laski” – chwalił się jeden. „Znienawidzisz innych. Bierz mnie. Milcz. Umrzyj” – głosił drugi. Gorsze niż te chodzące reklamy złego smaku były sieroty, jak ich nazywałyśmy, którzy pierdzieli w milczeniu. Nie spuszczaali się. Brali tę trochę farby, jaka została na najbliższej ścianie.

Ale najbardziej zenujący był nie sam akt, tylko prośby o powtórkę. Słyszałam wszelkie odmiany cipeńki, rybeńki, cipeczki, laseczki, otwórz się szeroko, Czu-czu nadjeżdża pociąg, moje ty jagniątko... Można było się porzygać od tych gruchań. „Powiedz mi, że jestem jedyny, dziecińko”. I mówiła im to. Mouche uważała, że wierność polega na tym, by naraz mieć w łóżku jednego faceta.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

– Słuchaj, nie mogłabyś sobie odpuścić na jakiś czas? – Prawie przez całą noc ćwiczyła swój kręgosłup w skrętach Houdiniego z jakimś facetem. Gdy smęciłam nad filiżanką herbaty na dole, wtoczył się Max po całonocnej eskapadzie. (Czasami przesyiał się w schronisku u św. Krzyża). Poklepałam pulchny brzuch czajnika.

– Owszem. Dziękuję. – Przycisnął ciepłą filiżankę do zmęczonych oczu. – Umieram z głodu. Może byśmy poszli na coś porządnego? – Często odbywaliśmy rundy po supermarketach. Dziewczeta w kusych fartuszkach częstowały nas próbkami delikatesowych przysmaków, nadzianymi na wykałaczki. Można było się tam całkiem dobrze najeść. Kłopot w tym, że trzeba było wziąć ze czterdzieści suszonych śliwek owiniętych bekonem, by rzeczywiście poczuć coś w ustach.



Gdy wróciliśmy objedzeni tego ranka, ze zdumieniem stwierdziłam, że resztką z wczorajszej nocy jeszcze tu tkwi. Wyciągnięty w bawialni, wybijał skomplikowany rytm na przewróconych skrzynkach po owocach, których używaliśmy jako mebli. Mouche przedstawiła go jako Australijczyka – Aussie. Był perkusistą w „Konspirze Karaluchów”. Miał też na sobie mój eurytmiczny podkoszulek.

– Włożył mój eurytmiczny podkoszulek!

– Pozwoliłam mu.

Rzuciłam im nieprzyjazne spojrzenie spod oka.

– No dobra, tylko przynajmniej go nie zapoć – powiedziałam ponuro. Gdy tylko Mouche posuwa się za daleko, tłumaczy, że była adoptowana, jako niemowlę została oddana państwu na wychowanie i była zaniedbaną nieletnią na łasce opieki społecznej.

– Daj spokój, Jo, nie wkurzaj się. – Weszła ze mną na schody i otoczyła mnie ramieniem. – Chciałabyś być kaleką emocjonalną? Byłam adoptowana, pamiętaj o tym. Jestem zaniedbaną nieletnią na łasce opieki społecznej. Potrzebuję w życiu trochę miłości... To gorący facet, co? – Zerknęłam na niego ze schodów. Australijczyk obchodził bawialnię niczym kocur zaznaczający swoje terytorium. Nałożył żel na swoje sterczące włosy i wyglądał jak szczotka do mycia kibla. Chciałam postawić go na sztorc i wyczyścić muszlę klozetową. Beknął głośno.

– O rany. To chyba ktoś, kogo zjadłem po drodze – uśmiechnął się głupio.

Spojrzałam na Mouche z niedowierzaniem.

– Och, w gruncie rzeczy jest bardzo wrażliwy – wyjaśniła.

– Jasne. Wrażliwy jak psie gównno.

– Zachowuje się jak zwierzę, ponieważ jest nieśmiały. Powiedział mi o tym.

Dlaczego wszyscy uważają, że są nieśmiali? W każdym talk show na każdej stacji bajecznie sławni zdradzają milionom widzów, jak bardzo są nieśmiali i zamknięci w sobie.

– Mouche, gdyby był rzeczywiście nieśmiały, nie ośmieliłby ci się tego powiedzieć.

Wtedy właśnie poprosiła mnie, bym pomogła jej przetrzucić na drugą stronę pościel. Wówczas pomyślałam, że poważnie ją wzięło. I byłam już tego pewna, kiedy powiedziała, że ją upierze.

– Mam raczej ochotę wygotować całą sypialnię – warknęłam, wypływając z pokoju jak Scarlet O’Hara.

Przez następne trzy dni pozostawali w łóżku. Bez śpiewania na ulicach, z

trzema nieskończonymi piosenkami, praktycznie poszliśmy z torbami. Wyjadał nam wszystko, co było do zjedzenia w domu. Nas też wyjadał. I bez przerwy wybijał rytm. Zupełnie nie w takt. Aby się wkupić w jego łaski, zapytałam, czy wie, jacy ludzie przestają z muzykami. Powiedziałam mu – perkusiści.

– To przekąskowa sytuacja – oznajmiła Mouche, przeszukując kredens i trzęsąc puszkami, przytkniętymi do ucha. Żadna z puszek nie miała naklejki. Aby wygrać rejs po Pacyfiku, Max odrywał je i wysyłał eseje, zawierające tysiąc słów na temat ananasa Żłoty Krąg i sosu pomidorowego Heinza. A więc zostaliśmy z dość niezwykłymi produktami sztuki kulinarnej. Pewnego wieczoru zasiedliśmy do koreczków i gotowanego na parze puddingu.

– Ty nic nie jedz, Mouche. – Aussie zgubił rytm w swym solowym występie perkusyjnym. – Mogłabyś trochę schudnąć. W udach. – Mimo wszystko je rozchylił. – Herbaty jabłkowej?

– Kobiety bardziej się przejmują zbędnym tłuszczem niż mężczyźni. To znana sprawa. – Sięgnęłam po czajnik prędzej niż on i napełniłam brązowymi listkami swoją filiżankę. – Wszystkie kobiety mają stożki tłuszczu na biodrach.

– Jezu, to wygląda, jakby nosiła kolorowe bryczesy. – Położył na stole nogę w powalonym martensie i zaczął wydłubywać brud spod paznokci. Trzymał tam normalny kompost. Gdy skończył z jedną nogą, zaczął prace wykopaliskowe na drugiej.

– Rozumiem, że będziesz pracował przez cały weekend – syknęłam ponuro.

– Pracować? Jestem ofiarą recesji lat osiemdziesiątych – powiedział niemal z przechwałką. Ten facet to fenomen. Może mówić, nie naruszając mózgu.

– Ach tak. Jesteś bezrobotny. – Patrzyłam, jak wyciera brud spod paznokci o krzesło, po czym rzuca się na placek z mięsem, który Mouche przed nim postawiła.

– Jestem technologicznym uciekinierem. Dziecięciem Nieszczęśliwej Krainy. – Chwytał nóż, udając wściekłość. – Tak to jest. – Patrzałam, jak pożera placek. Zrobił sobie mięsną maseczkę.

Jedliśmy w milczeniu. Oszczędzałam oliwkę, babrałam się z nią w morzu sosu, aż do ostatniej kropli. Nagle jego widelec ruszył ku mnie, zabrał moją oliwkę i wsadził sobie w otwartą gębę.

– A twoja kapela – najeżyłam się. – Nie powinieneś być na próbie?

– Teraz trochę nam nie idzie. – Beknął i rozłożył się na kanapie z kompletem pałeczek do perkusji. – Nie podobamy się publiczności. Wyprzedzamy naszą epokę. Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim chwycimy wiatr w żagle.

Co Mouche mogła powiedzieć takiemu dupkowi? Śmierdział nawet własnymi

bózdzinami. Naprawdę. Przyglądałam mu się. Cichcem zniżył palec do dupy, spięty, potem się odprężył i zachowywał się, jakby go kręciło w nosie.

– Jest ktoś w kiblu? – zapytał.

– Wiesz, papier w kiblu nie rośnie na drzewach. Wydzielamy go. Dwa kawałki na dupę.

– Wy we dwie powinnyście śpiewać topless. Wtedy zgarnęłybyście trochę gotówki. Jak rany Boga. Gdybym był dziewczyną. – Przez jeden ohydny moment widziałam nasze małe cycki, niczym jajka na patelni, skwierczące w żarze świateł w jakiejś zakazanej spelunie. Popatrzyłam na niego z obrzydzeniem. Aussie najwyraźniej miał doświadczenie w jednej dziedzinie. Śmierdział jak skunks.

– Pachy! – Trzasnęłam palcami, zmuszając go do poddania się. Niechętnie wyciągnął ręce do nieba. Zanurzyłam nos w jego pachy i obwąchałam je. – Spociłeś się?

Aussi ściągnął podkoszulek przez głowę.

– Pieprzę twoją koszulkę, ty podmiejska dziwko. – Zabębnił wściekle na pakach po owocach. Spojrzałam na niego ze złością. Był typowym australijskim samcem – opalony na brąz, blondyn o niebieskich oczach, z nabitymi bicepsami. Nagle zrozumiałam, co w nim widzę. Taka postura nie bierze się z niczego. Musiał brać lekcje przystojniactwa. Przerwał, by zgasić papierosa na resztkach pozostawionych na talerzu.

Obejrzałam jego dłoń.

– Wiesz, długo tu nie zabawisz. Mouche jest seksualną kleptomanką. – Chwyciłam go za przegub. – Czy wiesz, że potrafi określić długość penisa faceta na podstawie jego palca wskazującego?

Zwinał palce w środek dłoni.

– Na tym polega problem z dziewczynami z Zachodu. Nie macie za grosz wdzięku. – Wpatrzył się w moją twarz. – Małe małżowiny uszne – prychnął z pogardą. – Małe cipki.

To był początek pięknej przyjaźni.

Mouche wyłoniła się z kuchni, by zebrać talerze. Max zwisał jej z ramienia, niczym torebka, błagając, by zrobiła prażoną kukurydzę.

– To rzadkie świństwo – zapewnił Aussiego i mnie.

– Jak byście przeżyli beze mnie? – zaśmiała się Mouche.

Aussie zaskoczył ją w drodze z powrotem do kuchni. Pocałował, jego język śmigał jak u jaszczurki, aż do jej nozdrzy. Ten widok nie był rewelacyjny. Prawdę mówiąc, ocierał się o pornografię.

– Pierdol tę kukurydzę. To dobre dla dzieciaków. – Miał sataniczny wygląd. Mouche musiała całą noc ścierać mu szóstkę z czoła. – Chodź. Zamieszkamy u mnie.

Od tej pory Aussie był jedynym mężczyzną w menu Mouche. I nie jadła go normalnie. Zjadała go na wynos.

Całymi dniami siedziałam przed lustrem, wyciągając małżowiny uszne, potem patrzyłam, jak wracają na swoje miejsce. Z mojego ciała podobały mi się tylko stopy. Ale nawet je wolałam obute. Co jest takiego niemożliwego w celibacie? Praktykowałam go bez kłopotu. W istocie, moja strefa erogenna znajdowała się na drugiej półce w kredensie, gdzie trzymaliśmy batony Mars. Wyciągnęłam się na materacu i wypróbowałam nową piosenkę dla Sushi.

*Po co przejmować się facetami – są żonaci lub gejami.*

*A jeśli nie, zawsze coś stoi na przeszkodzie.*

*Chłop upiera się przy celibacie albo jest makrobiotykiem...*

*I może to robić tylko pod hipnozą, bo jest neurotykiem.*

*To choroba społeczna lat osiemdziesiątych.*

*Bardziej zaraźliwa niż znieawidzona opryszczka.*

*Wszyscy to łapią.*

*Teraz ty też się tym zarazasz.*

*Skepticemia!'*

Gdy dostaniemy się do Nowego Jorku, będę jadła całe góry pastrami z ryżem i przekłuję sobie uszy w zakładzie w Village, gdzie poszła Roxanne. Widniał tam napis: „Przekłuwamy uszy, z bólem albo bez bólu”.

– Byłeś kiedyś zakochany? – Max przyszedł pożyczyc tusz do rzęs.

– Nie życz mi tego – zaskrzeczał. – Nie chcę AIDS.

– Max, przecież używasz prezerwatywy, no nie? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało zbyt poważnie.

– Teraz nie. Jeśli ich nie kochasz – wyjaśniał – po prostu ssiesz, całujesz i pieścisz. Pieprzę się wtedy, kiedy jestem zakochany. – Wykrzywił się do swego odzianego w drelich odbicia w lustrze. – Czy w tych dzinsach wyglądam grubo?...

– Max, nie mógłbyś... nie lubisz mnie ani trochę?...

– Jo, gram w innej drużynie!

– Ale wyglądam jak chłopak. Spójrz! – Jednym skokiem znalazłam się obok niego i popatrzyłam na siebie w lustrze. – Mam płaskie piersi, jestem chuda, zobacz, jakie mam owłosione ręce... Nie mógłbyś trochę... poudawać?

Otoczył mnie ramieniem.

– Zaraz wróci stara.

– Ja też robię fatalną prażoną kukurydzę. Chodź, przeżyjemy bez niej, wiesz?

Tej nocy usłyszałam pukanie. W komunach nikt nie puka. Nie ma tam zamków. Dzięki temu dostaliśmy się do środka. Więc kto to może być?

– Dzień dobry, tato. – Tata miał na sobie robocze buty, zakończone stalowym czubkiem i najlepsze ubranie. Mama trzymała w ręce wycinek z gazety „Mirror”. Był tam ustęp o Siostrach Sushi, jakaś bzdura o nastoletnich trubadurkach, które na ulicy śpiewają o kłopotach tego świata.

– W takiej norze będziesz dalej mieszkała, kiedy się zestarzejesz. – Mama nie ogoliła nóg. Kępka włosów wystawała przez jej beżowe pończochy. – Nikt się tobą nie zajmie... Nie chcesz uwić sobie miłego gniazdko? Być kimś?

Osobiście lubię czarne owce. Gdybym miała dzieci, poradziłabym sobie z punkowym poetą albo anarchistycznym grafficiarzem. Jeśli kogoś nie chcę mieć w rodzinie, to sprzedawcy ubezpieczeń albo urzędnika bankowego.

– Czy należysz do grupy wariatuńców? – zapytał mnie ojciec. Aby wyglądał bardziej na czasie, mama po raz pierwszy od czterdziestu lat kupiła mu wisiołek w kształcie sztabki złota, zdjął też podkoszulek. Dotychczas nosił go na swej owłosionej piersi, lecz gdy go ściągnął, natychmiast złapał najgorsze zaziębienie w życiu. Odtąd nosił sztabkę złota na podkoszulku, do niej też się zwróciłam.

– Nie, tato. To offowy kabaret.

– Diabelskie pienia – rzekł.

Spoglądaliśmy na siebie na progu w dziwacznej ciszy. Mama ofiarowała mi paczkę nowych, bawełnianych majtek i torbę pomarańcz, po czym włożyła ojcu pod pachę rękę, okrytą kardiganem. Trąciła go łokciem. Chrząknął. Znowu go trąciła, po czym odezwała się za niego.

– Twój ojciec obiecuje, że jeśli wrócisz do domu, będziesz mogła położyć materac na podłodze!

Gdy wyszli, pobiegłam na ulicę, gdzie kręcą się podejrzane typki, oraz do publicznych toalet w parku naprzeciwko szpitala. Niewiele wiedziałam o nocnym życiu Maxa. Zdawałam sobie sprawę, że prowadzi je samotnie, wzdłuż długiego,

kamiennego muru politechniki, naprzeciwko posterunku policyjnego. Wiedziałam też, że istnieje jakiś tajemny kod, wiążący się z czerwonymi chusteczkami wystającymi z lewej i prawej kieszeni. A Max czasami wkładał sobie na tyłek puszkę zimnej mięty. To tak, jakby się ją piło, zapewnił mnie, chłodny, pyszny gazowany napój, który się sączy powoli. I ani jednej kalorii!

– Max – syknęłam. Jego „biuro” mieściło się w toalecie dla niepełnosprawnych w Green Parku. Więcej przestrzeni. Czując się jak duch Helen Keller, głuchoniemej i niewidomej pisarki, macając wyłożone stiukowymi płytkami ściany, pełzłam do środka. Był tam. Przysiadł w rogu brudnej kabinki.

Był jak oszalały, wrywał się i wił, gdy usiłowałam mu zetrzeć krew z twarzy.

– Siedź spokojnie.

– Nie mogę. Jestem naćpany, do cholery.

Ciekł z niego pot.

– Wzięłeś spida?

– Jasne, że tak, do cholery – warknął, co było u niego nowością. Sparaliżowało mnie.

– Czy Mouche też to brała?

– Tak jak wszyscy. O to idzie cała afera – rzekł sarkastycznie, po czym zwymiotował. – O Jezu, ale mnie wzięło.

– Chodź. – Na dzinsach miał krew. Zabrałam go do domu. – Gdyby tylko ustanowili, że Mozart jest nielegalny, wtedy wszyscy mieliby świra na jego punkcie.

– Na razie nie spotykam się z moim dilerem. Jestem mu winien kupę forsy.

– Nie możesz się z nim umówić, żeby cię po prostu porządnie opieprzył? Możesz spać ze mną. – Ułożyłam jego nogi pod kocami. – Ale nie chcę, żebyś chodził tylko z gejami. – Przeszukałam jego ubrania. W każdej kieszeni mógłby otworzyć aptekę. – Dlaczego nie możesz narkotyzować się czymś normalnym? Jak religia. Hare Kriszna. – Przez całą noc skomlał o Mouche. Ciężki przypadek paranoi. Max wariował na punkcie ludzi, którzy się na niego uwzięli, wiedzieli, gdzie mieszka, zaglądali mu w okna. Skamieniała ze strachu, troszczyłam się o niego, tylko od czasu do czasu nie udawało mi się odskoczyć, gdy rzygał. Gorzej już być nie mogło. Wtedy doszłam do wniosku, że nie poradzę sobie bez Mouche.

Drzwi skupiły się na mnie cyklopim okiem. Elektryczna bramka mrugnęła, że jest zamknięta. Wyśledziłam ją aż do nadbudówki Sebel Townhouse, modnego,

zatłoczonego hotelu, w którym się gromadziły. Odgłosy imprezy dochodziły spoza zamkniętych drzwi. Windy, wyprzedzające się na zmianę, wyrzucały z siebie grupy ludzi utalentowanych w różnych dziedzinach. Te typy wieczorem noszą okulary przeciwsłoneczne, uprawiają seks na winylowych prześcieradłach i podkreślają swoją indywidualność, choć niczym się nie różnią.

– Jak dobrze znasz Eltona... – wydusił z siebie facet ze swastykami na trampkach. – Twórczo albo towarzysko. – Gdy czekali, by elektroniczna bramka się otworzyła, podali swoje nazwiska. Rzuciłam jakby od niechcenia „cześć” facetowi ze swastykami. Uznając, że jestem siostrzenicą kochanki jego herbalistycznego terapeuty, który wykonuje mu masaże, wydusił z siebie uśmiech. Przyłączyłam się do ich grona i rozmawiając głośno o Eltonie, który twierdził, że porzucił biseksualność, wcisnęłam się do środka.

Elita ma mniej do zaoferowania, niż to się na oko wydaje. Chodzi o to, by jednocześnie żonglować piwem, papierosami, portfelem, torebką i lilipucim kawałkiem chleba, posmarowanym czymś, co wygląda na pożywienie dla psa, i wyglądać naprawdę na kogoś oblatanego. Elton John pojawił się na chwilę, w ciemnych okularach. Naprawdę bez sensu. Jest tak bajecznie sławny, że zawsze będzie rozpoznany. Gdy słynni ludzie gaworzyli, niepostrzeżenie zsunęłam z talerza do torebki zimne mięso i owoce. Nigdy nie widziałam tyle jedzenia. Napchałam się jak strasburska gęś. Jeszcze jeden kęs i nie dostanę stwardnienia wątroby. Dostanę stwardnienia całego ciała. Odpęzłam, by znaleźć Mouche, tłumacząc sobie, że pod żadnym pozorem nie wolno mi powiedzieć jej, że się martwię, pytać, gdzie była ani dlaczego prowadzi się z tym dupkiem Aussem.

Mouche opierała się na skórzanej kanapie, mając ręce rozłożone po obu stronach.

– Zamartwiałam się na śmierć – powiedziałam. – Gdzie się podziewałaś? Dlaczego prowadzasz się z tym dupkiem?

Aussie okręcił się, by na mnie spojrzeć.

– Jezu. O co wam chodzi. Żadna nie może pierdnąć, żeby druga nie powąchała. – W drzwiach pojawił się mężczyzna, trzymając krzesło nad głową. Niski i nieustępliwy, przypominał małego pieska, charakterystycznego dla rasy azteckiej – chihuahue. Wiecie, taki typ, który wbija kły w słynne osobistości na przyjęciach, a jego głowa podskakuje na poziomie ich kolan. – Kurczę! Wiesz, kto to jest? Załedwie facet, który ma najwięcej do powiedzenia w rock and rollu. Menedżer Eltona Johna. Szkot. Ma czternaście białych samochodów terenowych. Siedział za Zadanie Poważnych Obrażeń Cieleśnych. Jest znany z tego, że potrafi walnąć

czołem.

– Czy twój facet zawsze mówi jak sprzedawca ładnie opakowanych towarów? – zapytałam Mouche.

– Umie słuchać, ty sprytna dupo. Podoba mu się nasza kapela. Ale jak już mówiłem Mou...

– Mou?... – spojrzałam przerażona na Mouche.

– Uważa, że przydałaby się nam dobra laska. Żeby rozgrzać publiczność.

Chihuahua bujał teraz krzesłem z balkonu na jedenastym piętrze i pokrzykiwał, że trąci jakiegoś przechodnia. Nie odpowiadały mu kanapki z kurczakiem, podane przez obsługę. Moje czujniki, wykrywające gówna, drżały. Gdy zdejmowano go z balkonu, Aussie przesłał mu elektroniczny uśmiech.

– Ach, proszę pana, ach, ta dziewczyna, o której panu opowiadałem... – Słowo daję, z tym uśmiechem mógłby przejść przez Hiroszimę. – Jest napalona. – Chihuahua oszacował wzrokiem Mouche. Była ubrana na biało. Prawdopodobnie miał nadzieję, że będzie ją obwąchiwać i wdychać.

– Nasza muzyka jest gorąca, koleś! Płonie jak gaz. Musisz tylko skłonić Mouche, żeby śpiewała, no wiesz, z „Karaluchami”. Za dwa tygodnie będzie pan znowu w mieście, co? Proszę pana, niech pan pieprzy Mou. Ile panien chciałoby śpiewać dla menedżera Eltona Johna?

– Tak, ale te włosy pod pachami trzeba zgolić. – Chihuahua przesunął palcami po bladym ramieniu Mouche. Słyszając jego głos, spojrzałam na nogawkę moich dzinsów, spodziewając się, że przyczai się tam z uniesioną nogą i machając ogonem.

– Tak – zachichotał Aussie – zabawiać się z dziewczynami, które nie golą się pod pachami, to okropność. Przez straszliwą chwilę człowiekowi wydaje się, że wali w piegi. – Zakończył rozmowę, śmiejąc się jak wiertarka. – Owłosione panny, to dobre. Kiedy lok z włosów łonowych oplącze się koło strun głosowych, trzeba odkurzacza, żeby to usunąć!

W tym czasie opowiedziałam Mouche o występie, który miał się odbyć w ratuszu od dziś za dwa tygodnie. Zysk miał pójść na garbate tasmańskie kijanki czy coś w tym rodzaju. Aussie spojrzał na mnie, jakbym nasikała mu na buty.

– Chrząć akcje dobroczynne. – Chihuahua owinał palce wokół przedramienia Mouche. Rękę miał upstrzoną diamentami i nosił po domu ręcznie robione pantofle, z inicjałami wyhaftowanymi na każdym palcu.

– Wierzę tylko w jedną mniejszość. W milionerów.

– Ha, ha, milionerów! – roześmiał się posłusznie Aussie. – Mogę ci zapłacić,



Mou. – Spojrzał na mnie. – Wygrywa z tobą.

– Wygrywanie, hmm. To takie wizualne pojęcie – ciągnął Chihuahua, przesuając drugą rękę po nodze Mouche. Był jednym z tych facetów, którym wydaje się, że są nieodparci. Sukces najwyraźniej uderzył mu prosto w fiuta.

– Dlaczego nie chcesz pieprzyć się z jakąś świeżą emigracją? – warknęłam i zdjęłam jego rękę z Mouche, która robiła do mnie po cichu miny. – Mam nadzieję, że uszy zmienia ci się w dupy i obesrają ci ramiona.

Najwyraźniej nie była to jedna z moich najsubtelniejszych odzywek jednających mi ludzi. Ludzie od reklamy wbili wzrok w popielniczki. Personel hotelowy nagle odwołano. Chihuahua chwycił mnie za koszulę i włókł przez swój apartament, siłąc się na uczone i dowcipne powiedzonka, jak: „Pieprzę twoją ocipioną mordę”, i wyrzucił mnie do holu. Walczyłabym z nim, ale właśnie odkryłam, co to jest GBH. Miałam podejrzenia, że oznacza to Groźne Bicie Hucpiarza.

Gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, Mouche roześmiała się i powiedziała, że nie miała pojęcia, że ze mnie taki Poważny Młody Robal. Odpowiedziałam, że nie miałam pojęcia, że ona leci na Bliskie Spotkania z Obmacywaniem przez Chihuahuy. Mouche wytłumaczyła, że poduszki były w jego menu.

– Nie czułaś kulek na mole? Ukrywa się. – Dlatego nie chciała, żeby jej dotykał. I dlaczego Chihuahua wariuje, gdy go nazwać gnojkiem?

Aussie zszedł z nami do hotelowego foyer. Opierając się o plakat, witający Dolly Parton, Annie Lennox, Kenny Rogersa i Lionela Richie, kłóciliśmy się o Mouche. Powiedziałam mu, że jest głupi jak wół, i kiedy umrze, prawdopodobnie zrobią z niego kostką rosołową. A on nazwał mnie „wciągniętą”.

– Przy urodzeniu twoja matka powinna była wciągnąć cię z powrotem.

– Przestańcie się użerać – poprosiła Mouche.

Aussie i ja obrzucaliśmy się wściekłymi spojrzeniami.

– Nie użeramy się. Doskonale się ze sobą zgadzamy – rzekłam. – Po prostu się nienawidzimy. – Aussie chrząknął potwierdzająco.

– Nie mam zamiaru śpiewać na rzecz dobroczynności ani występować z „Karaluchami” – zaskomlała Mouche. – Nie chcę być sławna. Kto chce być znany bandzie kmiotów, którzy cię nie znają?

Poszłam za nią ulicami Kings Cross na postój taksówek. Cross był zatłoczony facetami z przedmieść, którzy snuli się tutaj w poszukiwaniu lubieżnych rozrywek. Wpatrywali się w pedałów i prostytutki i śliniąc się, bełkotali: – „Zróbmy jakiś numerek. No dalej”.

– Skąd wzięłaś nowe ciuchy? – Miała na sobie kreację jakiegoś znanego projektanta. Ktokolwiek uszył moje szmaty, był zbyt zażenowany, by je podpisać. Wyciągnęłam z torby krążek camemberta i przeczytałam nalepkę, zanim go jej podałam.

– Camembert? – wymówiłam „t”.

– Camember – poprawiła mnie automatycznie.

– Mouche, dlaczego prowadzasz się z tymi przygłupami?

– Nie mam pojęcia. Sama czasami mam dosyć tego gnoju. Tak samo jak bywania „tam, gdzie się chodzi”.

– To znaczy gdzie? – zapytałam. – Teraz reklamują miejsca, z których się „wychodzi”, a ponieważ modnie jest „wychodzić”, zabierajmy się stąd. – Mouche roześmiała się i wezwała taksówkę. Nasz pomysł polegał na tym, żeby wybrać tłustego taksówkarza, który nie mógł biegać. Potem, gdy byliśmy blisko domu, jedna z nas krzyczała: „Proszę się zatrzymać! Zatrzymać się! Zaraz zwymiotuję”, i wyskakiwałyśmy, gdy tylko drzwi się otworzyły.

– Dlaczego ty nie zaśpiewasz z „Karaluchami”? Nie zatrzymuję cię. Potem niech Aussie zrobi z tobą występ.

– Tylko ze mną? Bez ciebie będę beznadziejna...

Mouche odłamała kawałek od mojego krążka sera i powąchała go krytycznie.

– Hmm – orzekła. – Przypomina mi pewien napletek. – Śmiejąc się długo i głośno, wślizgnęłyśmy się na siedzenie taksówki. – Jedźmy do domu – postanowiła.

Gdy Mouche jest w domu, muszę odgrywać rolę gospodyni wobec Aussiego i jego otoczenia. Komuna pełna była złych, nowozelandzkich gitarzystów, grających na dwustrunowych gitarach, walczących feministek i początkujących poetów, którzy pisali o tak subtelnym, wzbogacającym życie rzeczach jak sperma w ścieku czy krew menstruacyjna w ustach. Artistes Ordinaires.

Przez parę wieczorów po naszym występie w Sebel Aussie wygłaszał przemówienie w kuchni.

– Dziewczyny, koledzy... wszystko się rozłązi. – Zjadłszy już wszystko, wyżerał teraz migdały, przygotowane do potraw, i kromki chleba, posmarowane margaryną. – Używacie środków antykoncepcyjnych. Mou stosuje krążek domaciczny, kapturek, w porządku. Boże! – Czekałam, aż zgasi swojego papierosa na talerzu prawie wystygłej pieczonej fasoli, stojącej przed nim na blacie. – Ten krem jest taki zimny. Jakby zanurzało się fiuta w sosie majonezowym. I jest taki śliski. – Zaciągnął się po raz ostatni, aż do filtra. – Człowiek cały jest oblepiony i

buch... wszystko przelatuje przez pokój, jak jakiś cholerny pocisk... – Rozgniółł papierosa na talerzu zimnej, pieczonej fasoli.

Wtedy powiedziałam mu o naszej nowej piosence, o beznadziejnych perkusistach z małymi chujami, którzy wchodzą bez wazeliny dilerom wytwórni Pommy.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – Aussie chwycił mnie za ramię tak mocno, że aż zostały ślady. – Nie masz poczucia humoru. Nie chciałbym iść z tobą do łóżka. Założę się, że po podłej nocy w łóżku nie będziesz nawet na tyle uprzejma, żeby udawać. – Chłopaki ryknęły śmiechem. Czułam, że się rumienię.

– Dziewczęta – wyprostowałam się – to znaczy kobiety, nie muszą już mierzyć swojej wartości tym, ilu, no wiecie – Skoro wiedziałam, że się rumienię, zarumieniłam się jeszcze bardziej, bo się rumieniłam. – Mężczyźni mogą zaliczać. Ale nie ja, w żaden sposób. – Skoro wiedziałam, że się rumienię bo się rumieniłam, zarumieniłam się jeszcze bardziej.

– Może lubisz lizać cipy – rzekł szyderczo. – To niezdrowe. Wy we dwie, w jednym łóżku. – Wykręcił mi rękę jak ścierkę do podłogi. – Ona jest po właściwej stronie. Spójrz prawdzie w oczy. Lepiej jej będzie bez ciebie, ty stara lesbo.

– Chciałam ci tylko jedno powiedzieć. – Poczułam się bardzo samotna, nieśmiała i tchórzliwa i łzy stanęły mi w oczach. – Gdyby twój samolot rozbił się w dżungli, wszyscy by cię zjedli. Nawet własna matka.

Następnego wieczoru wybrałam się do miejscowej speluny dla zboczeńców. Na dole byli beznadziejni faceci za dwa dolce. A na górze przebierance, za cztery. Stałam w kolejce na zimnie, czekając, by ocenił mnie odźwierny. Goście z willowej dzielnicy trzęśli się w krótkich spodenkach z lycry, skarpetkach od Calvina Kleina, czapkach wyszywanych cekinami i botach na wysokich obcasach, lecz przy drzwiach odmawiano im wejścia, bo byli nieciekawi. Urok osobisty oceniano na podstawie stroju. Tak przebiegała moja zabawowa noc.

Większość ludzi, których wpuszczał odźwierny, to tak zwani Punques – pseudo – czy też weekendowi punkowie, którzy w sobotnie noce wymieniali swoje identyfikatory z napisem „Towarzystwo budowlane St. George” albo „Steward” na nalepki „Ofiara” albo „Niezrozumiany”. Obici winylem albo skórą, często wycierali nosy, dając do zrozumienia, że mają Kings Cross Colds – zasmarkanie, które bierze się stąd, że wsadza się swoją pensję do nozdrzy w formie granulek albo białego proszku. Uważali się za Ultranowoczesnych. Moim zdaniem, byli bardziej przestarzali niż nowocześni. Gdy nadeszła moja kolej, zebrałam całą swoją aurę i starałam się wydzielać tajemniczość i zaintrygowanie. Już miałam zostać

odrzucona na stertę kompostu, gdy uratował mnie podniecający trendoid z aparatem ortodontycznym.

– Hej, czy nie jesteś jedną z tych Sióstr Sushi? Jesteście razem, dziewczyny?

Zapłaciłam dwa dolce w monetach dwudziestocentowych i weszłam do środka, by skryć się wraz z dupkami w mrocznych głębiach dyskoteki. Niebawem przyspilił mnie konwersacyjny napaleniec.

– Zabawmy się w karnawał... – Ręką sięgnął mi w dół pleców do pośladków. – Usiądź mi na twarzy, a ja ci powiem, ile ważysz. Co ty na to, dziecino?

Ubaw po pachy.

Aussie był na wybrzeżu z „Karaluchami”, włócząc się po pubach. Sprawdziwszy, że w łóżku była tylko jedna osoba, wprowadziłam go do środka. Gmerał przy guzikach moich dzinsów.

– Będziemy uważać, dobrze? – wyszeptałam, wręczając mu prezerwatywę.

Było do niczego. Tak jak się spodziewałam. Początkowo do kolonii transportowano bardzo mało kobiet. Dla pierwszych Australijczyków jedynym żeńskim towarzystwem na początku były owce. Od nich nauczyli się pierwszych technik seksualnych. Wiele razy miałam ochotę włożyć do łóżka swoje wełniane skarpetki, wcisnąć stopy w gumki, położyć się na plecach i beczeć. Chyba gra wstępna Australijczyków polega na stryżeniu owiec.

Wszystko było zawsze w porządku, póki nie otworzyłam oczu. Potem widziałam, że trzęsie mu się podbródek, oczy kręcą się do góry i nagle zdałam sobie sprawę, że nie wie, kto czy co jest na końcu jego penisa. Mogłam być kartonem galaretowatego sosu, nie? Tym razem postanowiłam mocno zaciskać oczy. Dlatego nie wiedziałam, co się dzieje, póki Mouche nie zaczęła wydawać dźwięków, dzięki którym mogłaby wygrać Academy Award.

Na tym świecie dzieje się wiele rzeczy, których znaczenie jest bardzo przesadzone. Łóżka wodne, śluby, ostrygi, tatuaże i seks grupowy. Jak możesz dobrze się bawić, kiedy jesteś przeraźliwie zazdrosna, że wszyscy inni bawią się dużo lepiej? Wszelka wzajemna troska i tkliwość wyparowuje, gdy śpisz na mokrej plamie, a potem zorientujesz się, że to nie twoja.

Próbowałam. Naprawdę. Najpierw wyciągałam i ścisakałam różne dziwne części ciała. Potem udawałam zadowolenie. Uważałam, że tępe spojrzenie w przestrzeń załatwi sprawę. Ale oni wtedy tak byli zajęci przeciwstawianiem się prawu ciężkości, że nawet mnie nie zauważali. Następnym razem, gdy uprawiałam seks grupowy, postanowiłam zabrać ze sobą książkę, żeby się rozerwać w czasie nudnych kawałków. Albo krzyżówkę. Albo zestaw do robienia manikiuru. Czując

się jak szynka w najbardziej niezdrowej kanapce, zasnęłam.

Gdy się obudziłam, miałam ramię wciśnięte pod jego owłosiony tors. Byłam w pułapce, jak pies dingo. W Folklorze Kobiety Australijskiej taki facet zwany jest Mężczyzną Dingo. To znaczy, że raczej odgryzłabyś sobie ramię, niż obudziła go i zaczęła z nim rozmowę. I nie tylko to. W nocy, gdy odwrócił się ku mnie, opadła mu szczeka. Dyszał mi teraz w twarz oddechem, który cuchnął jak dno papuziej klatki.

– Ciii... ciii, pomocy! – Mouche wyciągnęła mnie spod niego i prysnęliśmy na balkon.

– Osiem... i pół – wyłosiła. – Nieźle, jak na orgazm łechtaczkowy.

Moje orgazmy nie były łechtaczkowe ani waginalne. Były do niczego.

– Pieprzę absolutnie wszystko – szlochałam. – Nie mogę załatwić sobie prawdziwego faceta nawet na jedną noc.

– Niech to diabli, Jo. Nie wiedziałam, że to coś dla ciebie znaczy.

– Bądź poważna. Nic nie znaczy.

– Obchodzi cię ta zimna ryba? – Wzruszyłam ramionami, mając twarz zanurzoną w podkoszulek. – Chodź – namawiała. – Życie jest za krótkie, żeby być subtelnym.

– No pewnie. Nic się nie stało. Rodzice mnie nienawidzą. Aussie powiada, że przypominam osłonę chroniącą przed bykami. Nie mamy pieniędzy. Jestem płaska, mam piegi i krzywe nogi. Moja strona łóżka jest wolna od strefy erogennej. Nie potrafię nawet śpiewać. Jestem kompletną nieudacznicą. A poza tym wszystko jest fantastyczne. Genialne. Rewelacyjne.

– Boże, ty i Aussie jesteście tacy do siebie podobni. – Machała gołymi nogami wysuniętymi przez pręty balkonu.

– Serdeczne dzięki! Naprawdę umiesz pocieszyć dziewczynę.

– Oboje spragnieni jesteście sławy. Żadne z was nie będzie szczęśliwe, póki nie będą sprzedawali plastikowych replik waszych obciętych paznokci u nóg we wszystkich obskurnych barach mlecznych na całym wybrzeżu. Och!

– Ty się nie martwisz tym, co się dzieje. Nie mówisz: „Kiedyś tak było”. Mówisz: „Nigdy tak nie było”. Okłamałam cię. Nigdy nie byłam w jacuzzi. Ani nie wachałam kleju. Ani nie kradłam w sklepach. Ani nie byłam zakochana. Ani na Bali. Ani... – wybąkałam – na scenie.

– Jo – zwięzła oczy, patrząc się na mnie podejrzliwie. – Nie jestem twoją spowiedniczką.

– Dlaczego? – zapytałam ponuro. – Powinnaś mnie wysłuchać. Należy mi się to

od ciebie. I dobrze o tym wiesz.

– Dobrze, prześladuj kogoś, kto nie ma rodziców... Mogłam skończyć jako kaleka emocjonalna! A poza tym... nie mamy kostiumów.

– A niech to. Może powinnam pracować w aptece, jak chce moja mama. – Trzęśliśmy się przez chwilę w milczeniu. Pod nami ruch w godzinie szczytu sunął wte i wewte po Bourke Street.

– Jak on się nazywa?

– Nie pamiętam. – Wzruszyłam ramionami. – Ale to nie pierwszy raz, kiedy będziesz musiała przywitać się z mężczyzną, korzystając z jego naszywki na piżamie.

Prychnęła powstrzymywanym śmiechem i szturchnęła mnie dobrodusznie.

– Jezu, chyba mogłybyśmy zdobyć jakieś kostiumy.

Pociągnęłam nosem.

– Obiecujesz?

Mouche dała mi rękaw swego podkoszulka, bym się w niego wysmarkała.

Patrzyliśmy, napalone, na pastele, koronki i połyskliwą lamę. Siedział tam ten facet. Jego twarz, z bliska, była pokryta żyłkami. Wyglądał jak plasterek wyschłej, importowanej kiełbasy, która od dziesiątków lat wisiała w delikatesach. Gdy powiedziałyśmy mu, że szukamy resztek materiałów, przechylił się przez ladę, łytał na nas lubieżnie przez parę minut, potem powiedział, że jest patronem sztuki, że sklep zamyka się o pół do dziewiątej i że jeśli przyjdziemy wtedy, pokaże nam, na dole w magazynie, piękne rzeczy, zgoda? Mouche i ja popatrzyłyśmy na siebie. Nasze czułki, wyczuwające gównno, trzęsły się jak szalone.

A więc nadarzyła się wspaniała okazja, by pokazać Mouche, że naprawdę jestem twarda jak mur. „Życie jest za krótkie, by być subtelną” – powiedziałam jej beczelnie.

A zatem wróciłyśmy o pół do dziewiątej. Na zamkniętych drzwiach sklepu wisiał łańcuch. Dłoń właściciela przecisnęła się, by otworzyć zatrzask i bokiem przesunął się na próg. Cekiny lśniły w mroku. Mouche w milczeniu pokazała dwa kolorowe jedwabie. Wcisnął bele pod pachy jak pałki. Rozwijając centymetr w rękę, powiedział Mouche, żeby zdjęła górę ubrania. Zeskoczyłam ze swego miejsca na stole, gdzie widniał napis: „Resztki, 10% taniej”.

– Idź, poszukaj materiałów, które ci się podobają – nakazał mi. Słyszałam, jak

krew tętni w jego żyłakowatych żyłach.

– Idź – powiedziała Mouche. Niechętnie krążyłam koło poliestrów. Nie podobały mi się. Stali tak blisko siebie, że mogliby sobie umyć zęby. Z tym, że on nie miał żadnych. Tam gdzie powinny być dziąsła, znajdowała się cynobrowa breja. Słyszałam, jak coś mówi o małej jajecznicy.

– Wszyscy chłopcy muszą cię tak całować... – wymamrotał do obojętnego sutka Mouche. Musiała czuć, że pochłaniają torebka fasoli. Mouche zaprotestowała przeciwko wędrowce tego zaślinionego faceta w dół jej brzucha. Spocona torba fasoli. – Tylko sobie popatrzę. – Kielbaskowate paluchy gmerały zręcznie koło gumki jej majtek. – Stary człowiek cię nie skrzywdzi. – Patrzałam, unieruchomiona obrzydzeniem, jak ją obrabiał. Stary świntuch tkwił tam dłużej niż Jacques Cousteau. Ani razu nie zaczerpnął powietrza. Tymczasem Mouche wydłubywała sobie brud spod paznokci.

Poradzę sobie z tym. Jestem dziewczyną światową. Słyszałam o punkcie G, wiem, jak wymawiać „camembert”, jakiego widelca użyć do ryby, znam różnicę między Urugwajem i Paragwajem oraz adres baru w Nowym Jorku, gdzie w szatni zostawia się nie tylko płaszcz, lecz całe ubrania... Przeskoczyłam przez pokój i walnęłam go w brzuch.

– Zboczeniec! Wstrętny stary zboczeniec!

Szybko powrócił do zawodowego zachowania.

– Materiały. – Mouche patrzyła na mnie z niedowierzaniem, gdy czekałyśmy. Wyprowadził nas przez wejście dla dostawców. – Zaczekajcie. – Wcisnął mi dwadzieścia dolarów w rękę, gdy wychodziłyśmy na zimowe miejskie słońce.

Mouche patrzyła na mnie zimno.

– Można wyjąć dziewczynę z ceglanego obramowania – rzekła. – Ale nie wyjmie się ceglanego obramowania z dziewczyny.

Naszą ulicę odnawiano. Domy uznane za zabytkowe miały być zachowane, ale nie mogliśmy płacić czynszu podwyższonego o dziesięć procent. Nie mogliśmy płacić czynszu zmniejszonego o dziesięć procent. Nie mogliśmy płacić, kropka. Okleiliśmy kibel zawiadomieniami o eksmisji. Któregoś dnia, gdy wlekliśmy się ponurymi bocznymi uliczkami Woolloomooloo, nagle poczułam się przesiąknięta ponurością i jałowością swojego istnienia oraz szarym asfaltem. Aż do tej pory moje uczucia dla Mouche uodporniały mnie przed uświadomieniem sobie tego, że jestem bezrobotna, nie mam złamanego centa ani dyplomu wyższej uczelni i

nienawidzę się z moimi starymi.

Max powiedział, żeby się nie martwić, że wszyscy i tak niedługo umrzemy. Jeśli nie wykończy nas zmniejszająca się warstwa ozonowa ani AIDS, zrobi to prezydent Reagan. Max cierpiał na depresję poporodową – własną. Zawsze chwalił się, że skończy ze sobą, gdy będzie miał dwadzieścia lat. W dzień swych dwudziestych urodzin przesunął datę odejścia na dwadzieścia pięć lat. Więc kiedy przedawkował, nikt z nas nie był na to przygotowany.

– Max przedawkował. – Twarz Mouche pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Siedziała w ciemności, czekając, aż wrócę ze sklepu. – Jest w szpitalu St. Vinnie’s. – Opadła na kanapę. – Aussie wezwał karetkę. Zrobił się siny.

– Mój Boże. – Prawie zgniłe warzywa z chlupotem upadły na linoleum. – Chodź. – Włożyłam ręce z powrotem w kieszenie przeciwdeszczowego płaszcza.

– Nie mogę się w to mieszać.

– Dlaczego?

– Nie zrozumiesz tego.

Popatrzyliśmy na siebie. Deszcz lał. Był to jeden z tych gwałtownych potopów, kiedy wydaje się, że całe Sydney staje się dużą zieloną gąbką. Zabrałam pieniądze, które Max trzymał na czarnej godzinę na narkotyki w zbiorniku na wodę w toalecie, pobiegłam do najbliższego telefonu alarmowego, przepchnęłam się przez przemoczoną kolejkę. „Witamy w naszej sieci taksówkarskiej – powiedział elektroniczny głos. – Wszystkie linie są teraz zajęte”... Membrana nieba gwałtownie się rozpadła.

Wszystko było szare. Muzyka w mojej głowie dudniła: „Dalejże, wszyscy są szczęśliwi”.

Następnego wieczoru grzebałam w bałaganie naszego pokoju i znalazłam paczkę z materiałem. Nie wpadłam w oszołomienie na widok niesamowitych jedwabi, lecz zamrugałam z rozczarowaniem. Były tam tylko nudne resztki białej bawełny. Stary pierdoła nas oszukał. Niezręcznie ciąłam materiał. Zamki błyskawiczne nadymały się jak ropnie. Wyłogi obszyte były na wierzchu, zamiast po drugiej stronie. Przyszyłam lamówkę do bocznego szwu, wykańczając krocze tak jak pachy.

Parę wieczorów później pozwoliłam Mouche przejrzeć zbiór moich wągrów. Siedząc na podłodze pomiędzy jej nogami, dałam jej przepatrzyć moje ramiona w świetle latarki.



– Jeśli chodzi o ten dobroczynny występ... – Jej paznokcie wbiły się w moje ciało. – Jest w ten piątek, Mouche. Nie zapomnij. Występujemy o północy... Auu!  
– Odskokczyłam od niej. – To pieg.

Masa listków herbacianych wpadła do wyszczerbionej filiżanki Aussiego.

– A niech to szlag! – powiedział. – Nie macie sitka?

– I tak we wszystkim jest pełno dziur – warknęły purpurowe usta Mouche.

Przez resztę tygodnia byłam nastawiona na nie. Nie żebym wpadła w czarną rozpacz. Dalej żartowałam i w ogóle. Byłam raczej... szarawa.

Tydzień później, ze spódniczką podklejoną taśmą samoprzylepną i dekoltem spiętym agrafkami, czekałam za sceną na Mouche. Zamiast nas wystąpił zespół „Mamusia przesyła pozdrowienia, koniecznie zadzwoń”. Zaraz potem weszły na scenę „Kłujące Kaktusy”.

Organizatorką była walcząca feministka. Chwyciła mnie za ramię jak policjant z wydziału zabójstw.

– Musisz wystąpić solo, smętna rybko.

Dwie karykatury okrytych siatkowymi kostiumami Sióstr Sushi patrzyły na mnie drwiąco spomiędzy wielkich liter plakatu.

– To Sushi – powiedziałam. – I nie mogę!

– Jesteś zgłoszona. Jeśli nie wystąpisz, oderwę ci ręce, wcisnę ci je w dupę, dam kopa na rozpęd, aż potoczysz się całą ulicą George. – Występ był na rzecz Grupy Wspierającej Kobiety. Wypchnęła mnie na scenę. Potykając się na szpilkach – na każdym obcasie miałam wbite plakietki „L” – podeszłam do mikrofonu. Nie było sensu chodzić do fryzjera. Potrzebowałam zakładu, w którym robią Trwałą Osobowość i Fale na Mózgu. Spojrzałam na pulsującą ciemność. W ustach mi zaschło. Słowo honoru. Absolutna pustynia. Moje usta zmieniły się w opony Dunlopa. Potem uszło z nich powietrze. Usiłowałam je ułożyć wokół słów „To wszystko na nic”. Pierwsze słowa „To... tko... nic”. Potrzebowałam nowych ust. Dusząca mieszanina przekleństw wzbierała na sali. Tłum zaczął domagać się następnego zespołu. „Scena-spod-Prysznica-z-Psycho...” – skandowali staccato. „Scena-spod-Prysznica-z-Psycho”. Byłam tak przydatna, jak popielniczka na motorze, jakby to powiedział Max.

Występ „Konspiracy Karaluchów” odbywał się w pubie „Selinas”. Aussie, Moose, Szambo i Jędrny Język młócili w swoje gitary, trzymając je na krocach. (To był fatalny przypadek młócki). Chciałabym, żeby wyczuli, co jest grane, i

zaprojektowali gitary w kształcie penisów. Muzyka „Karaluchów” była agresywna i wymęczona. Rock jak po valium. Poruszali się, jakby tańczyli boso po polu porośniętym zielskiem. W przerwie Mouche wyłoniła się zza sceny. Tłum przypominał zatłuszczoną pajęczynę. Gdy doszłam do stolika, Aussie zbierał po piątku od każdego członka zespołu na Wybory Najbrzydszej Dziewczyny.

– Dobra, zbieramy się za godzinę w sali. Chłopak z najbrzydszą dziewczyną wygrywa.

– A jeśli przegrasz? – zapytał Szambo. – Dostaje się jakieś zwroty?

– Człowieku. To lokal Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Pełen jest gotowych na wszystko psów. A skoro o tym mowa... – Aussie spojrzął na mnie i przewrócił oczami. – Hej, Jo. Wiesz, że jesteś cała w siniakach? – Odwrócił się do kumpli. – Jakby dźgali ją dwunastometrowymi kijami!! – Spojrzałam na niego z obrzydzeniem.

Mouche zwijała sobie papierosa.

– Dlaczego kobiety zawsze rzucają przyjaciółki dla jakichś głupich facetów? – zapytałam ją.

Włożyła papierosa do ust.

– Jest w moim typie.

– Och... chodzi ci o to, że oddycha. – Opadłam na krzesło obok niej. – Gówniana Mouche! – Była podkrecona, wybijała na stole nerwowy rytm swymi purpurowymi pazurami. – Nie mogłabyś być bardziej oryginalna. Typowo kobiece. Im gorzej cię traktuje, tym bardziej na niego lecisz. Żałosne.

– Chyba – wydmuchnęła chmurę cumulusów – kręcą mnie zwierzęce typy. – Spojrzałam na nią z rozpaczą. Dlaczego nie mogłaby polubić złotych rybek albo świnek morskich tak jak wszyscy?

Grupa dziewczyn z trwałą, owiana chmurą perfum, przeciskała się przez parkiet do toalet. Trzymając się pod rękę, wyglądały jak długa gąsienica na obcasach.

– Do diabła z facetami! – wykrzyknęła Mouche. – Schrzańiłyśmy to. Panieński wieczorek. Są całe napalone! – Chłopcy łypali na nie lubieżnie. Stosunek Aussiego do seksu był taki romantyczny. „Jeśli towar się porusza i jest ciepły, przeleć go, a potem policz nogi”.

– Kłopot z Wyborami Brzydkiej Dziewczyny... – odezwał się przeciągle Jędrny Jęzor – polega na tym, że po paru głębszych wszystkie wyglądają dobrze.

Aussie przesunął ręką po udzie Mouche.

– Napij się, dziecino, to najlepszy kosmetyk. – Chłopaki zaśmiały się, potem ociężale wstały od stolika wraz z Aussie.

Mouche opuściła swe technicolorowe włosy na twarz i dopiła jego piwo.

– Dlaczego go nie rzucisz, Mouche? To totalny palant. – Usiłowałam przeniknąć wzrokiem przez kurtynę jej włosów. Z najeżonymi kosmykami i nażelowanymi pasmami, wyglądały jak uosobienie bólu głowy.

Wzruszyła ramionami.

– Mam z nim totalny odlot.

Sprawdziwszy, że Aussie-Szumowina nie przypatruje mi się, również przecisnęłam się do damskiej toalety. Dziewczyny podczas swego Panieńskiego Wieczoru nakładały kremy i róż, przeżyły się i wypinały piersi, chcąc ukryć niedożywione biusty. Dałam im kilka niezbędnych rad, jak obchodzić się z chłopakami, i opowiedziałam o wyborach.

Gdy wyszłam z toalety, następna kapela, „Przegrani Woolloomooloo”, była już na scenie. Śpiewali drugą piosenkę, gdy Szambo wrócił do stolika chłopców.

– Odrzuciła mnie!

– Która? – zapytał Aussie. Szambo wskazał palcem na pulchną blondynkę, która piła koktajl mleczny.

– To łajza! Każdy może ją mieć. Boże! Jest taka tłusta, że musiałbyś otoczyć ją w mące, żeby znaleźć jej dziurkę!

– Okropna historia – zawyrokował Jędrny Jęzor. – Ej, ty bździno! – zawołał do niej. – Daj nam szansę.

Aussie odczekał, aż w tańcu zbliżyła się do naszego stolika, po czym chwiejnym krokiem podszedł do niej.

– Hej, dziecino. Zabawimy się?

Uniosła brwi.

– Co takiego?

– Chodź ze mną – rzekł gładko – a nie pożałujesz.

Uśmiechnęła się krzywo, po czym zmieniła go w żywy koktajl mleczny. Unosząc wzrok znad swego oblanego ubrania, zauważył, że mruga do mnie z wdzięcznością. Na jego twarzy pojawił się wyraz wściekłości.

– Idziemy – powiedziałam Aussiemu, biorąc Mouche pod ramię. – Nie potrzebujemy cię, ty tchórzofretko. – Mouche wyrwała mi się.

– Naprawdę? – rzucił sarkastycznie Aussie.

Tłum wokół nas drgał konwulsyjnie. Usiłowałam podnieść Mouche na nogi.

– Odpieprz się! – warknęła. W przeciąganiu sznura, które następnie wynikło, jej torebka upadła na podłogę, wyrzucając na wierzch swoje bebechy. Wśród różnych drobiazgów ujrzałam małe plastikowe pudełeczko na biżuterię, zawierające białe

proszek, tajemnicze miniaturowe pakuneczki oraz strzykawkę. Cofnęłam się ze zdumieniem. W świecie muzyków barbiturany łatwiej dostać niż big maca. Ale do spida potrzeba dilerka.

– Skąd wytrzasnąłaś ten towar? – Aussie rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – Jesteś dilerem Maxa, co? Mouche nie potrzebuje drągów i nie potrzebuje ciebie. Ma cię gdzieś – rzekłam słabo. Mouche podskoczyła, jakby poraziło ją prądem, i chwiejnie stanęła na dywanie.

– Może się ze mną dobrze zabawić. – Podniósł głos ze względu na chłopaków. – Jeśli mi nie wierzysz, ciśnij jej majtki na ścianę i zobacz, czy są lepkie.

Chłopaki ryknęły śmiechem. Nienawidziłam go. Powiedziałam mu, że jeśli głupota jest błogosławieństwem, musi być w stanie ciągłej euforii. Powiedziałam, że za każdą wspaniałą kobietą stoi mężczyzna, który usiłuje ją powstrzymać. Powiedziałam, że jest zazdrosny i dlatego nie pozwolił wystąpić Mouche na wieczorku dobroczynnym.

– Dragi nie skoczyły i nie ugryzły jej w ramię, ty suko! – syknął do mnie.

– Daj mu spokój – warknęła Mouche. – Jestem naćpana po same oczy. Gardło mam rozpieprzone. I tak nie mogłabym śpiewać.

– Dlaczego bierzesz? – zabeczałam.

– Pieprzona prawda polega na tym, że Mouche cię nie potrzebuje. Dlaczego nie wrócisz do swojej pięknej willi i ciasta w niedzielę?

– Mouche? – W całym ciele miałam takie uczucie jak w ustach po borowaniu zębów.

– Wiesz – Aussie znowu zwrócił się do mnie – byłabyś naprawdę dobrą przedszkolanką.

Jedyna zasada moralna, jaką przekazywali sobie Australijczycy od czasów zesłania, to nigdy nie donosić. Raczej umrzeć niż donieść.

Tyle szczeniaków umierało od przedawkowania, że policja założyła gorącą linię narkotykową dla anonimowych informatorów. Skorzystałam z telefonu alarmowego. Nakręciłam numer. Podałam nazwisko Aussiego oraz adres szopy, w której kapela ćwiczyła. Musiałam wykonać jeszcze jeden telefon. Z wywracającym się żołądkiem pobiegłam do komuny, zwiesiłam głowę nad miską klozetową i rozmawiałam z Bogiem przez wielki biały telefon.

Max dochodził do siebie w świetlicy. Gdy wypompowano mu z żołądka ostatnią dawkę, odkryli zadawnione zapalenie wątroby i zatrzymali go jeszcze na parę tygodni. Dziwna syntetyczna muzyka wydobywała się z jego walkmana Sony. Siedząc z nogą założoną na nogę, cały ubrany na czarno, wyglądał jak cierpiący na gruźlicę karłowaty kogut. Przyjaciele i sąsiedzi stali w kolejce, by złożyć hołd swemu punkowemu bohaterowi. Ja osobiście nie mogłam wymyślić nic lepszego niż tort z gumową rurką w środku.

Mouche doszła do wniosku, że powinniśmy urządzić stypę Maxowi, ponieważ omal się nie przekreślił. Przygotowaliśmy mu „zestaw samobójczy”: kartonowe pudło, zawierające brzytwy, aspirynę, puszkę coli, klej do wączania, przykrótka kawałek sznura z pętlą na końcu oraz pudełko zapalek do zapalania piecyków. Dla samobójców, którzy wybierają powolniejsze sposoby, dołączyliśmy podanie o przyjęcie na uniwersytet oraz broszurkę dla kandydatów na rekrutów. Wyciągnęliśmy tapczan na ulicę w czasie godzin szczytu i piliśmy toasty winem z beczki na cześć ludzi, którzy pracowali od dziewiątej do piątej, rodziców, małżonków i studentów uniwersytetu.

Mouche była dla mnie miła, ale widziałam, że ją denerwuję. Traktowała mnie, jakbym miała grzybicę.

Choć nadeszła wiosna, byłam przygnębiona. Całymi dniami.

– Uśmiechnij się – rzekł Max. – Świat może być gorszy. – Uśmiechałam się. I był. Aussie przyszedł, żeby nam powiedzieć, że gliny aresztowały Mouche.

– Jakiś dupek doniósł na nas na policję – rzekł. – Najechali szopę, w której ćwiczyliśmy Mouche brała tam ostatniego wieczoru. Znaleźli spida, skuna, trochę skrętów. Zabrali mi fantastycznie dobry towar. Mieliśmy też trochę extasy. Mouche się wściekła. Psy dostały szału. Uznały, że jest histeryczką. Wsadzili ją do psycholi w St. Vinnie’s. Skurwysyny!

Niewiele jest rzeczy gorszych niż aresztowanie najlepszej przyjaciółki. Jedno to stracenie części ciała w śmietniku na żarcie. Inną jest uświadomienie sobie w trakcie pieprzenia, że nadal ma się tampon. Siedziałam w szpitalnej poczekalni, nienawidząc samą siebie. Muzyka doprowadzała mnie do mdłości. Były to nowe nagrania starych przebojów z lat sześćdziesiątych.

Posługacz przychodził co godzinę, by wywiesić inny znak na akwarium. „Nic nie jeść” wymienił teraz na „Odpoczynek w łóżku”. Patrzyłam, jak tropikalne rybki bez najmniejszego zapachu krążą koło siebie. Mouche była już zaniedbaną nieletnią. Teraz okazała się również nieprzystosowana. Całe to zajście spowoduje u niej urazy psychiczne, które będą ujawniać się przez całe lata. W porze obiadowej

posługacz zatrzymał swój wózek z pastylkami i postawił nową diagnozę mieszkańcom akwarium, zachęcając pielęgniarce, by podały „dużo płynów”. Zgon Mouche będzie wyłącznie moją winą. Graffiti w tunelu Central Station i kłamstwa w cukierni to zaledwie początek. Później przyjdą oszustwa, podpalenia, terroryzm!

Przeglądając egzemplarz „Cleo”, natrafiłam na ostatnią część opowieści o Roxanne o wygłodniałych udach. Czytałam z zapartym tchem... Ale wszystkie jej niesamowite kłopoty rozwiązało małżeństwo z Pięknym Księciem z kartą kredytową i niesamowitym w łóżku. Na przeciwległej stronie był kwestionariusz: „Czy masz więź z życiem?”. Nie miałam. Z psychotestu: „Czy jesteś dobrą przyjaciółką?”, wyszła mi punktacja 0-2. Dlaczego to zrobiłam? To znaczy, dlaczego dopuściłam do sytuacji, w których mam poczucie winy? Mój dezodorant powiększa dziurę ozonową, zostawiam na talerzu warzywa i kotlety, choć miliony głodują, całowałam się z mężczyzną po ciemku i nie powiedziałam mu o opryszcze... dziewczyna zawsze znajdzie tysiące powodów, by mieć poczucie winy, no nie?

Następny test ujawnił, że mam niski iloraz seksualności: szesnaście i pół, i nie dość, że moje sutki nie nabrzmiewają równocześnie, to nadal mam wągry. Mouche przeprowadziła kursy orientacji anatomicznej w celu ustalenia alternatywnych stref erogennych (pomiędzy palcami u nóg, w nozdrzach, na powiekach). Zrobiłam to tylko raz, gdy wybrałam się z taką misją. I też jedyny raz skręciłam się w japońską erotyczną pozycję miłosną i wtedy denerwowałam się wysokością rachunku kręgarza. Spójrzmy prawdzie w oczy. Miałam kompletny bypass osobowościowy.

Mouche leżała, blada na tle poduszki.

– Przez dwa dni karmili mnie ciastem i środkami uspokajającymi. – W nogach jej łóżka znajdowała się karta z łańcuchem Himalajów, wyrysowanym niebieskim ołówkiem.

– Mam bypass osobowości – wyznałam.

– Co gorsza – zachowywała się chłodno i wyraźnie poczuła się gorzej – cały szpital jest pełen kobiet. A niech to. Góry tamponów.

Pokój był przegrzany. Pociłam się. Teraz wiedziałam, jak musi się czuć kurczak w kuchence mikrofalowej.

– Mouche, muszę ci coś powiedzieć... – Mouche była niespokojna, przewracała się z boku na bok. Ale zanim zdążyłam coś wyznać, drzwi otworzyły się. Odepchnięto mnie od łóżka. Jak nazwiecie grupę lekarzy? Klamrą? Gronem? Stadem, sądząc po sposobie, w jaki płaszczyli się przed mężczyzną w garniturze, który przyszedł z nimi. Można powiedzieć, że kolana mieli nadmiernie wygięte do

tyłu.

Był to ŻMŚW (Żonaty Mężczyzna w Średnim Wieku), bez wątplenia z poczuciem moralności w drobny pasek. Czułam chlorek do odkazania wody w basenie i widziałam nienagannie przystrzyżone trawniki. To zatwardziały konserwatysta, który uważa, że dzielnica willowa jest piękna jak morska zatoka – tyle że nie ma tam takich widoków. Wałkoń żyjący z dywidendy. Znałam skądś tę twarz. Ale nie orientowaliśmy się dobrze, co się dzieje w komunach. Nie tylko dlatego, że Mouche zabroniła czytać gazety. Byliśmy pokoleniem telewizyjnym. Bez telewizora.

Cisnął swoją teczkę na fotel obok mnie.

– Ewelino! – powiedział. Zaparło mi dech.

– Tato – odparła. Znowu zaparło mi dech.

– Kiedy wreszcie dorosniesz? Czy ty wiesz, co ze mną będzie, gdy to się dostanie do gazet?

– Zamknij się, tato – powiedziała po prostu.

– Co gorsza, mam dość ratowania ciebie. – Mouche powiedziała wówczas ojcu, żeby się odpieprzył. Zamarłam. – Myślałem, że do tej pory już wyrosłaś z fascynacji cyganerią. Kiedy masz zamiar iść na uniwersytet? Mogę ci zorganizować każde studia, każdy kurs w kraju. Mogę ci kupić mieszkanie z tarasem w centrum miasta. I wtedy będziesz kimś. – Weszła pielęgniarka z ciastem i kawą. Ojciec Mouche krążył po pokoju. Nie chodził, lecz płynął z rękami na klamercie spodni, jakby stał przy sterze wielkiego statku wycieczkowego. Przycumował przy mnie na chwilę. – Zapewne jesteś nową przyjaciółką Eweliny – odezwał się. – Przypuszczam, że mieszkasz w tej jej tajemniczej komunie? Czy uważasz to za wyraz protestu przeciwko kamienicznikom?

– Mmm – oszołomiona, spojrzałam na Mouche. – Tak naprawdę, to taki kurnik.

– Ewelina przechodzi okres poszukiwania swojej osobowości. – Przystanął przed lustrem, by zasłonić włosami łysinę. – Wiesz, ja też kiedyś byłem młody. – Spokojnie przyjął to objawienie. – Wysoko zaszedłem na uniwersytecie – rzekł rozsądnie. – Tam zdobyłem pozycję...

– Straciłeś! Straciłeś wszelką pozycję, tato – zaskrzeczała Mouche z łóżka.

– Występowanie przeciwko rządowi i bunt... to część dorastania. – Rozdzielił kilka syntetycznych uśmiechów i wręczył jej studolarowy banknot. Potem, w otoczeniu płaszczącej się świty, spłynął do holu, dalej do windy i odjechał swą luksusową bryką.

Popatrzyłam na Mouche.

– Pierdołę. Równie dobrze mogłabym nie mieć rodziców. Nie patrz tak na mnie. – Wykrzywiła się. – Jasne! Dałby mi wszystko. Ale żyję z resztek. Tak jak ty. No nie?

Spojrzałam na pieniądze, które zostawił na stalowym stoliku. Pomyślałam o nowych ciuchach, w których czasami wracała. Tajemnicze pieniądze na mikrofony, perkusję dla Aussiego, taksówki, podwieczorki poza domem. Pomyślałam, jak jej australijski żargon czasami niepokojąco przechodzi w język ludzi wykształconych. Słyszało się w jej głosie wyższe sfery. Teraz to stało się jasne. Już wiem, skąd wiedziała, jak wymawiać „camembert” – z bogatego domu.

– Żyjesz na resztkach od Gucciego, Ewelino.

– Tak, ale powiedziałam mu, żeby się odpieprzył. Jest taką ciotą.

– Wiesz co? Nie ma nic bardziej ciotowatego niż włóczyć się i nazywać każdego ciotą.

Gdy biegłam białym korytarzem, napis na akwariium głosił: „Nie przeszkadzać”.

I tak zrobiłam najgorszą rzecz w życiu. Popełniłam samobójstwo. Moja pierwsza praca polegała na wyrabianiu korków do wanien. To nie hałas mnie dobijał, ale powtarzanie tych samych czynności, co jest zabójcze dla mózgu. Drugą pracą było robienie korekty książki telefonicznej. Te wszystkie nazwiska, które brzmiały jak dolegliwości żołądkowe. Potem zostałam zaangażowana w charakterze biuściastej dziewczyny w knajpie i tego samego dnia wyleciałam, bo nią nie byłam. Następnie Max załatwił mi pracę telefonistki prowadzącej „Rozmowy z fantazją”. Ponieważ były to lata osiemdziesiąte, interes kwitł. Seks długodystansowy. Przez telefon nie można złapać choroby, no nie?

– Numer American Express? – zapytałam z kliniczną dociekliwością. – Nazwisko? Adres? – Gdy już zapisałam wszystkie dane, wystarczyło dostać ataku astmy, który dochodził do anonimowego ucha. – Co masz na sobie?

– Och – zaskrzeczał męski głos z drugiej strony. – Mam na sobie niebieski podkoszulek... ale... – usłyszałam pełne zażenowania chrząknięcie... to tyle.

– A ja – spojrzałam na swój workowaty sweter, brudne szorty i zniszczone reeboki bez skarpetek – mam skórzane, dziurkowane obcisłe ubranie, kabaretki i szpilki i – dodałam, przewracając oczami do Maxa, który, ze słuchawką wciśniętą między ramię i podbródek, obcinał sobie paznokcie – mam ochotę na porządny numerek.



Centrala mieściła się w całkiem zwyczajnym domu. Pokój na dole obwieszony był zdjęciami mężczyzn, wypychających do przodu krocze. „Mają was wprowadzić w nastrój” – mówił właściciel. Była tam sypialnia dla długich, ekstraluksusowych, bardzo kosztownych rozmów albo dla klientów ze specjalnymi wymaganiami. Kobiety podłączone do automatycznych, erotycznych linii, głównie gospodynie domowe i studentki, prowadziły świńskie rozmowy, a jednocześnie czyściły srebra, goliły nogi, cerowały skarpetki, malowały paznokcie, prasowały, a matki, mieszkające w pobliżu, kroїły marchewki na wieczorną zupę jarzynową.

– Moje usta posuwają się teraz w dół do twojego twardego fiuta... – wyszeptałam ochryple, po czym usztywniaczem spryskałam falbanki wokół szyi na koszuli Maxa. Max zapytał głośno, czy chcę mleka do kawy? Kiwnęłam potakująco, tłumiąc ziewnięcie, gdy zbliżałam się do astmatycznego crescendo.

Schylając się do kosza na brudną bieliznę, zauważyłam swoje odbicie w lustrze w korytarzu. Moje rozwichrzone włosy związane były w kucyk. Na nogach wyrosły mi trzydniowe kępki włosów, a z kolan zwisał wrośnięty zarost. Byłam dwubarwna – albinoska z przodu i spalona jak rak z tyłu, gdyż zasnęłam na plaży. Głos w telefonie zduszonym szeptem prosił, bym mówiła dalej. – Proszę, kochanie... – skomlał. – Co teraz robisz? – nagle zrobiło mi się niedobrze. Telefoniczny *coitus interruptus*. Co ja tu robię? Życie nie jest za długie, by być subtelną. Odgarnęłam włosy z twarzy. – Prasuję – wyznałam.

W końcu znalazłam wspianiałą niszę na rynku pracy – szansę jedną na milion. Byłam dziewczyną na posyłki w agencji reklamowej. Tu pracowała elita. Wszyscy mężczyźni mieli opaleniznę z solarium, a kobiety pięciocentymetrowe akrylowe szpony. Przez większość czasu zastanawiałam się, jak zmieniają tampony, nie popełniając seppuku. Wszyscy byli strasznie zajęci, mieli niesamowite pomysły i ciągle się nawzajem wypytywali, skąd pochodzą. (Niestety, ze wschodniej dzielnicy). Spotykali się potajemnie, by omówić, jakich papierowych chusteczek należy używać, by kichnięcie nie wylądowało na uchu sąsiada, i jakim materiałem okrywają tyłki. Płaszcząc się przed bałwanami, którzy pracowali w znajdującym się obok biurze turystycznym, dowiadywali się o wszystkich najmodniejszych kurortach. A więc, by pogorszyć sprawę, ciągle rzucali nazwami jakichś egzotycznych miejsc.

Było to zajęcie ciągle stawiające nowe wyzwania. Przyrządzałam kawę bez kofeiny, kupowałam niesolone masło orzechowe, pieczywo z pełnych ziaren pszenicy i nitki do czyszczenia zębów, przyrządy do pomiaru zużycia paliwa w samochodach i załatwiałam zlecenia kurierskie. Poważnie przeżywałam wycofanie

się Mouche z mojego życia. Mieszkała z ojcem w Canberze. W czwartym tygodniu bez niej Aussie wparował do biura. Kiedy go znowu ujrzałam, poczułam się, jakbym nastąpiła na stary kawałek żutej gumy. Skulił się, widząc moje supernowoczesne szpanerskie otoczenie.

– Jak się ma Mouche?

– A co cię to obchodzi? – Usiłowałam słownie zdrapać go z podeszwy mojego buta.

– To znaczy, że ty też nie masz od niej wiadomości? – wywnioskował triumfalnie. – .

– Twój stosunek do kobiet jest taki jak u Neandertalczyka. Gdyby twoje podejście miało ręce, byłyby owłosione i wlokłyby się po ziemi. – Zaczynałam się naprawdę wkurzać.

– Słuchaj, nigdy nie twierdziłem, że moja świadomość feministyczna wzrasta, do cholery. Rośnie moje pierdolenie. To stała sprawa.

Wpisałam do akt wyniki najnowszych badań, z których wynikało jednoznacznie, że jeśli chodzi o papier toaletowy, jego wytrzymałość jest większa niż bibułki. Wydali osiemdziesiąt sześć tysięcy dolarów, by stwierdzić, że ludzie nie lubią, jeżeli ich palce przedostają się przez papier.

– Potrzebujemy jej do kapeli – warknął. – Wszyscy uważają, że się wyprzedajemy. Dałaby nam wiarygodność na ulicy. Ziewnęła w twarz każdemu poszukiwaczowi talentu w Sydney. Ale jeśli jękniesz raz albo dwa, zrobi to. – Odchrząknął, rozciągnął flegmę między językiem i zębami, po czym przełknął plwocinę z powrotem. Czekałam, aż powie, że jest dzieckiem recesji. – Ona ma wszystko. Na pierdolonym talerzu. Ja jestem dzieckiem recesji. Uciekinierem technologicznym.

– Słuchaj... Pożegnałam się ze światem muzycznym.

– Nie da sobie rady bez ciebie.

– Jeśli chcę się do czegoś włączyć, to do telewizora.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jaką możemy zrobić promocję i reklamę... Nie wykombinowałaś, kim jest jej stary?

Agencja reklamowa prenumerowała każdy dziennik i magazyn australijski. Stare numery leżały jak leci, złożone na stosie z tyłu. Aussie sięgnął po stos „Heraldów”, przerzucił dzisiejszy, potem wczorajszy, wyrwał stronę, położył na biurku i podetknął mi ją pod nos. Ojciec Mouche widniał na schodach parlamentu, głosząc, że mówi w imieniu rządu, który poparł pogląd premiera, że marihuana nie powinna zostać zalegalizowana.

Gdy zamknęłam drzwi szafy, powiedziałam Aussiemu, gdzie go trzymam – pod G jako gnoja. A odsyłacz jest pod S jako szowinistyczny obrzydliwiec.

– To kurewsko dziwne, to, że Mouche zwinęły gliny, nie uważasz?

– N-nie... – wyjąkałam.

– Bo nikt nie wiedział, że mamy próbę w szopie. Tylko my, ona i... ty. Wiesz, co robią z tymi, którzy donoszą? Spuszczają im głowy w misce klozetowej.

Otoczył moją szyję swym wielkim, małym ramieniem i tchnął mi w twarz czosnkiem.

– Odpręż się, Jo. Nasza trójka będzie tworzyła wspaniałą parę.

Biegłam przez całą drogę do domu, jak oszalała. Ponure ulice Kings Cross śmierdziały jak nieposłane łóżko. Moją dolegliwością, nigdy niezdiagnozowaną, była fuszerka. Partaczyłam absolutnie wszystko. Nosłam wysokie obcasy, jak przystało na wysoko postawioną osobę, ale jeden odpadł mi, gdy winda wjechała na najwyższe piętro. Byłam w podłej sytuacji. Gdybym się przyznała, Mouche będzie mnie miała w dupie. Jeśli nic nie powiem, będę ją musiała namówić, żeby śpiewała z „Karaluchami”. A wówczas jak ją przekonam, żeby nie widywała się z Aussiem? Zrobiło się zimno. Zatrzymałam się przy fontannie i mimochodem natrafiłam na jakąś paczuszkę w kieszeni płaszcza. „Do rąk własnych” było napisane. „Przesyłka kurierska”. Zapomniałam ją doręczyć dyrektorowi. Wsunęłam palec w przecięcie w kopercie i wyjęłam bilet oraz opis trasy. , , Nowy Jork – napisano. – Bilet w jedną stronę”.

– Wyobraź sobie! – trajkotałam do Maxa. – Los Angeles, Nowy Jork. Potem może do Londynu, Paryża, Rzymu...

– Wspaniale – powiedział ponuro. – Kup mi paczkę papierosów Peter Stuyvesant, kiedy się tam znajdziesz.

Otoczyłam go ramieniem. Byliśmy w samoobsługowej pralni, patrząc, jak idzie nasze pranie.

– To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię dzięki własnym zasługom. Hej! A może ty też polecisz?

– Jasne – wzruszył ramionami, uderzając się poniżej kolana. – Nigdy nigdzie nie pojedę. Jestem odrzutem. Spójrz – dodał – żadnego refleksu. Z prawnego punktu widzenia nie żyję – Max, jesteś cudowny. – Pocałowałam go w krostowate czoło. – Po prostu przestań zaprzepaszczać wszystkie swoje nadzieje.

Palce u nóg swędziały mnie pod prysznicem, gdy odkreślałam sobie w głowie poszczególne punkty. Paszport, tak. Wiza, tak. Wyobraziłam sobie macki grzybiczne, rozrastające się na mojej nodze, i zapragnęłam jak szalona pary stringów. Odczekałam, aż biuro uda się na swą makrobiotyczną przerwę na kiełki fasoli, zadzwoniłam do biura turystycznego i udając Bajecznie Sławnego Agenta Reklamującego Papier Toaletowy, złożyłam zlecenie. Przez ostatnich kilka tygodni słuchałam rady matki i oszczędziłam trochę gotówki. Nic nie mówiła, żeby jej nie wydawać.

– Sie masz. – Wyjrzałam przez obłok pary. To była Mouche, nagusienka jak ją Pan Bóg stworzył. – Musiałam się zgłosić do swojego kuratora – powiedziała niepytana. – Dostałam wolne. Żeby wziąć prysznic, wysrać się i ogolić. – Z prysznicem lała się bez przerwy woda. Wsunęła się pod zimny strumień. Butelka szamponu wysunęła mi się z ręki i rozlała swą jasnyniebieską, przeciwłupieżową zawartość na nasze stopy.

– Co u ciebie? – Żołądek mi się wywracał. – Odpoczęłaś?

– W stolicy tego kraju nie ma wielkiego wyboru. – Mouche naląła trochę niebieskiej mazi na rękę i usiłowała wmasować mi ją w głowę. – Życie w Canberze to sprzeczność terminologiczna. – Uchyliłam się przed jej ręką. – Tato ma na mnie teczkę. Sprawdziłam w jego osobistym archiwum w pracy. Byłam wciśnięta między Czarnobyl i Finanse Publiczne. Wszystkie moje rysunki z przedszkola, sprawozdania, świadectwa psychiatryczne, raporty policyjne, odznaki z harcerstwa... Tęskniłam za tobą. Strasznie. – Wpatrywała się we mnie. – Jo?

Słowo daję, że jestem szurnięta. Nie znam innej osoby, która by się obgadywała za własnymi plecami. W ciągu paru minut wypaplałam całą tę ponurą historię. O tym, że wsypałam Aussiego i o jego ultimatum, a na zakończenie powiedziałam, że lepiej jej będzie beze mnie.

Mouche w milczeniu posmarowała sobie pachę pianą, wyciągnęła wyrzuconą maszynkę do golenia z kosza na śmieci i wygoliła włoski.

– Skończyłam z mężczyznami – urwała, by strząsnąć pianę na podłogę. – Jako z gatunkiem.

– Gadanie. I co zamiast?

– Nie mam pojęcia.

– Cóż, są gorsze rzeczy niż celibat.

– Tak – westchnęła. – Na przykład zapalenie wątroby albo śmierć.

– A niewinni uczniacy? – zasugerowałam.

– Za to można pójść siedzieć – rzekła lekceważąco. Dwie kobiety, które brały prysznic naprzeciwko, zabrały swoje przybory toaletowe i wyszły. Zapłaciły za gorące prysznice. Mouche odkręciła oba kurki z gorącą wodą na cały regulator. Gdy odtajała, uśmiechnęła się do mnie. – Pozostaje jeszcze lesbijskość!

Kobiety, które jeszcze brały prysznic, spojrzały na nią podejrzliwie.

– Nie możesz po prostu zostać lesbijką. Mówisz tak, jakbyś zamierzała zabrać się do robienia frędzli!

– Tak mi się tylko powiedziało – rzekła.

Ze śmiechem zaczęła planować nowe piosenki. Blues pod tytułem *Kuba Rozpruwacz*. Reggae na temat AIDS. Spiritual śpiewany przez brunetkę *Nikt nie widział takich odrostów, jak ja*. Powiedziałam jej o przesyłce kurierskiej.

– No tak, od dawna mam dosyć Australii. Stary powiedział, że da mi bilet.

– A Aussie? Załatwisz mu paszport w pięć minut?

– To śmierdzące jajo – powiedziała z uczuciem.

I ty też, Mouche – doszłam wówczas do wniosku. Może gdybyśmy znalazły się w Nowym Jorku, zdołałabym ją skłonić, by się przede mną otworzyła, poznać jej osobowość i dojrzeć bogate, złotożółte fragmenty... Ale będą inni Aussie. Znam cię. Nawet kompletny kretyn jest lepszy niż brak jakiegokolwiek mężczyzny. A jeden mężczyzna nigdy nie obdarzy kobiety tym, co dwu.

– Zawrzyjmy układ, dobrze? Obiecuję. I żeby ci to udowodnić, już nigdy nie zobaczę Aussiego.

– Nigdy?

Odgarnęła kosmyk włosów z mojej twarzy.

– Nigdy.

Owinięte przez gigantyczne boa z piór gorącej pary, gadałyśmy i gadałyśmy, póki nie zużyłyśmy całej ciepłej wody ze wszystkich niezajętych pryszniców.

– W Nowym Jorku robią masaże psychiczne, mają delikatesy, otwarte przez całą noc, Woody Allena i...

Mouche na zewnątrz zaparkowała samochód starego. Był to jakiś sportowy wóz z odsuwającym dachem.

– O rany! – jęknęłam. – W takiej bryce możesz pierdzieć bez najmniejszego zażenowania.

Po drodze do domu Mouche podjechała do supermarketu. Zatrzymała się na miejscu, zarezerwowanym dla inwalidów.

– Jesteś niepełnosprawna?

– Mam skurcze mięśniowe – mrugnęła do mnie i pokuśtykała do działu

sportowego. Wróciła niebawem, przynosząc mi w podarunku parę nowych butów sportowych, o numer za dużych, czerwone pończochy, całą paczkę karmelowych miśków i biustonosz... powiedzmy stanik do ćwiczeń, który podciąga w górę mizerne cielesne poduszki, aż wylewają się z podkoszulka. – O rany – westchnęła. – Zostało tylko dwadzieścia dni na kradzieże w sklepie do Bożego Narodzenia.

Zaczęłam podśpiewywać melodię do piosenki, którą próbowałyśmy układać całe miesiące wcześniej, ale dałyśmy sobie z nią spokój, kiedy zabrakło nam rymów. „Jesteś tylko sprzączką na jego pasku”...

– „Po prostu włóczyz się z nim”... – dośpiewała, gdy przejeżdżaliśmy przez ulicę Cleveland. – „Jesteś tylko sprzączką na jego pasku”...

– Co zrobisz, kiedy opadną mu spodnie? – spojrzała na mnie i zaśmiała się, potem otoczyła ramieniem moją szyję. – Aussie jest dla mnie niczym, przygłup jeden.

Tego wieczoru, by uczcić nasze ponowne spotkanie, Max, Mouche i ja lepiliśmy ludzików z piernika, no może niedokładnie ludzików, ale piersi, wielkie, okrągłe tyłki, umączone penisy i kulki jąder. Znowu odcięto nam gaz, więc miejscowa włoska kawiarnia, „U Billa i Toniego”, upiekła je dla nas w swoim piecu. Max również postanowił postarać się o paszport. „Gdy będziecie Bajecznie Sławne i założycie własny nocny klub, możecie mnie sprowadzić jako waszego osobistego kucharza, którego specjalnością są grzanki z serem”. Gdy pierniki się piekły, Bill zaproponował nam „torcikony”, a Tony zrobił „filiżanki chińszczyzny”.

### *Zabierzcie mnie stąd*

Zapakowałam tylko najważniejsze rzeczy: barytonowe ukulele, autobiografię Edith Piaf, słownik rymów, kosz ze słoikami pasty warzywnej i buty do stepowania.

Były to moje siedemnaste urodziny. Mouche dała mi egzemplarz książki *Nowy Jork za 25 \$ dziennie*, co było o wiele więcej, niż planowałyśmy. I dostałam też paczkę, którą miałam odebrać na pocztce. Zamiast tortu przeżułam ostatnie piernikowe jądra. Były zatęchłe i rozmokłe. Udawałam, że to Aussiego.

– Heej... jest ktoś w domu? – To przyszła Catherine z biura kuratora. Była miła, głosowała na Partię Pracy i często przynosiła śniadanie. – Gdzie Mouche? – zapytała. – Wiem, że dziś powinna się zgłosić po raz ostatni, ale spóźnia się już

trzy godziny. – Pognałam korytarzem. Na górze wyciągnęłam paczkę mąki, w której Mouche trzyma krążek domaciczny. Wsadziłam palec w mąkę, potem wysypałam całą paczkę na podłogę. Pobiegłam do szopy. Studenci drukowali plakaty, propagujące najskuteczniejszą formę higieny osobistej oraz metodę zapobiegania ciąży – granat ręczny. Poeta, który był uzależniony od środków przeciwkaszlowych, leżał rozciągnięty na masce samochodu. Aussie wyłonił się z kibla. Miał ręcznik okręcony wokół pasa. Ujrzał mnie i szepnął na ucho najobrzydliwsze szyderstwo, jakie mu przyszło na język.

– Przyszłam, żeby... ee... wziąć trochę nut.

– Odpoczywam od Pat – zawołał za mną.

– Od czego?

– Od Pata Malone. Jezu. Nie jestem sam. Wpada prawie codziennie. Och – uśmiechnął się głupio. – Nie wiedziałaś?

– Pierdolisz. – Przepchnęłam się obok niego do szopy. W całym pomieszczeniu leżały zwalone byle gdzie materace, mikrofony, pudła od wzmacniaczy. Mouche leżała na wznak za perkusją. Uniosła się, widząc, że się zbliżam.

– Nie rzucaj od razu gównami...

Stałam naprzeciw niej, przysięgając sobie, że będę wyrafinowanie obojętna, spokojna i cyniczna...

– Nie poznałabyś, że to gówno, nawet gdybyś w nie wdepnęła – zaskrzeczałam tonem, który zazwyczaj kojarzy się z kastratami.

– Dlaczego nie wrócisz do swojej willi? – wymamrotał Aussi. – Tam jest twoje miejsce.

– Nie rozumiesz... – Chciałam ją zapytać, dlaczego należy do tych emocjonalnych rajskich ptaków, otaczających się ludźmi, którzy je ranią. Szukałam słów, by jej powiedzieć, że Aussie jest uosobieniem wszystkiego, czego nienawidzi w Australii – bierności, lenistwa, cynizmu, przeciętniactwa. – Czy wiesz, że wacha swoje własne bździny? – krzyknęłam z rozpaczą. – Wiedziałaś o tym?

Mouche wygładziła swe wymięte ubrania.

– Nie mów mojemu staremu, dobrze? – Oczka w jej siatkowych pończochach wiły się aż po uda. – Będzie miał kłopoty, jeśli się dowie, że tu jestem.

– Mouche, dlaczego zawsze musisz zachowywać się jak wariatka?

– Chyba dlatego, że to bardziej widowiskowe – wzruszyła ramionami. – To żadna wielka sprawa, Jo. – Każde słowo przeszywało mnie jak ostrzem. – Nie udawaj onanistki. A poza tym, nie mogę go rzucić. – Zbliżyła twarz do mojej. Czekałam bez tchu na jej z serca płynące wyznanie. – Wie, że ciągnę się za sutki –

wyszeptała.

Pobiegłam City Road. Może nie tyle biegłam, co ślizgałam się po psich gównach. To Mouche zawsze ścinała Maki, Główki, Łodygi i Kwiaty przy samej Ziemi. Zamiast dodać odżywczego nawozu do Sióstr Sushi, chciała trzymać nas w doniczkach, niczym twórcze bonsai. Na głównej stacji metra wszystko było ponure i brudne. Tkwiła tam nadzwyczajna liczba świrów, zaprzysięgłych punków i psów o trzech nogach. Mozolnie przedzierając się przez tunel, powiedziałam sobie, że mogę wyciągnąć z tego jakąś naukę. Nie wiedziałam tylko jaką, do kurwy nędzy. Wiedziałam jedynie na pewno, że życie nie jest sprawiedliwe. Czułam się przygnębiona, gdy sobie uświadomiłam, że na świecie istnieje tylko jedna prawdziwa demokracja. Demokracja dupków.

Odebrałam paczkę z poczty i przyjrzałam się pismu. Zaadresował ją mój ojciec. Prócz ograniczania rozmów telefonicznych i ponownego użytkowania zapalek, kiedyś zabronił mi oglądania biało-czarnego filmu *Kacza zupa* na kolorowym telewizorze, gdyż używałam „niepotrzebnych składników”. Obróciłam paczkę w dłoniach i potrząsnęłam nią. Mama tylko raz dostała od niego prezent. Przybiegł do domu z supermarketu i oznajmił: „Shirl, mam coś dla ciebie!”. Zebrała się cała, podekscytowana rodzina, wzbudziły się nasze nadzieje na coś fantastycznego i ekskluzywnego... był to fantom do badania raka piersi. Bezpлатny. Próbka.

Siedziałam w strefie pomyśleńców na Taylor Square. Po kolana w pijaczkach i ćpunach. Gliny nazywały ją Wyspą Fantazji. Usiadłszy wygodnie, otworzyłam swą urodzinową przesyłkę. Było to pudełko czekoladek. Przecenione. Lekko uszkodzone. Co prawda, połowa z nich roztopiła się, ale była to bombonierka dla całej rodziny. Dla mojego ojca znaczyło to tyle, co opakowany w papier do owijania prezentów ferrari. W środku była notka: „Wracaj do domu – Tata”.

Pomiędzy kólkami czekoladek znajdowały się formularze zgłoszenia na wyższą uczelnię. Przez chwilę ujrzałam siebie na uniwersytecie, bezpieczną, używającą środków antykoncepcyjnych, o długich, zadbanych włosach i czystej cerze, z chłopakiem równie trwałym co moje ufarbowane i uczesane loki. Robilibyśmy to po bożemu co wieczór, jego sperma wędrowałaby do przytulnego, jajnikowego celu... Studiując formularze, wybrałam czekoladkę z nadzieniem toffi. Ugryzłam ją. Była miękka w środku.

Transwestyci stali w kolejce, by zrealizować swe czeki na zasiłek w banku naprzeciwko. Wszystko, co robiłam przez ostatni rok, było pomysłem Mouche. Nawet mój wyjazd. Nagle przyszło mi do głowy, że w Nowym Jorku będę tak samo nieszczęśliwa jak tutaj. Tyle że tam będzie zimniej.



Pod świetlówkami, we wszystkich ponurych wynajętych pokojach, kobiety sprawdzały, czy na penisach nie ma wrzodów. Chłopcy ćpali wzdłuż muru politechniki. Chłopcy na sprzedaż schodzili z ceną. Jedyna rzecz w Sydney, którą ominęła inflacja. Alfons naprzeciwko klubu striptisowego „Prawdziwe Dziewczęta na Scenie” wykrzykiwał: „Panowie, panowie, skierujcie spuszczenie na nasze panie. Pełne zadowolenie albo zwracamy pieniądze”. Obracająca się restauracja na szczycie Wieży Centrepont wyglądała jak gałka na toalecie, w której trzeba nacisnąć guzik, żeby spuścić wodę. Chciałam ją nacisnąć i patrzeć, jak całe Sydney wpływa w morze.

Pomacałam bilet w kieszeni. Dwoje starych świrusów pogrążonych było w pijackiej dyskusji na ławce w parku tuż obok mnie. „Daj się popieprzyć, Elsie. No dalej. Bądź kochana”. Choć potężne big maki oraz puszki po słodko-kwaśnych napojach były rozrzucone po całym parku, zauważyłam, że czegoś brakuje. Nie było karaluchów. To mnie straszliwie przygnębiło. Szykowny Paddington znajdował się zaledwie ćwierć mili stąd. Małe, eleganckie restauracje przeniosły się na wzgórze. A wy byście tego nie zrobili, gdybyście mieli do wyboru owsiankę i pasztecik? Jeśli oni tam zawędrowali, co my tu robimy? Właśnie tego potrzebowałam. Dowodu, że karaluchy są inteligentniejszą siłą życiową. W końcu więc zawładną ziemią. Czułam się odrętwiała. Wiecie, to takie uczucie, gdy się nic nie czuje. „Daj się tylko trochę popieprzyć, Elsie, przez pamięć na stare dobre czasy”. „No dobrze, Erie. Tylko nie zsikaj się we mnie”. Zadzwoiłam do pogotowia dla samobójców. Linia była zajęta. Z rozpaczą spojrzałam na błękitne niebo Sydney. Zabierzcie mnie stąd.

– A więc jesteś, smutasz. – Max i ja objęliśmy się serdecznie. Rozejrzałam się po tłumie na lotnisku. Było jeszcze wcześniej. A Mouche zawsze się spóźniała. Cykl menstruacyjny miała co siedem tygodni, jajko na śniadanie gotowała siedemdziesiąt minut i nigdy nie zdążyła obejrzyć zespołu, rozgrzewającego publiczność przed głównym występem.

– Nie wyglądam zbyt okropnie? – rzekł Max nerwowo, kuląc się w palcie, które otrzymał w kościele Św. Vincenta a Paulo.

– Daj spokój, Max. Wyglądasz wspaniale. Pomyśl o tych wszystkich winylowcach, którzy oddali życie za to palto. I pamiętaj. Nie buduj już zamków z piasku, dobra? – Patrzałam, jak wychodzi przez wyjście dla pasażerów. Odwrócił się, żeby pomachać. – Kondomy – zawołałam za nim, usłyszałam, jak się śmieje, i

już go nie było, przesyłka kurierska wciśnięta była bezpiecznie w jego tobołek.

I dobrze, że nie lecę samolotem linii wewnętrznych. Musiałabym płacić za nadbagaż za wory pod oczami. Przez całą noc nie spałam, zastanawiając się, co robić. Choć tym razem matka w nagranych wałkach nie goniła mnie po podjeździe, podróż do Nowego Jorku również była ucieczką. Poza tym, gdzieś tak nad ranem, przyszło mi do głowy, że Australia nie jest odbytem świata. Potrząśnij globem i okaże się, że nie jesteśmy na dnie, a na samej górze. Nie była szykowna, ale nie zamierzałam zmieniać się w australiofobkę.

Wysłałam przez automatyczne drzwi z katalogiem możliwości w głowie. Może dostanę Nagrodę Nobla za zmiecenie z tego świata złych perkusistów, grających w podwójnych garażach? Może zatonę w którejś z fal własnego mózgu? Przystanęłam, by nacisnąć guzik światła przejścia dla pieszych. Jedno wiedziałam na pewno. Nie będę już mazgajem. Bo wiecie, co się dzieje, gdy się jest pośrodku drogi? Wydział Dróg Krajowych wymaluje ci przez środek wielką, białą linię. Moje postpunkowe pokolenie wzięło wszystko na opak. Spojrzałam na słońce, siedzące okrakiem na porannym niebie. Napiszę do Mouche i powiem jej. optymizm nie jest chorobą oczu.

# **SAMOCHÓD**

– Kerrie, to twój ojciec. Podobno kupiłaś samochód? – Wpatrujesz się w słuchawkę, oniemiała, niczym człowiek, który patrzy na ekran telewizora i przekonuje się, że wygrał w lotto. Twój ojciec nie rozmawiał z tobą od pięciu lat. Usiłujesz go sobie przypomnieć. Nosi trzyczęściowy garnitur, ów nocny stwór, który zniknął rankami i znowu pojawiał się w nocy. Jego zwyczaje ograniczały się do wystawiania śmieci, rozplątywania szczotki do czyszczenia basenu i od czasu do czasu zamykania się w klatce ze świnką morską. Otrzymywał te wszystkie dziwne koperty z okienkami z celofanu. Jego słownictwo było co najmniej zwięzłe: „Nie!”, „To jest mój dom” oraz „Jak myślicie, kto tu płaci rachunki?”.

Przez cały czas, gdy byłaś nastolatką, walczyłaś zażarcie o ochronę wielorybów, kobiet i misiów koala, a przeoczyłaś zwyczajne stworzenie domowe, którego istnienie było zdecydowanie zagrożone. Ojca.

W wieku siedemnastu lat doszłaś do wniosku, że wraz ze zdjęciem skórzanych pasków i zniknięciem posagów, ojcowie stali się zbędni. Jak migdałki, małe palce i wyrostek robaczkowy, zużyci ojcowie stopniowo przekształcają się i odpadają.

– Tak, jest w porządku, tato – wykrztuszasz z siebie wreszcie. – Trochę porzewiały, ale dobrze chodzi.

Dzwoni parę tygodni później.

– Może przyprowadź auto, Kezzy, a poduczę cię prowadzić. – Ojcowie z tego rocznika nie potrafią wyrażać uczuć. Pewnego razu mama nie odzywała się do niego przez tydzień, podawała mu kolację w milczeniu i spała w lodowatej pościeli. W końcu przystała na wszystko, poprosiła, by ją pocałował i żeby się pogodzili. „Co ty z tą miłością?” – dziwił się. Niczego nawet nie zauważył. Rozszyfrowujesz jego rozmowę. Twój tata w ten sposób przekazuje ci: „Dzień dobry. Tęsknię”. Wtedy dochodzi do ciebie, że kochasz swego ojca. Ale nie wiesz, co powiedzieć.

Odwiedzasz go w Dzień Ojca. Kiwa ci głową na powitanie, po czym delikatnie dotyka zderzaka. Przesuwa palcami po plamach rdzy i zagląda pod maskę.

– Tak, świetny zakup. Jest w dobrym stanie. – Obgryzasz nerwowo palce, czekając na jego diagnozę.... Z wyjątkiem uszkodzeń od gradobicia i rozwalonej tablicy rozdzielczej, kiedy to prawdopodobnie doszło do zbliżenia z ciężarówką, wiozącą węgiel. Z najwyższym zdumieniem zdajesz sobie sprawę, że brakowało ci jego lakonicznego poczucia humoru. Jest równie oschłe, jak, powiedzmy, ręcznik kąpielowy angola. – Ten samochód potrzebuje czułej troski. – Ustawia ci gaźnik.

Przy następnej wizycie naciąga mocniej pasek klinowy, pompuje ci opony, sprawdza ciśnienie, zmienia olej, wstawia nowe styki w rozdzielaczu, sprawdza

poziom oleju w przekładni, zmienia świece i zamalowuje ślady odpadłej farby. To odpowiednik sonetu miłosnego Szekspira.

Odtąd rozmawiacie już regularnie. Raz w tygodniu. O oponach radialnych i ogrzewaniu tylnej szyby. O filtrach oleju i powietrza. O przewodach wysokiego napięcia i paskach klinowych. Zdobywasz nowe słownictwo. To konwersacyjna Grand Prix.

Wypadek masz w święta Bożego Narodzenia. Czołowe zderzenie głosowe. Z drogi spychają cię rzucane od niechcienia uwagi o bezrobotnych, którzy nie potrafią używać noża i widelca. Oraz o nieuprzejmości, jaką stanowił zakaz cumowania w porcie amerykańskich okrętów o napędzie atomowym. A potem jego wersja artykułu w gazecie o feministce, która została pobita przez policję, gdy stłukła okno w Ambasadzie Południowej Afryki w Canberze.

– Miała płaskie piersi – oświadcza twój ojciec. Ma twarz pomazaną ciastem i trzyma puszkę piwa.

– No i co? – Zbaczasz z normalnej rozmowy. Nie chcesz sunąć tą drogą. Jesteś jak samochód, jadący we mgle, który trzyma się świateł samochodu przed nim na skraju mostu.

– Ja też bym jej przydzwonił.

– Chcesz powiedzieć, że każdy o małych piersiach jest niekobiecy, a każda niekobieca istota musi być automatycznie lesbijką, a lesbijki zaliczasz do kryminalistek? To idiotyzm. – Oboje wpatrujecie się w siebie, oślepieni nawzajem bijącymi z waszych oczu reflektorami.

– Jesteś idiotką, moje dziecko. Mieszkasz w ruderze w środku miasta. Sypiasz z chłopakami. Myślisz, że nie wiemy, co się dzieje. Jesteś przekleństwem życia swojej matki. Nie jesteś córką...

Oboje siedzicie w ciszy pełnej wyrzutów sumienia. Słodki sos kawali się w słońcu o temperaturze czterdziestu stopni Celsjusza. Tłuszcz z włosów ojca wsiąka w jego kapelusz z purpurowej bibułki. Stada disneyowskich jeleni, ciągnących armadę sań, plutony Trzech Króli we wschodnich kaftanach oraz dywizjony zrzuconych z powietrza Świętych Mikołajów promienieją z brzegu kominka za plecami ojca. Krewni odjechali. Choinka została ogołocona z cukierków, koszyczków z lizakami i bombek. Białe żebra lodówki obrano do czysta. Opuszczony dom przypomina kościotrupa kurczaka po pikniku. Oboje jesteście smutni z powodu zerwanej nici porozumienia.

– No dobrze – powiada nagle tato. Teraz jest pełen energii, wrócił na znane tory. W głowie ma otwarty plan miasta, ulice oznakowane na mapie, z

zaznaczonymi nazwami. – Powiedz, Kerrie, ile on pali na sto kilometrów?

# **ŻONACI ZMEŹCZYŹNI – KOWBOJ KANGARUCCI**

Kerrie stała przed lustrem, mając na sobie tylko papierową torbę na głowie. Spoglądała na siebie przez dwie wycięte w papierze dziury na oczy. Zadzwoił telefon.

Przyjęła ten dźwięk ze złością. Spojrzenie pochodziło od dziewczyny, do której głowy telefon był wiecznie przytknięty od czasów szkoły podstawowej. W ten sposób, zdecydowała, wbijając się w kimono, można uznać, że się w końcu dorosło – kiedy dzwoni telefon i masz nadzieję, że to nie do ciebie.

– Czego? – zapytała.

– Czego? – głos w słuchawce powtórzył pytanie Kerrie, z tym, że po intonacji wyraźnie można było poznać, że należy do wykształconego człowieka. – Przepraszam, nie dosłyszałem. Czy to Kerrie? Kezza, to ty? Masz taki głos, jakbyś włożyła na głowę papierową torbę.

– Bo włożyłam.

– Co?

Kerrie odstłoniła ucho, potrząsnęła przyczernionymi włosami i wyjaśniła:

– W „Cleo” napisali, że jeżeli nałoży się na głowę papierową torbę, a potem stanie nago przed lustrem, człowiek zobaczy się takim, jakim jest naprawdę: tłustym, brzydkim, odrażającym flejtuchem. Wiesz – Kerrie usiadła na poręczy fotela i skrzyżowała wydepilowane woskiem nogi – ... bezstronnie.

– Nie jesteś gruba. Masz fantastyczną figurę.

– Daruj sobie, Debbie.

– A ja owijam nogi jednorazowym papierem do przykrywania deski klozetowej – wyznała Debbie, odrzucając banały – potem idę do łóżka, nakrywając się elektrycznym kocem. To mi pomaga wypocić tłuszcz.

– Obrzydliwe. – Kerrie zapaliła papierosa. Rzuciła palenie dziś rano. – I jakie demoralizujące. Niech no siostry się o tym dowiedzą.

– Jak się miewa Russell? Wrócił z końca świata? Widziałam go w telewizorze któregoś wieczoru i wygląda super, wiesz... jak znakomitość. „Vogue” zamieścił jego zdjęcie w dziale „Najlepiej ubranych mężczyzn”. Nie wyobrażam sobie, że można z nim zwyczajnie rozmawiać. Przysyła reportaże z tyłu egzotycznych krajów... Jezu. Grenlandia i Czad...

– Zawsze uważałam, że jest nudny – Kerrie obgryzła kawałek szkarłatnego lakieru z kciuka – póki nie przestałam słuchać.

– Zabujałaś się w nim, przyznaj.

– Russell ma jeden temat do rozmowy. Siebie samego. Przynajmniej w dziennikarstwie telewizyjnym od czasu do czasu dzieje się coś ciekawego.



Regularnie dziękuję Bogu, że nie jest hydraulikiem. Wtedy przez cały dzień słuchałabym o zatkanych rurach.

– Pamiętasz, że wybieramy się w miasto z dziewczynami? Zawiadam Soule.

– Sue jest na nocnych zakupach. Pewnie poszła do „Wytwornych Strojów” wypożyczyć błonę dziewiczą. Nie może wyjść za mąż bez...

– Strasznie na nią najeżdżasz, Kez. Ma tylko romans. A to lepsze, niż gdyby skończyła na ostatniej paskudzie, którą ustawiła jej w kolejce matka. Wyglądał jak wielka czekolada, prawdziwy czarnuch...

– Znalazłam w jej pokoju magazyn „Młoda Para”. Chce wyjść za tego dupka Garry’ego.

– No i co z tego? – Debbie pospiesznie chciała ukryć zdumienie. – Najwyższa pora, żebyś ty zaczęła z kimś chodzić poważnie.

Gdyby Kerrie nie była taka przygnębiona, roześmiałaby się na głos. Niczego bardziej nie pragnęła, niż monogamicznego związku. Ironia polegała na tym, że aby go znaleźć, trzeba chodzić do łóżka z kim popadnie.

– Nie chcę być wścibska – wścibiła nos w jej sprawę Debbie – ale... ee... kiedy Russell... wyjeżdża?

Kerrie należała do nowej rasy – kruchej, zuchwałej. Feministka, która z każdej ideologii wybiera to, co najlepsze, przekonywała, że mężczyźni smarują masłem swe nieseksistowskie grzanki i cerują ideologicznie całe skarpetki, ale też wyskakują z samochodów w ulewnym deszczu i deską do krojenia chleba walą po głowie włamywacza.

– Słuchaj. Dobrze nam się razem pracuje. Chodzimy na różne przyjęcia, utrzymujemy różne przyjaźnie, głosujemy na różne partie, pieprzymy innych facetów. – Kerrie rozchyliła kimono i sprawdziła, czy nie ma cellulitu na udach. – Właściwie robimy wszystko, żeby podtrzymać naszą znajomość.

Głos po drugiej stronie westchnął z rezygnacją, po czym ciągnął z niepewnym ożywieniem.

– U Choysa. Dwudziestego piątego. O siódmej.

Russell zerknął ukradkiem przez ramię, potem przez drugie i śmignął w boczną alejkę. Gdy wykonywał te tajne zlecenia, zawsze parkował całe kilometry dalej, nosił ciemne okulary (nawet w nocy), zapewniał sobie solidne alibi i nigdy nie wchodził frontowymi drzwiami. Czuł ostre ukłucie niebezpieczeństwa w żołądku. Russell doznawał większego uczucia strachu na bocznych uliczkach w centrum

Sydney niż w targanym wojną Bejrucie czy w Belfaście. Podkraść się do kuchennego okna i zajrzał między rośliny w doniczkach. Po jego fotogenicznej twarzy przemknął wyraz szalonej paniki. – Kenie, przestraszona, owinęła się kimonem, z którego wystawała jedna noga, owinięta taśmą wyszczuplającą. Russell chwacko przeszedł przez wahadłowe drzwi, oddzielające łazienkę od kuchni. Ponieważ był znany ze swego męskiego stylu ubierania się i śmiałego, niewyparzonego języka, gazety przezwały go Kowbojem Kangarucci, Kangurzym Kowbojem.

– Russell, co ty tu robisz? – Rumieniec rozmazał się na twarzy Kerrie. W istocie, całe jej ciało przybrało barwę cynobru.

– Och, nie zostanę długo. Nie rób sobie... – rzucił ukradkowe spojrzenie na jej nogi... najmniejszych kłopotów.

Russell podniósł Kerrie. Wrywała się z jego pneumatycznego pocałunku. Uwolniwszy usta, powiedziała mu, dokąd ma się zabierać.

– Nie bądź taka, kotku. Czyż nie przejechałem połowy świata, żeby cię zobaczyć?

– W pracy mówili, że będziesz dzisiaj na kolacji dla szefów telewizji. – Owinęła się ciaśniej kokonem swego kimona.

– Umówione kolacje! Przyjęcia! Do diabła, nie wiesz, co bym dał, żeby mieć wieczór dla siebie... jak ty. – Kerrie rzuciła mu jadowite spojrzenie, po czym odwróciła się, by sięgnąć po następnego papierosa. – Miałem... – przywarł do niej i ścisnął jej lewy pośladek – pilny interes do załatwienia. – Obrócił ją ku sobie i Kerrie wtuliła twarz w jego kark, jej gniew natychmiast stłumił ciężki przypadek podniecenia. – Poza tym – gruchał – czym byłoby życie bez ryzyka? Jezus! – Wyrwał jej się z objęć, zasłaniając szyję. – Tylko nie zostaw mi żadnych śladów!

– Ależ po to przyszedłeś, czyż nie? – warknęła Kerrie. – Reanimacja metodą żołądek-żołądek?

– Kotku, nie chcemy, żeby prasa rozwodziła się nad oznakami anonimowej miłości, co? – Uśmiech Russella nagle stężał. – Żołądek? A co jest złego z moim żołądkiem? – Ogarnięty paniką, wciągnął powietrze i napiął mięśnie wydatnego brzucha. – Nie uważasz chyba, że ciało zaczyna mi obwisać, co? – Kerrie zmierzyła go wzrokiem, podczas gdy on wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze do ziemi. Z paskiem od Gucciego, skórzaną flajerką, barwionymi szklami kontaktowymi i dzinsami, zgrabnie układającymi się na slipkach znanego projektanta, Russell miał wszystkie najszykowniejsze rzeczy, jakie da się kupić. – W każdym razie, Kezzo, to nieprawda. Wiesz, że nie zależy mi na stosunkach

opartych wyłącznie na płci. Ale jakże możemy pomijać nasze z natury silne peno-  
pochwowe wzajemne związki?

Z rozpaczą uderzyła się dłonią w głowę. To koniec lat osiemdziesiątych.  
Romeo już nie romansuje, „wchodzi w związki”.

– O Boże, Russell, w stosunkach między mężczyzną i kobietą chodzi o coś  
więcej niż uprawianie seksu przez całą noc i sprawny penis.

Russell zauważył drugie jej udo, owinięte taśmą wyszczuplającą.

– Och, kotku, słuchaj, dziś naprawdę chyba nie jestem w formie do żadnych  
eksperymentów... – Kerrie spojrzała nań pytająco. – Poza tym – udał chichot –  
chyba opuściłem rozdziały, które właśnie przerabiałaś. Wiedziałem, że nie  
powinienem tylko oglądać obrazków.

– Co? – Pobiegła za jego spojrzeniem. – To? Och. – Rozchyliła kimono i  
oderwała paski taśmy. – A co to twoim zdaniem było? Chrześcijańska szkoła  
miłości? Po prostu owinełam parę zbędnych kawałków. Jeśli nie będziesz tego  
marnował, nie będziesz potrzebował. – Usta Kerry wykrzywiły się na mus z  
gorzkiego grejpfruta, gdy przycupnęła na brzeżku tapczana. – A skąd masz tę  
opaleniznę? – zapytała gorzko. – Z North Queensland?

– Jaką opaleniznę? – Russell popatrzył na nią z czujnym niezrozumieniem. –  
Ach, to...

– Jesteś w kraju od dwóch tygodni i jeszcze do mnie nie zadzwoniłeś.

– To miało być tajne zadanie. – Russell kłamał odruchowo. – W każdym razie  
było nudne, wyczerpujące i nie chcę na ten temat mówić.

– Gdybyś mnie zabrał ze sobą, nie byłoby takie nudne. – Kerrie rzuciła  
lodowaty uśmiech w kierunku Russella. Taki uśmieszek mógł pochodzić od  
Eskimosa.

– W takim razie nie byłoby to tajne zadanie, prawda, dziecińco? Straszliwie  
nudna sprawa. Kiedy poszedłem do sauny, interesy. Gdy siedzieliśmy przy basenie,  
interesy. Kiedy pływaliśmy łodzią, interesy, interesy, interesy. – Podszedł do  
lodówki i zajrzał do środka. – Wszędzie kłębiła się brygada poliestrowa. Typy  
turystyczne, znasz je? – Russell zostawił drzwi uchylone i skupił na Kerrie szczerze  
spojrzenie, które zazwyczaj rezerwował na opowieści o głodujących milionach  
albo przedszkolakach chorujących na AIDS. – To cię tak wyprowadziło z  
równowagi? Moja wycieczka do Queenslandu? – W mrocznym świetle,  
padającym z lodówki, jego opalenizna przybrała szary odcień. – Czy też jakiś inny  
drobiazg?

– Och, nic takiego. Jesteś sobkiem. Brak ci wrażliwości. Widuję cię od północy

do świtu. Tuż po tym, jak się kochamy, opowiadasz o egzotycznych kobietach, które miałeś na całym świecie. – Kerrie zaczęła gorączkowo sprzątać bawialnię. Z podnóża schodów zabrała stos gazet, ubrań, szczotek do włosów, płynów ściągających pory, toników do twarzy, butów i książek. – W graffiti wypisują, że wysiaduję w studiach, żeby się dostać do telewizji. Swoje wzdychania ograniczasz tylko do dmuchania. Masz dwoje dzieci. Prawie nigdzie mnie nie zapraszasz. Masz żonę, której nie kochasz, ale nie chcesz jej zostawić. – Kerrie wzruszyła ramionami, osładzając swój sarkazm wymuszonym uśmiechem. – To tyle.

Usiłując zyskać na czasie, Russell przepatrzył zawartość lodówki.

– Początkowe etapy znajomości zawsze służą przystosowaniu się. – Powiedział to tak, jakby każde słowo wypisywał w powietrzu.

– Dziewięć miesięcy to „początkowe etapy?”

W lodówce spoczywały samotnie dwie cytryny, otwarta butelka wody sodowej, resztki duszonego tuńczyka oraz cebula, owinięta w folię. Imogena miała przynajmniej dobrze zaopatrzoną kuchnię, musi jej to przyznać.

– Nie chciałem cię ponaglać. Ani zakłócać twego stylu życia.

– Nie mam stylu życia! Mam życie! I do tego nudne. Nigdy nawet nie zabierasz mnie na kolację.

– A co powiesz o tej przytulnej norce, którą odkryliśmy?

– Obskurna jadłodajnia na tyłach paskudnej dzielnicy, w której podają steki i gdzie idziemy tylko w środku nocy, żeby cię nikt nie zobaczył. Coś wspaniałego! – Kerrie skryła głowę w poduszkach. Przerazał ją brak oryginalności tego scenariusza. Pomyślała o hordach heroin, które w klasycznej poezji miłosnej, zwrotka po zwrotce, wciągały na siebie emocjonalne majtki. Na skali namiętności jej mały dramat był marnym wierszydłem. Skróconym.

Russell puścił drzwi lodówki, które zamknęły się, wydając ssący odgłos. Przeczytał napis, przyciśnięty magnesem w kształcie herbatnika na przegródce lodówki: „Kobiety mają wiele wad. Mężczyźni tylko dwie. Wszystko, co mówią, i wszystko, co robią”. Podniósł magnes, a karteczka pofrunęła na gnijącą słomiankę z morskiej trawy.

– Aniołeczku, rozumiem. – Ujął jej podbródek w wymanikiowaną dłoń. – Jakie to z mojej strony grubiańskie...

– Naprawdę tak uważasz? – Przełknęła szloch.

– Tak – rzekł wylewnie. – Jesteś przed okresem.

Kerrie jęknęła i poderwała się na nogi.

– Mam dosyć bycia twoją „dziewczyną na boku”.

Russell zamrugął.

– Więc czego chcesz?

Kerrie zrobiło się niedobrze. Skurcz alarmu ścisnął jej serce.

– Nie chcę... – Zawahała się na skraju nieskładnego wyznania i spojrzała na niego, by pomógł jej je przetłumaczyć. Russell wpatrywał się w lustro. Wciągnął brzuch, po czym z uznaniem poklepał się po żebrach. Kerrie jeszcze raz zebrała się w sobie i odwróciła wzrok. – ... Niby być, a niby nie być twoją dziewczyną. Z kim byłeś wczoraj?

– Ze zwykłymi telewizyjnymi grubymi rybami. – Russella interesowali tylko ci ludzie, którzy mogli coś dla niego zrobić. Kerrie czasami słyszała, jak swoich przyjaciół i najbliższą rodzinę nazywał „kontaktami”. – Bond. Sam Chisholm. Człowiek od Murdocha.

– Żartujesz? – Nazwiska rozjaśniły obskurny pokój. – Dlaczego mnie nie zabrałeś?

– Kotku, to nie było spotkanie towarzyskie. Dla mnie wystarczająco poniżające było to, że znalazłem się w środku całego tego braku wrażliwości. Obraziłoby to cię jako feministkę. Poza tym, kotku, musimy zachowywać pozory.

Żołądek Kerrie wywracał się z powodu drobnych, nieoczekiwanych wzburzeń.

– Czy... czy masz zamiar kiedykolwiek ją zostawić?

Czuł się przyciśnięty do muru rozmową, która niebawem może wtrącić go w przepaść. Zawsze sądził, że Kerrie jest zbyt rozsądna na to, by nie zechcieć się zorientować w jego krajobrazie emocjonalnym.

– Każdą decyzję trzeba oceniać w konkretnym kontekście czasowym, biorąc poprawkę na parametry emocjonalne i nieoczekiwane działania, a także...

– A więc, panie mądralo, odpowiadasz na moje pytanie definitywnie ostrożnym „nie”.

Kerrie była wyposażona w mapę i kompas.

– Ach tak, ja... ach, tak mi się wydaje. Imogena jest pełnoprawną osobą, kotku. – Russell wił się. – Spodziewałbym się, że ty, Kerrie, dzieląca z nią kobiecy los, będziesz czuła dla niej zrozumienie. Nasza trójka może wznieść się ponad mieszczańską mentalność posiadania i zazdrości. – Kerrie wydało się przez chwilę, że włączył się do jakiegoś feministycznego programu. – Żeby było sprawiedliwie, moje odejście trzeba przeprowadzić możliwie jak najdelikatniej.

– Russell – gmerała na próżno, by zmienić częstotliwość, na której nadawał.

– Poza tym, w tym roku finansowym, to zbyt niepraktyczne. – Russell władał płynnie każdą walutą świata. – Czy w tym domu jest coś do picia?

– Sherry do potraw. Wiesz, że nie mam centa przy duszy. Mógłbyś od czasu do czasu przynieść butelkę wina.

Russell zamrugął.

– Wiesz, że pijam tylko markowe wina. Dobrze zarabiasz. Dzięki mnie. Nic nie poradzę, że trwonisz pieniądze.

Kerry spojrzała nań zwężonymi oczami.

– Może i znalazłeś mi tę zasraną pracę dokumentalistki, ale ciężko pracuję, ty Zastrany Mózdzku. – Była teraz przekonana, że w zeszłym stuleciu kochankom lepiej się powodziło. Feminizm doprowadził do równości płci, jak najbardziej. Kobiety nadal traktuje się jak szmaty, ale teraz muszą za to płacić.

Russell obrócił się na swych kowbojskich obcasach twarzą do niej. Był rozdarty między gniewem i oportunistyczną oceną swego kruchego rozkładu dnia. Kłopot z kobietami polegał na tym, że nie można od razu wskoczyć z nimi do łóżka. Potrzebują przynajmniej godzinnego miłosnego gruchania, a potem jeszcze półgodzinnej pogawędki po akcie. Capstrzyk Imogeny przypadał na godzinę pierwszą w nocy. Jeśli nie poszedł do łóżka z Kerrie do jedenastej, zazwyczaj rezygnował ze sprawy. Gdy przybywał do domu wcześniej, zyskiwał u żony parę dodatkich punktów. A Kerrie wytłumaczy sobie jego platoniczne zachowanie się jako dowód szczerości ich przyjaźni.

– Mój Boże! – Spojrzał na swego swatcha. Było dopiero pół do jedenastej. – Kochanie. Jesteś taka skomplikowana. Nie mogę dotrzymać ci kroku. W jednej chwili przytłacza mnie dojrzałość u takiej młodej, zaledwie dwudziestojednoletniej dziewczyny. Z drugiej, w głowie mi się kręci od twojej... bezpośredniości.

Kerrie wywróciła oczami, słysząc tę wstępną przemowę. Przekonała się, że wszystko, co mówią ludzie z telewizji, trzeba podzielić albo przemnożyć przynajmniej przez sto. Gdy Russell opisywał kogoś w wywiadzie jako „fascynującego”, po przetłumaczeniu wychodziło, że ledwo można go znieść.

– W następnej minucie upaja mnie twój bujny czar, jak u nimfy. – Teraz łączył galijskie gesty z retoryką. Bezradnie rzuciła się na wznak na tapczan. Russell zerknął na splątany jak wodorosty kłęb ciemnych włosów w załamaniu ud Kenie. – To dwoistości twojej natury czynią cię tak... fascynującą.

– Russell – uchyliła się przed jego palcami. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Wiesz, że masz czterdziestkę. To prawie pięćdziesiątka. A pięćdziesiątka to ćwiartka kapitana Phillipa. Długość twojego życia pomnożona przez cztery to ilość czasu, która upłynęła, odkąd skolonizowana została Australia.

Uśmiech, który Russell przyklepał sobie do twarzy, by przyjąć nagrodę za

logiczne wywody, zniknął z jego ust.

– Nie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jeśli odpycha cię to, że łysieję, po prostu mi powiedz. – Odwrócił się od niej, chwilowo chowając twarz przed jej wzrokiem, i znowu spojrzął na swojego swatcha.

– He? Och, daj spokój. To nie ma z tym nic wspólnego.

– Czy chciałabyś mieć czterdzieści parę lat, być paranoiczką, przeżywać kryzys wieku średniego, tkwić w nieudanym małżeństwie, być własnością publiczną i łysieć? Miej do mnie cierpliwość, kotku. Doszedłem do feminizmu późno i nadal się rozwijam. Gdy przypominam sobie swoje postawy wobec kobiet, myślę, jaki byłem tępy, jaki gruboskórny. – Wpadł w stan pełnej skruchy melancholii. – Separatyzm doprawdy byłby sprawiedliwą karą za moje dawne wysoki. – Russell odnotował w duchu, że wyrzuty sumienia wcale nie są całkowicie nieprzyjemnym uczuciem. – Zostało mi jeszcze parę lat w telewizji, a potem będę już tylko starym żartem. Żałosnym, prehistorycznym reliktem z przeszczepionymi włosami.

– Och, daj spokój – Kerrie zmiękła. – Nie jest tak źle. – Resztki uczucia wymusiły na jej twarzy krzywy uśmiech. – Spójrz na to z tej strony. Nie łysiejesz, tylko zyskujesz więcej twarzy.

Russell rozjaśnił się.

– Doprawdy? – Jestem w kursie, pomyślał. – Naprawdę tak to widzisz? – Otoczył ją ramionami.

– Tak. Zyskujesz twarz – zwróciła się do ściany ponad jego ramieniem – podczas gdy ja ją tracę.

Russell zerknął do lustra na swoją łysinę.

– Tak szczerze, czy patrząc na mnie, powiedziałaabyś, że jestem po czterdziestce? – Ogarnął go wybuch czułości do samego siebie. – Rasheen, dziewczyna, która mnie masuje, mówi, że mam niewiarygodnie młodą skórę. Przepraszam, że nie zadzwoniłem. – Russell przeleciał wszystkie swoje odżywki, by znaleźć coś wzruszającego. – Wiesz, naprawdę jesteś absolutnie... – Zdjął swoją skórzaną kurtkę. – Niezwykła.

Kerrie zamknęła oczy. Letni żar wypełniała smutna mantra cykad. Noc była ciężka od zapachów dnia – duszonego tuńczyka według przepisu z *Książki kucharskiej dla każdego*, depilatora, oparów balsamu do ud, zapomnianych warzyw, dogorywających w rondlu w lodówce – a to wszystko mieszało się teraz w wieczornym powietrzu, minestrone ohydnych odorów. Powróciła w znajomy uścisk Russella.

– Nie uperfumowałaś się, co, kotku? – Prowadził ją w kierunku schodów, obojętny i nieuchronny jak przyływ. – Twój kłopot polega na tym, że jesteś zbyt spięta. – Opierając się na jej ciele, nastawił minutnik swego swatcha. – Poddaj się prądowi. – Kerrie uległa swej znużonej zmysłowości. – Jezu, gdybym się zdrzemnął, a to draństwo nie zadzwoniło... obudź mnie za dziesięć dwunasta, dobrze?



## **WIĘCEJ ŻONATYCH – OSTATNIA SZUFLADA**

– Ozywam dopiero, kiedy jestem tutaj z tobą. – Garry ziewnął i podszedł do telefonu. Wyglądał jak ktoś, kto zeskoczył z tablicy reklamowej, zapewniającej, że piwo Fosters uczyni z ciebie sprawniejszego mężczyznę. Ciało miał koloru złotego syropu, z wyjątkiem albinotycznych pośladków. Soula patrzyła, jak odchodzą, kręcąc się w prawo i w lewo.

Mama Anastasouli wpadła w szal, gdy córka opowiedziała jej o Garrym. „Australijczycy chcą tylko jednego – łkała. – Barn, bam, dzięki, Mam. I będziesz miała szczęście, jeśli powiedzą ci dziękuję... Nie znają naszych tańców! Co będziemy jeść na weselu? Nie będziesz umiała dla niego gotować. Nie będzie chciał jeść suwlaki, jero, dolmady, musaki. Tylko McDonaldy!”. Pragnęła, by jej jedyna córka poślubiła syna kuzyna współnika jej męża z ich dawnej wioski rybackiej. Con był owłosiony i miał olbrzymią ciężarówkę. Dzieciaki ze studium nauczycielskiego nazywali go Marickville Mercedes. Był to czerwony samochód z rozsuwanym dachem i aluminiowymi felgami. Lecz alufelgi były za duże do niego. Con po cichu smarował podwozie smarem, żeby zlikwidować tarcie.

Garry, blondyn o niebieskich oczach, był ucieleśnieniem wszystkich chłopców, którzy unieszczęśliwiali Soułę w szkole. Pętaki żartowali z niej, że jest Greczynką, i krakali, że nigdy nie znajdzie australijskiego chłopaka, bo ma tylko jedną brew. „To jakbyś się poślizgnęła i upadła! Bach! – mówili. – Na sam środek czoła”.

– Co do mnie – oznajmił Garry przez telefon – to właśnie idę z chłopakami wychylić parę browarków. – Soula trzymała chude kolana, przyciśnięte do nagiej piersi. – Deszcz? – Przykrył mikrofon słuchawki, po czym zakręcił oczami, jak gdyby widniejący w nich wyraz bezradności mogła uchwycić uchem jego żona. – A niech to diabli – powiedział do słuchawki. – Zupełnie jakby całe boisko wymazali tortem czekoladowym. Jestem cały w błocie i gównie od głowy do... – Soula wpatrywała się w gładkie, czyste zarysy ciała Garry’ego. – Dobrze, kot... – Spoglądając nieśmiało na Soułę, skrócił czułe słówko i odłożył słuchawkę na aparat. – Jest w porządku – powiedział, tytułem przeprosin. – Na swój sposób. – Spojrzał na nią wyczekująco, ale Soula wcisnęła duży palec nogi pod tył krzesła i skupiła się na wyciąganiu nitek palcem. Garry pstryknął pilotem i wyciągnął się na kanapie, gdy telewizor z sykiem nabierał życia. Zaburczało mu w żołądku i uderzył się w muskularną przeponę z czułością, normalnie zarezerwowaną dla ulubionego zwierzęcia. – Jezu. Ale jestem głodny, Sue. Masz coś do zjedzenia, dziecino?

Bez namysłu poszła do kuchni i zajrzała do lodówki. Soula przeczytała artykuł w „Cosmopolitan”, w którym twierdzono, że można zanalizować osobowość człowieka na podstawie zawartości jego lodówki. W jej były tylko dwie zeschnięte

cytryny i skawalony słodki sos. Soula odnotowała sobie w pamięci, że gdy Garry się wprowadzi, zadzwoni do supermarketu i każe sobie przywieźć całkiem nową osobowość.

– Gail nie gotuje – zaskomlił Garry. – Przypała. – Soula przedarła się przez zamrażarkę, by wydobyć paczkę zamrożonych paluszków rybnych. – A czego nie przypali, rozmraża. – Podniósł jeden pośladek, by wydać głośne pierdnięcie. – Jezu! Te świństwa, którymi karmi mnie moja żona... wystarczy raz pierdnąć i już człowiek znowu jest głodny. – Soula porzuciła swą misję ratunkową i zakopała paczkę głęboko w arktyczne pustynie swej zamrażarki.

Garry ustawił wiaderko z wodą pomiędzy swymi nogami. Sięgnąwszy pod tapczan, wyciągnął górną połowę plastikowego pojemnika na sok pomarańczowy. Postawił go na wiadrze, zapalił mały, owinięty w folię stożek, zawierający hasz, objął ustami szyjkę butelki i zaciągnął się.

– Gaz... – Soula konstruowała pagody z sera, pomidora i owocu pieprzowca. – Co byś wolał? Być pochowanym czy spalonym?

Wydmuchnął dym długo i mocno.

– Spalonym. Kto by chciał, żeby go kładli do łóżka łopata? Poza tym, przez większość życia byłem zakopany w gównie. Spłaty, hipoteki... – Znowu pochylił głowę nad kubelkiem i pociągnął z siłą odkurzacza.

– Ciekawa jestem, czy po śmierci jest jakieś życie... – Ochoczo podniosła swe wyniosłe kulinarne wyroby na grill, gdzie wszystkie trzy kanapki natychmiast opadły.

– Nie tam. Kupa bzdur. – Skrzyżował palce za głową i wyciągnął się na tapczanie, jakby się opalał pod świetlówką na górze. – Ale mogę zapakować parę puszek i przyrządzić lunch. Tak na wszelki wypadek.

– Boisz się? – Udało jej się wydrzeć parę strzępków sałaty. – No wiesz, śmierci i tego wszystkiego.

– Gdzie tam. – Garry oderwał kółko otwieracza od puszki z piwem i cisnął je mniej więcej w kierunku przepełnionej popielniczki. – Przemyślałem to. Reinkarnację, śmierć i tak dalej. I to naprawdę nie ma znaczenia. Bo, nieważne, dokąd pójdziesz... – oparł się na łokciu, by wygłosić swój pogląd na temat tajemnic wszechświata – i tak jesteś załatwiony! – Po czym zajął się oglądaniem powtórki *Dallas*.

– Ale powiedzmy, jeśli istnieje taki gość jak Bóg – nalegała Soula, polegając na oparciu naprzeciwko niego – dlaczego nie da mi jakiegoś... znaku?

– Taak – przyznał Garry, a Soula spojrzała na kochanka z melancholią, myśląc,

że wreszcie wydobędzie z niego jakieś romantyczne przyrzeczenie. – Na przykład mógłby powstrzymać tę bandę z klubu, żeby nie zatapiał mi deski – doszedł do wniosku. – Dupki!

Soula wyratowała skwierczące grzanki. Ser nadał się w brązowe poduchy.

– Ale świat jest taki dziwny. – Przekłuła opasłe kawałki widelcem i zasłoniła przypieczone danie anemiczną warstwą sałaty. – Weź na przykład nas. Wszyscy nauczyciele w szkole uważają, że jesteśmy po prostu kumplami. Nikt nie podejrzewa, że łączą nas namiętna miłość i w ogóle!

– Tak, tak – chrząknął. – Myślałem o tych wszystkich rzeczach dzisiaj na desce. Soula uniosła wyczekująco wzrok.

– O jakich rzeczach?

– Gdy mnie pochłoneła dwumetrowa fala, pomyślałem, jak dziwnie jest nazywać Pacyfik Pacyfikiem. Spokojny, rozumiesz? Przecież nigdy nim nie jest. A wieloryby? Przecież wcale nie są rybami. Latające ryby nie latają. Ślizgają się po wodzie na płetwach. Fascynujące, co? – Garry wtopił się w swoją grzanekę. – A ty? Czegoś-nie-przetrącis?

– Słucham?

Przełknął.

– A ty nie weźmiesz czegoś na ząb? – Spoglądając na jej wystające zębra i wklęsły brzuch, po raz pierwszy zauważył, że jego kochanka przypomina chipsa, którego zanurza się w sosie.

– Znając moje szczęście, odrodzę się jako... – Zwinęła się w inny kształt u jego stóp. – Zakonnica.

Przełożył nonszalancko nogi przez jej kolana.

– Co cię nagle wzięło, żeby głądzić o takich śmiertelnych gównach, co? Przynajmniej następnym razem odrodzimy się razem. – Pochyliwszy się, by ją pocałować, opuścił kanapkę. Stopiony ser wyciągnął się z jego ust jak guma do żucia. – Kurwa. – Podzielił kanapkę na kawałki. – Ale gdzie się wszyscy podzieli dzisiejszego wieczoru?

– Julia działa w grupie pomocy więźniom, a Kerrie wyszła z tym obleśnym głupkiem, z którym się prowadzi. Ten facet nigdy się nie rozwiedzie i nie ożeni z nią. Straci tę szansę. Zostanie starą raszplą. Człowiek z czasem przestaje być materiałem na żonę. Wiesz – Soula zniżyła głos, jakby miała oznajmić jakąś rewelację – ma dwadzieścia dwa lata! Nie uważasz – rzekła sondująco – że to świństwo ze strony faceta tak zwodzić dziewczynę?... No wiesz, wykorzystywać ją?

Stopą cisnął egzemplarz „Cleo” na brzeg tapczana.

– Uważam, że świństwem jest cała ta literatura, którą w ciebie siłą wmuszają. Powinna wylądować na śmietniku!

Mówił jak jej matka.

– Studia w seminarium nauczycielskim zapychają ci umysł. Powinnaś spotkać miłego chłopca w Greckim Klubie i do tej pory się ustatkować. Mężczyźni poznają, że nie jesteś dziewicą. Masz tylko jeden worek. Jeśli ten worek się napełni, wydrapię ci oczy! *Tha vgalō ta matia sou!*

– A ja uważam, że świństwem jest, że czytasz tylko to, co jest napisane na pudełku z płatkami zbożowymi. Potrafisz mówić wyłącznie o płatkach zbożowych. Wiesz o tym? Znudziło mi się wieczne słuchanie o ryboflawinie, niacynie i wi... – Po raz pierwszy w jego obecności wybuchnęła płaczem.

Zaniepokojony Garry pochylił się i pogłaskał ją po ramieniu.

– To nie jest takie złe – pocieszał dziewczynę. – Z tyłu opakowania można się wiele dowiedzieć. – Słyszałaś – rzekł, chcąc ją podnieść na duchu – że łabędzie nie zmieniają partnerów przez całe życie?

Soula zrzuciła jego nogi z kolan i ułożyła poduszkę w pozycji listka figowego.

– Jak się miewa Gail?

– Och! – uderzył się dłonią w czoło. – Któregoś dnia zmieniła się w skrzynkę na listy. W przekłety laser. – Z chirurgiczną precyzją rozkładał roztopioną zawartość swojej kanapki. – Uwielbia przeglądać się w lustrze. Ale tylko z przodu. – Uniósł wzrok znad rezultatów swojej inspekcji. – Pamiętaj, że masz zrobić przegląd tego swojego cholernego samochodu, Susie. Znasz stację obsługi Esso przy szkole? Tam się tobą zajmą. Podaj tylko moje nazwisko... W domu też straszna z niej łajza. Kurczę! Co ty chcesz zrobić? – Za pomocą palca wskazującego i kciuka wyciągnął kawałek stopionej plastikowej osłonki od sera i cisnął ją na dywan. – Chcesz, żebym przestał sikać?... Rozrzuca swoje majtki i ubrania po całej pieprzonej podłodze.

Soula sięgnęła po omacku pod gramofon, żeby wyciągnąć spod niego podkoszulek, który cisnęła tam wcześniej dziś wieczorem, potem przyjrzała się całej bawialni w poszukiwaniu majtek. Leżały zmięte u podnóża schodów, gdzie je zdjęła. Jej mama nie pokazywała rozbebeszonego pokoju Souli matkom jej przyszłych mężów. „Jak możesz się spodziewać, że ktoś się z tobą ożeni, jeśli twoja sypialnia wygląda jak *ano kato*... jak to się mówi... chlew?”. Gdy przychodzą goście, zbiera się punkty jako przyszła panna młoda za czystość, podawanie greckiej kawy i ciasta oraz siedzenie ze złączonymi nogami.

– Ona po prostu sobie odpuszcza – dodał Garry, żując kolejny kęs kanapki. Ze sztucznie nonszalancką miną Soula zaczęła sprzątać pokój, przystając na chwilę przed lustrem, by przyglądać włosy i usunąć ślady tuszu spod oczu. – Wygląda jak pies. Jeszcze trochę i zacznie wysuwać głowę z okna samochodu. – Soula pomacała świeżą kępkę włosów pod pachami i pożałowała, że się nie ogoliła przed jego przyjściem. – Doszło już do tego... – rozdzielił kciuk i palec wskazujący drugiej ręki na milimetr i pokręcił nimi, jakby nawlekał nitkę – że któregoś dnia mała jej w cholerę nie rzuciłem.

– No to dlaczego tego nie zrobiłeś? – zapytała lekko Soula, jakby z umiarkowaną ciekawością dopytywała się, ile ostatnio pali na setkę. – Rozmawiałeś z nią o tym? Obiecałeś.

Odchrząknął.

– Noo, taak.

Soula spojrzała mu w oczy po raz pierwszy tego wieczoru.

– Więc rozmawiałeś? – zapytała.

– Noo... zapomniałem. – Czując się nagle obnażony, poszukał swych spodenek piłkarskich i wcisnął się w nie. – Chyba będzie lepiej, jeśli sprowokuję ją, żeby, wiesz, sama poruszyła ten temat. Miała nieudane święta. Byliśmy na wycieczce w Jindabyne. Przez cały czas dzieciaki zachowywały się jak potwory. Ben wyrzucił swój aparat ortodontyczny do kosza na odpadki. I... spójrzmy prawdzie w oczy. Ja też jestem winien. – Soula naląła sobie szklankę wina z kartonu, wychyliła je jednym haustem, po czym znowu sobie naląła. – Nie jest niezależna, tak jak ty. – Soula wybuchnęła głośnym, denerwującym śmiechem. – Jeśli ją zostawię, nie wiadomo, co robi. – Ofiarował jej swego zrobionego przez siebie skręta. – Pociągnij sobie – powiedział wielkodusznie. – Uspokój się.

– Ale czy ją lubisz?

Garry wzruszył ramionami. Otarł spocone dłonie o swe brudne skarpetki.

– Przyzwyczaiałem się do niej. I na swój sposób, jest mi oddana.

– Ale my się kochamy.

– Przejdzie to łatwiej, kiedy dzieci podrosną... – Jego łydki w skarpetkach w paski były teraz całkiem wilgotne.

– Ja ciebie kocham.

– Co znaczy rok czy dwa, skoro mamy przed sobą całe życie. A... – Garry wbił w Soule swe niebieskie, przekrwione oczy – może – rzekł enigmatycznie – jeszcze coś poza tym... – W oknie bawialni widać było odbicie jego przystojnej postaci. Potargał włosy i zmiażdżył koszulkę, by wyglądała, „że właśnie zszedłem z boiska”.

– A czy ty mnie kochasz?

Postanawiając zmierzyć się z sytuacją bez żadnych uników, rzucił się w poprzek tapczanu i ujął ją za ramiona.

– Chcę być z tobą zawsze. Z tobą naprawdę można porozmawiać. Kiedy po raz pierwszy spotkałem cię w tym cholernym pokoju dla personelu i miałaś na sobie, wiesz, te buty z wyrysowanymi na nich nutami, wiedziałem, że jesteś inna niż wszystkie kobiety. Miałem mnóstwo lasek efektowniej szych od ciebie i nic z tego nie wychodziło. Chciały nade mną panować. – Ścisnął się dramatycznie za skronie. – Wiesz, pani i władczyni. Ale kiedy jestem z tobą... – z trudem wyduszał z siebie słowa – czuję się, jakbym był ze starym kumplem. Jesteś niezrównana, Sue. Fajna z ciebie babka. Czuję się, jakbyśmy byli sobie równi. O to chodzi! Jesteśmy równi. Zasadniczo, jesteś jak facet! – Miał na twarzy wyraz uniesienia, jakby właśnie strzelił gola.

Anastasoula pomyślała o kufrze pod swoim łóżkiem. Dolna szuflada była tak wielka, że mogłaby zaopatrzyć dom towarowy. Siedemdziesiąt pięć ręczniczków na czajniki. Dziesiątki ręcznie haftowanych ozdobnych serwetek. Osiemnaście obieraczek do warzyw. Kołdry. Dwa komplety porcelany. Srebrne zastawy z oznakowaną próbą w dużych pudełkach, wykładanych aksamitem. Kolorowe maszynki do odcedzania, wodoszczelnego przechowywania, obierania. Przez ostatnie dwie godziny myślała też o półknięciu butelki środka uspokajającego, leżącego w pudle i zamykającego całość.

Garry wlał wiaderko wody do więdnącej rośliny w doniczce, zanurzył dłoń w błocie, bełtając je do pożądanej konsystencji ciasta czekoladowego i wysmarował się nim.

– Nie znoszę zjeść coś i zaraz zmiatać, ale wolę się pospieszyć. Gail zaczęła być trochę podejrzliwa co do treningów amatorskiego klubu piłkarskiego pięć razy w tygodniu. – Rzucił w jej stronę konspiracyjny uśmiech. – Mogę wpaść na... kawę. – Otworzył okno, wychodzące na boczną alejkę. – We środę. – Balansując pośladkami na parapecie, ciągnął: – Koło północy. – Salutując jej jednym palcem, stoczył się między nasturcje pod oknem.

Soula stała, podążając za nim wzrokiem. Ogarnęło ją przygnębienie jak po meczu. Należała do przegrywającego zespołu, przegrana stała po kolana w opakowaniach po chipsach i pasztecikach. Samobójstwo było zakazane w greckiej religii ortodoksyjnej. Nie pochowają cię. To niemal tak fatalne jak staropanieństwo. A co powiedzą jej krewni? Ciocia Tula, Ciocia Wula, ciocia Kula, ciocia Rula? Chryste! Jakby nie miała już dosyć zatargów z własną matką.

– Susie! – Głowa Garry’ego wskoczyła w okno, by wygłosić namiętne postscriptum.

– Tak? – Serce w niej podskoczyło. Soula nie przejęła jeszcze zwyczajów lat osiemdziesiątych. Jeśli nosisz serce na dłoni, owiń je czymś.

– Oglądaj jutro wieczorem „Alfa”. Wtedy będę myślał o tobie, oglądając go z dzieciakami. Ciao!



**MNIEJ LUB BARDZIEJ ŻONACI – DZIEWCZYNY MAJĄ GŁOS**

Taras Darlinghurst wypełniony był przyborami trzech samotnych dziewcząt. Chorujące rośliny doniczkowe, plakaty, stopy magazynów stłoczone były wokół kolekcji Kerrie, która zbierała okazy australijskiego kiczu: nalewały herbatę z czajniczka w kształcie kangura, jadły jajka z kieliszków, wykonanych ze skały Ayres i stawiały swoje drinki na podkładkach z futra kangura. Stale podniesiona deska do prasowania, zardzewiała do stanu *rigor mortis*, służyła jako stół do kawy. Pranie wędło na prowizorycznie zawieszonym sznurze w łazience. Nad zlewem kuchennym zawiesiły mapę Australii, z której odcięty został Queensland, dryfujący w stronę obłazącego sufitu. Drzwi lodówki oblepione były zdjęciami gwiazd z szyderczymi uśmiechami, mającymi powściągnąć dziewczęcy apetyt.

Arkusze papieru ze zdjęciami ulubionych mężczyzn były przypięte od wewnątrz na drzwiach łazienki. Wisiały tam w bezładzie podobizny Sama Neilla, Seana Penna, Spike'a Milligana, The Mean Machine, Michaela Hutchence'a, Garibaldiego, lorda Byrona, Billa Murraya i Bette Midler (jedynej kobiety, jak wszystkie trzy przyznały, za którą by się obejrzały).

Przy piecyku wisiała Dziesiątka Mężczyzn, którym należałoby przestrzelić kolana – różnoracy faszyci i kamienicznicy, ale większość z nich była żonata.

– Domyślam się, że żadna z was nie ma zamiaru zająć się dziś wieczór hodowlą zwierząt? Przez całe popołudnie nie oglądałam naszej białej porcelany. – Julia niezwykle starannie obcinała paznokcie u nóg. – Tylko w ten sposób się dowiaduję, że któryś z waszych odrażających facetów jest w domu, jeśli deska na kiblu jest podniesiona.

Kenie, bardzo jasna blondynka, która właśnie wróciła z plaży nudystów, gdzie opalała się cały dzień, przewróciła oczami i zwróciła się do Souli tonem wymuszonej beztroski.

– Co u Garry'ego?

– Och, fantastycznie! Rewelacyjnie... Ale teraz rodzice chcą mnie połączyć z Costą. Ma świra na punkcie piłki nożnej. A jak się miewa Russell? – odwzajemniła się Soula.

– Och, wspaniale. Romantyczny jak zawsze! – odparła Kenie, kiwając głową.

Obie ponuro wpatrywały się w skrawki obciętych paznokci, które Julia zbierała na gazecie z programem telewizyjnym. Była sobota wieczór.

– Selera? – rzekła nagle Kenie, popychając talerz więdnącej zieleniny w kierunku Julii.

– Nie mam pojęcia, dlaczego wy dwie zawracacie sobie głowy facetami. – Julia, która zaczęła popołudnie od promocji anarchistycznych poetów, gdzie nie

skapiono trunków, napełniła szklanki koleżanek. – Dużo łatwiej byłoby się masturbować.

– Ty to właśnie robisz? Oczywiście. – Twarz Kerrie, obłożona organiczną maseczką do twarzy z awokado, miała gangrenowaty odcień bieli. – W to wierzysz? Seks z kimś „ideologicznie zdrowym”.

– Odczep się, Kerrie. Jesteś żenująca. – Soula wcierała w nogi wygładzający talk. – Nie robisz tego, prawda, Julio? – powiedziała, znikając w chmurze białego proszku.

– Masturbacja ma swoje dobre strony, Sue – rzekła Kerrie, żując masę warzywną. – Nie musisz przedtem golić nóg ani usuwać włosów łonowych. – Kerrie uwielbiała wyczyniać skandaliczne rzeczy. Nie tylko szydziła ze świętych krów, ale też doła je do ostatniej kropli, a potem piekła na rożnie.

Soula wyciągnęła obie nogi, by sprawdzić, czy nie odchudziła jednej bardziej niż drugiej.

– W każdym razie wydaje mi się, że mężczyźni nie szanują kobiety, która jest za bardzo odstawiona – oznajmiła, jakby posiadała jakąś tajemną, wewnętrzną prawdę. Kerrie i Julia wpatrywały się w nią z osłupieniem. Wraz z karaluchami, które podgryzały dziewczęta, oraz coraz większą wilgocią, odziedziczyły Soule, gdy wprowadziły się do tego domu.

– No dobrze, Sue – rzekła Kerrie, obgryzając marchewkę. – Słuchaj, a może byś tak wycisnęła sobie wągra albo coś w tym rodzaju.

– Pozbawiłaś się wrażliwości, Kerrie, wiedziałaś o tym? – Julia mówiła powoli i dobitnie, w miarę jak obcinała paznokcie. Kawałek paznokciowego szrapnela przeleciał rykoszetem przez pokój. – Upodobniłaś się do mężczyzn. – Soula nastawiła telewizor.

– Ja! Nie jestem podobna do mężczyzn. To ty starasz się do nich upodobnić. Opierasz się o bar razem z twoimi kumpelkami, wojującymi feministkami. – Soula przycisnęła ręce do uszu. – Wszystkie macie przystrzyżone włosy, nosicie kombinezony, klniecie, zalewacie się piwkiem, poklepujecie po plecach i nazywacie się „kumplami”. – Wygłaszając tę przemowę, Kerrie robiła takie miny, że popękała zielona skorupa jej maseczki.

– A ty – odpaliła Julia – jesteś nie lepsza niż Tracey. Obsługujesz całą cholerną drużynę piłkarską. Zrównujesz feminizm z rozwiązłością. Tyle że mężczyźni mają cię we wdzięcznej pamięci, gdy udają się do banku spermy!

Soula wydała żalosne łkanie. Kerrie i Julia wymieniły zirytowane spojrzenia.

– Daj spokój – odpuściła Kerrie. – Nie jest tak źle. Może jest z ciebie

tchórzliwy słabeusz, ale przynajmniej nie jesteś brzydka ani tłusta. Popatrz na to. – Uniosła swój lekko sparciały elastyczny kostium kąpielowy, po czym kciukiem i palcem wskazującym uszczypnęła walek uda.

– To się nazywa skóra – napomniała ją Julia. – Musisz ją mieć, żeby się schylić i usiąść.

– Mnie nie pobijesz. – Soula pociągnęła nosem, spuściła szorty w kwietne wzory i przyjęła podobną pozę. – Spójrzcie na to!

– Ale twoje udo nie marszczy się ani nie opada, kiedy je ściśniesz – rzekła triumfalnie Kerrie. – Spójrz!

– Ale przynajmniej – oznajmiła Soula, wychylając szklanekę wina – żadna z was nie jest brzydka, owłosiona ani nie musi się martwić o WLW.

– Uważasz, że jesteś brzydka... – zaczęła Kerrie, po czym urwała, zakłopotana. – WLW?

Soula przesunęła palcem po obszytym koronką skraju jej majteczek bikini.

– Widoczna Linia Włosów – zaskomliła.

Kerrie przyjrzała się kroczu swej podpitej przyjaciółki.

– O rany! Włosy łonowe od karku do kolan. Wiesz, zdaniem uczonych, istnieje brakujące ogniwo pomiędzy naczelnymi i współczesnym człowiekiem – zażartowała. – To ty! – Souli zrzędała mina. – Daj spokój – pocieszała ją Kerrie. – Jesteś Greczynką, na miłość boską!

– Przynajmniej nie masz wielkich cyków – powiedziała pogodnie Julia. – Przejdiesz próbę ołówka.

– Czego? – Kerrie patrzyła, jak Julia rozpina stanik, przeciska ręce przez ramiączka i ciska stanik na podłogę. Podnosząc podkoszulek, umieściła ołówek w rozwarciu pomiędzy piersiami. Trzymał się tam, wciśnięty w szparę.

– Koszmarna obwisłość – westchnęła, jej nieśmiałość rozpuściła się w koleżeńskiej atmosferze i kartonie wina.

– Daj mi. – Teraz spróbowała Kerrie. Ołówek opadł na dywan. Julia rzuciła przyjaciółce spojrzenie pełne udawanego niesmaku.

– Przynajmniej masz cycki. Spójrz. – Soula uniosła swój podkoszulek. – Ukąszenia moskita.

– Więcej, niż da się wziąć do ust – oświadczyła Kerrie – to marnotrawstwo.

Wszystkie trzy opadły przed telewizorem, gdzie wypychająca do przodu krocza grupa skrzeczała o ekstazie cielesnej.

– A komu w ogóle potrzebni są mężczyźni? – ogłosiła Julia. – W miarę wzrostu zachorowań na AIDS coraz więcej osób decyduje się na abstynencję.

– No tak, ale mam alergię na wszelkie diety – wymamrotała Kerrie. – Założę się, że któregoś dnia naukowcy odkryją tuczące właściwości selerów.

– Nie przejmuj się – rzekła z entuzjazmem Soula, przechodząc do kuchni. – Przeczytałam artykuł w „Cleo”, że reakcje emocjonalne, jak agresja, załamanie nerwowe, napady złości i takie rzeczy, przekładają się na spalone kalorie. – Włożyła do ust kostkę czekolady. – Im bardziej jesteśmy nieszczęśliwe, tym więcej tracimy kalorii!

– W takim razie powinnam być anorektyczką – rzekła Kerrie, zastawiając tacę babeczkami orzechowymi, ciastem, kartonem lodów, trzema łyżeczkami oraz paczką batoników.

– To wstyd, że przejmujemy się takimi powierzchownymi sprawami. – Julia starannie złożyła swe obcięte paznokcie w sitku na zlewie. – Skoro nie jesteśmy „piękne”, rozwinęłyśmy w sobie inne wartości: intelekt, osobowość, wdzięk...

– Skromność – dodała Kerrie, mając usta zapchane węglowodanami.

– Tak – rzekła z ożywieniem Soula. – Garry uważa, że piękno promieniuje od środka. Że wasza, wiecie, wewnętrzna aura przenika na zewnątrz.

Kerrie i Julia skinęły głowami zachęcająco, wywracając do siebie oczami.

– W każdym razie – wymamrotała Kerrie, zlizując warstwę czekolady z batonu – żadna z nas nie ma nadwagi. Jesteśmy... – wzruszyła ramionami – pod kreską.

– Poza tym, jeśli się jest tłustym, owłosionym i brzydkim, spełnia się wygórowane normy. Bo kto – mówiła niewyraźnie Julia – zainteresowałby się mężczyzną, jeśli on nie zainteresowałby się kobietą tłąstą, owłosioną i brzydką?

– Tak. Nie wiem, dlaczego robimy tyle szumu z powodu mężczyzn. – Kerrie zaczęła wyrwać sobie brwi. Jej przemowę od czasu do czasu przerywała salwa kichnięć. – Potrafią tylko bekać i pierdzieć.

– Ten Meksykanin puszcza gazy – zachichotała Soula. – I to zawsze w samochodzie.

Trzy przyjaciółki prychnęły.

– I wiecie, co jeszcze? Każe mi leżeć na tylnym siedzeniu, żeby nikt ze szkoły nas nie podejrział.

– Uważasz, że to złe? Wiesz, co Russell powiedział mi pewnego wieczoru? „Czy możesz powstrzymać orgazm, kiedy ja się spuszczam? To mnie rozprasza... Powiem ci, kiedy zamierzam mieć wytrysk, a ty tkwij naprawdę nieruchomo”.

– Żartujesz! – wykrzyknęły Julia i Soula.

– Nie-e. Mówił śmiertelnie poważnie. Więc przywierałam do pościeli, zastanawiając się, jak mu odpalić, gdy nagle uderzyło mnie, że, do diabła, jeśli

moja obecność go rozprasza, to kogo ma na końcu swojego fiuta... albo, co gorsza, co? Mogłabym być zdechłym rekinem! Russell ssie. – Kerrie wymówiła te słowa przez zęby, gdy dopisywała jego nazwisko do Dziesiątki Mężczyzn, Którym Należałoby Przestrzelić Kolana. – Dostyc mam tego, że traktuje mnie jak szmatę. Mam zamiar go rzucić i postarać się, żeby przydarzyło mi się coś wysokiego, ciemnego i przystojnego. I ja będę rządzić w łóżku. Słowo daję! Świat się zmienił. Nie damy się przerabiać, jak nasze biedne, stare matki. Nie musimy leżeć spokojnie i myśleć o Anglii, jak to na noc poślubną poradziła swojej córce królowa Wiktoria! – Kerrie maszerowała teraz po pokoju.

– Właśnie – rzekła z aprobatą Julia. – Lepiej kochać i utracić miłość... niż spędzać sobotnie wieczory, tęskniąc za żonatym mężczyzną.

– Tak. Mam zamiar postawić sprawę jasno z tym obleśnym niedojdą Garrym. Albo opuści dom i ożeni się ze mną, albo go rzucę.

– Będziemy miały ich jaja na śniadanie! – unosiła się Julia.

– Rozdepczemy ich fiuty! – tupnęła Kerrie.

– Mężczyźni. Kto ich potrzebuje! – radowała się Soula.

W korytarzu echem rozległo się stukanie do drzwi. Trzy kobiety zastygły. Kerrie i Soula poderwały się na równe nogi, jakby je coś ugryzło. Kerrie odrywała z twarzy maseczkę. Soula otrzepała nogi. Kerrie schowała herbatniki za poduszkę w bawialni. Soula ściągnęła opaskę elastyczną i potrząsnęła nonszalancko włosami, jakby chciała powiedzieć: „Nie obchodzi mnie, jak wyglądam!”. Kerrie starła jeszcze wilgotne nazwisko Russella z listy Mężczyzn, Którym Należy Przestrzelić Kolana. Przerazona Soula macała się pod pachami. Julia, oniemiała, patrzyła na nieprawdopodobny bałagan.

– Niech to cholera! – krzyknęły chórem dwie dziewczyny. – Zatrzymaj go, Julio! Zatrzymaj go!

Kerrie śmignęła ku łazience, spychając z drogi Soułę.

– Gdzie jest mój krążek domaciczny?

– Niech to diabli – zaskrzeczała Soula. – Muszę ogolić pachy! – Pobiegnęła korytarzem za Kerrie.

Julia spojrzała na oklapły karton po winie.

– Taak – wymamrotała. – Jasne, świat się zmienił! Teraz po prostu spokojnie leżymy i myślimy o Canberze...

# **KOMPLEKS NEDA KELLY'EGO**

Moją sprawą chyba zawsze były sprawy. Moi przyjaciele przetrwali moje szaleństwa. Zjadali obiad z ekspertem UNESCO do spraw głodu na świecie, który przeżuł wszystkie gumy miętowe, jakie należy wziąć po posiłku. Zaprosili aktywistę wegetariańskiego na nasz grill na plażę Bondi i nawet nie mrugnęli, gdy kapela rockowa z Melbourne, „Biało-czarne Menstruacje”, składająca się z samych dziewcząt, przybyłych na dwa dni, została dwa miesiące.

Ale Billy był inny, jestem przekonana, że to ktoś więcej niż hobby.

Poznałam go, gdy miałam do wykonania zadanie dziennikarskie: zbadać więzienia dla najniebezpieczniejszych przestępców. Mój magnetofon sprawił, że wykrywacz metali zawył. Przeszukano zawartość mojej torby: powieść, broszurki antynuklearne, niezrealizowane czeki, lizaki pokryte kłębkami kurzu, prezerwatywy, lekarstwa na wszelki wypadek, bilety autobusowe, zaproszenia na promocję książek i śluby szkolnych kolegów z dobrych dzielnic, niezapłacone mandaty za parkowanie... Nic takiego, co głośzą reklamy szykownych toreb. Kazano mi czekać wraz z innymi odwiedzającymi.

Kobiety wydały mi się mgliście znajome. Były po dwudziestce, miały na sobie kolorowe bluzy dobrych firm, duże kolczyki, skórzane spódnice, kombinezony i podkoszulki, ozdobione napisami. Na jednej bujnej piersi widniało hasło: „Więzienia są przestępstwem”. Druga obiecywała: „Dzisiejsze świny będą jutrzyszym bekonem”. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że bardzo przypominają mnie.

Audytoryum w całości składało się z mężczyzn. Bestia, Gaduła, Bruce Kieł. Wyczuwało się powstrzymaną gwałtowność w ich trzaskaniu palcami, kręceniu młynka oraz wstrząsaniu kolan w górę i w dół, niczym torebkami herbaty. Pod tanim więziennym mydłem i płynem po goleniu biła od nich jakaś woń. Zapach wygłodniałości. Pięciu czy sześciu z nich skupiło się jak piranie, gotowe zniewolić każdą kobietę.

Tematem dzisiejszej debaty były „Prawa małżeńskie dla długoterminowych przestępców”. Szemrzący tłum wykorzystywał dyskusję, by się całować oraz przemycać zakazane towary. Ale ostatni mówca przyciągnął ich uwagę. Cała sala kiwała się od trzasku jego głosu. Był namiętny, gniewny, wymowny. Jego przemowa przechodziła od zapierającej dech w piersiach brawury do zrozumiałej dla wszystkich powagi. Choć upstrzone taką terminologią jak „domniemanie” i „persyflaż”, jego zdania nabite były takimi słowami, jak „przyszłem” zamiast „przyszedłem”, powtarzane co chwila „nie” – „Przyszłem, nie, poszłem, nie” i roilo się w nich od „psów” i „papug”. Gdy przemawiał, z wolna skupiał spojrzenie na



mnie.

– To jest Billy. Billy Bridges. Znany jako „Gębacz” – przedstawił nas Bruce Kieł.

– Miło mi pana poznać. – Wyciągnęłam rękę, z zawodową łatwością powściągając niepokój.

– Noo, jasne – wzruszył ramionami. – Spokojnie.

– Przekonywał pan bardzo inteligentnie. – Zanurzyłam lukrowany herbatnik w styropianowym kubku gorącej herbaty.

– Trzeba użyć głowy, jeśli się nie ma edukacji.

– Edukacja po prostu pozwala wplątać się w bardziej kosztowne kłopoty – zażartowałam. – Za co pan siedzi? Dużo panu dali? – ciągnęłam. Bruce Kieł chrząknął i odsunął się. Zadać kryminaliście takie pytanie, to jak zapytać zaprzysięgłego abstynenta, czy pije. Billy Bridges nie przejął się moim naruszeniem protokołu więziennego.

– Właśnie ukończyłem pięcioletni kurs uniwersytecki. Więzienie, widzisz, jest uczelnią, gdzie posyła się człowieka, by zrozumiał swoje błędy, wysłuchał wykładów i opanował lepsze techniki rabunku.

Otworzyłam swój notatnik i zapytałam go o zmianę stosunku do kobiet w męskim społeczeństwie.

– Wbij to sobie do swojej tępej czaszki – rzekł, zabierając moje pióro. – Nie tylko czarni i kobiety są traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Też przez to przeszedłem, całe lata. Wiem, jak to jest, kiedy człowieka uważa się za śmiecia. – Billy miał duże ręce, żarłoczne oczy i tak potężną pierś, że gdyby upadł, trzeba by go było przewrócić na plecy, jak żuczka, żeby się znowu podniósł. – Rozumiem, dlaczego żadna z was nie wierzy chłopakom. – Głos miał teraz niski i przenikliwy. – Ale też widziałem, nie, że żadna z was nie miała prawdziwego mężczyzny, umawiałyście się tylko z chłopaczkami. Nigdy nie miałyście kogoś, kto by wam się przeciwstawił. Nigdy się nawet z wami żaden facet nie kochał. – Bruce Kieł skinął do niego, by dołączył do grupy dziewcząt w sportowych bawełnianych topach, z wyraźnie wystającymi sutkami. – Mogę znieść Ruch Kobiecy – stwierdził wspaniałomyślnie. – Kobiety to warstwa upośledzona. Tak jak więźniowie. Kapujesz?

– Czy jedna z tych kobiet jest twoją dziewczyną?

– Nasza kumpelka prowadzi salon masażu. Przyszyła nam od czasu do czasu którąś za friko.

– Gdzie? Jak? A strażnicy więzienni?

– Wiesz, dlaczego te pierdolone klawisze chodzą trójkami? Jeden lubi czytać, drugi pisać, a ten trzeci kręci się koło intelektualistów. – Jego oczy zabłysły złośliwą wesołością.

– Wzywają cię.

Otoczył mi palcami ramię.

– Wolę porozmawiać z tobą, Julio. – We wszystkich jego ruchach była zwodnicza powolność. – Jest różnica między drapaniem dupy i rozdzieraniem jej. – Spojrzałam na niego, zakłopotana. – Szorstki papier do kibla jest za dziesiątaka. Ty – oszacował mnie wzrokiem – jesteś najdelikatniejszym gatunkiem.

Może dlatego tak go polubiłam. To skurwysyn o takiej gładkiej wymowie.

Zacząło się to od potajemnych telefonów do Ala Capone'a (uczył mnie slangu więziennego), potem szmuglowania nieocenzurowanych listów, zwanych grypsami. Pisał mi o poprawczakach, biciu policyjnymi kijami bejsbolowymi w pięty, gdzie nie widać siniaków, żyłek wtopionych w mydło, tak, żeby chłopaki mogły się pociąć pod prysznicem. Jadł nawet paznokcie, gdyż szpital stanowił pewien oddech od udręk więziennych. Sympatia jest tajemniczym uczuciem, lecz wiem teraz, że ma to coś wspólnego z faktem, iż wychowanie Billy'ego, w przeciwieństwie do mojego, było ciężkim terminowaniem w nienawiści. Chciałam ulżyć mu nieco w bólu. Tak siebie postrzegałam, jako ludzką maść na różne schorzenia.

Po etapie listów przyszły spotkania osobiste, z twarzami przyciśniętymi do szklanej przegrody. Wstąpiłam do Grupy Pomocy Więźniom. Za jej pośrednictwem organizowałam sesje poetyckie. Te wizyty przeprowadzano w rzędzie szklanych kabin. Billy i ja siedzieliśmy po przeciwległych stronach stołu. To tak, jakbyśmy ugrzęźli w akwarium.

– Myślałam o tobie... – zaczęłam.

Lata regularnych posiłków, wczesnego chodzenia spać, gimnastyki i brak alkoholu podziałały na niego jak na Piotrusia Pana. Nie wyglądał na swoje trzydzieści jeden lat.

– No tak... Jesteś tylko człowiekiem. – Uśmiechnął się urzekająco. – Co sobie o mnie pomyślałaś za pierwszym razem?

– Nigdy przedtem nie widziałam więźnia. Przypuszczałam, że będziesz, ee... bardziej owłosiony! – Odchylił się na swoim krześle, skomplikowane tatuaże na jego skrzyżowanych ramionach pofałdowały się, niczym barwne znamiona na jakimś egzotycznym zwierzęciu. – Pomyślałam, że pod tym całym udawaniem i brawurą okażesz się trochę... prostaczkiem. Nie spodziewałam się, że będziesz, no,

może to zabrzmieć protekcjonalnie, inteligentny i wrażliwy.

– Umieć zrobić dobre wrażenie. – Usłyszałam, jak uderza butem o podłogę.

– Po spotkaniu z Bruce'em Kłem obawiam się, że oceniłam cię trochę za surowo. – Wyciągnął nogę pod stołem. – Sama nie wiem... – Strażnicy patrolowali korytarz, zaglądając do każdego akwarium. – Chyba byłby z ciebie dobry sędzia. Jak oni, umiesz wymierzać sprawiedliwość! – wymamrotał, wślizgując duży palec u nogi pod gumkę moich majtek. To tak, jakby się było w szkole za rzędem toalet albo leżało pod swoim chłopakiem na podłodze w bawialni, cierpiąc z poczucia winy, że się ma orgazm, a jednym okiem wypatrując świateł samochodu rodziców, wracających do domu. Gdy strażnik zniknął, Billy wychylił się do przodu na krześle i zastąpił stopę ręką. Trwaliśmy tak, z zastygłymi twarzami, podczas gdy ja mówiłam jak nakręcona o Keatsie, Craigu Rainie, Brusie Dawie, Donnie. – Kurde – powiedział – cały się trzęsę. Jestem jak pies, srający żyłkami. – Pod koniec „sesji poetyckiej” odchylił się na krześle i z żarliwą rozkoszą powoli lizał każdy palec.

Tego dnia przekonałam się, że obiektywizm w dziennikarstwie jest mitem.

– Kryminalista? – Kerrie przestała nakładać warstwę pasty warzywnej na swoją grzankę. – Odbiło ci? – Postukała się nożem do masła w skroń. Gdy Kerrie zerwała ze swoim przyjacielem, wprowadziła się do mnie, razem z całą modną wyprawą w postaci roślin w doniczkach, plakatów, wag, odtłuszczonego mleka, muzyki rockowej, łóżkiem wodnym i plakietkami na lodówkę, zachęcającymi do odchudzania. Głosiły one, że „Gotowane jajka są piękne”. – Kryminaliści – zakończyła Kerrie, mając usta wypełnione grzanką z pszenicy z pełnego przemiału – znajdują rzeczy, zanim ludzie je zgubią, zdajesz sobie z tego sprawę?

Kerrie nie rozumiała, że politycy i dyrektorzy telewizyjni, z którymi się spotykała, mają dokładnie takie same drapieżcze instynkty co Billy. Jedyna różnica polegała na tym, że Billy nie miał wystarczającego kapitału, by założyć korporację.

– Polubisz Billy'ego. – Wsypałam listki earl greya do czajnika. – Jest dowcipny, inteligentny...

Sarkastycznie uniosła wyskubane brwi.

– Powód, dla którego siedzi za kratkami, pozostaje tajemnicą...

Zajmowane przez nas mieszkanie było kompletną ruiną, łącznie z widokiem na morze. Bardziej było to zerknięcie, gdyż widziało się tylko wtedy, kiedy stanęło się na kibelu i wychyliło lustro przez okno. Ściany wyklejone były plakatami

politycznymi: „Ewa została wrobiona”, „Nikaragua to hiszpański Wietnam”, „Mężczyźni wywołują wojny z zazdrości o menstruację”. Flaga Australii wisiała w oknie w charakterze firanki.

– To musi trochę potrwać. – Ustawiłam swoją trójnożną filiżankę herbaty na podstawce z kangura. – Więźniowie wychodzą z zamknięcia w gorszym stanie, niż tam trafiają.

– Interesujesz się Billym tylko dlatego, że jest dla ciebie pierwszy. – Kerrie z gniewem posmarowała kolejną kromkę. – Chodzi mi o to, że o wszystkim innym już pisałaś. – Urwała, by otrzeć resztkę masła z noża na brzeg słoika z pastą warzywną. – Z wyjątkiem niewoli. Coraz trudniej dzisiaj trafić na temat, którego jeszcze nikt nie poruszał...

– Jesteś w krańcowym błędzie, Kerrie.

– Co! – Kerrie wstrzymała oddech, zaintrygowana. – Zajmowałaś się już niewolą? – Patrzyłam, jak wciska się w buty na niebezpiecznej szpilce, jednocześnie sięgając pod skórzaną spódnicę, by wsunąć do środka tył koszulowej bluzki. Kerrie myliła się co do naszego pokolenia. Byłyśmy w życiu chronione. Nie przed haszem, mężczyznami i cudacznymi pozycjami, ale od dziecka chroniono nas przed prawdziwą bliskością z drugim człowiekiem.

– Potrzebuje mnie – powiedziałam.

– Oczywiście. – Posmarowała żelem swe natapirowane włosy. – Jesteś jego liną ratowniczą.

– Zamierzam mówić mu o muzyce i literaturze – wyjaśniałam, oddzielając śmieci na osobne kupki: te, które ulegają biodegradacji i plastik. – O jedzeniu, teatrze i...

– Wygląda na to, że zamierzasz nauczyć go wszystkiego... – wywróciła oczami, których powieki pomalowane były cieniem w kolorze palonego burgunda – z wyjątkiem tego, co się stanie. – Spóźniona jak zwykle do pracy, poturlała się ku drzwiom. – Pozwól sobie na trochę więcej, a będzie ci masował obojczyk. – Gwałtownie zacisnęła pięści. – Albo zarazi cię AIDS. Nawet hetero w więzieniu włamują się do dupy.

– Jeśli nie masz o co walczyć – mówiłam, idąc śladem okruchów Kenie po kuchni i zwijając papierowy ręcznik w kłębek – równie dobrze możesz nie żyć.

– To już prędzej ty – wycedziła i trzasnęła drzwiami.

Nagrodą za pracę w więziennej pralni były odwiedziny bez odgradzającej

przesłony. Czekałam obok matek z zaciśniętymi ustami i skrzeczących niemowląt. Wywołano nazwisko i numer Billy'ego. Podniosłam się. Ale pojawił się Bruce Kieł, kołyszącym się krokiem szedł przez zdeptaną trawę. Opadł w schludne zagłębienie na kawałku porośniętym zielskiem.

– Gdzie jest Billy?

– Przyłożył kumpłowi na placu ćwiczeń. – Jego złoty ząb wysyłał do mnie kolejne sygnały. – Dostał trzy dni w pojedynce. Siadaj – powiedział. – Wiesz, że ma hysia na twoim punkcie. – Ponuro podciągnęłam nogi pod siebie. – Tak, naprawdę wali przez ciebie konia. Zatrzepie swego kapucyna na śmierć, biedny skurwysyn. – Przybliżył twarz do mojej. – Spuszcza się jak wariat. Jeśli da nogę, to będzie twoja wina, panienko. Słuchaj, pozwól mu wpuścić tego jego fiuta w twój cenny tyłek. Jak zagra w tobie na swojej fujarze, to mu przejdzie. Widziałem już takie rzeczy. – Jego oddech cuchnął jak niezmienniana woda w wazonie. – Nie chodzi mu o pierdolenie, chce cię po prostu dopaść. Rozumiesz? – Był bardzo umięśniony i brakowało mu jednego zęba na przedzie. – W dzień następnego widzenia wymknijcie się do kibla. Odwrócimy uwagę pierdolonych klawiszy i dasz dupy. Włos ci z głowy nie spadnie. Słuchaj... – powiedział rozsądnie – trzy lata bez kobiety... Spuści się, jeszcze zanim w ciebie wejdzie. Z jego dupy wyfruną jaskółki. Potem możesz sobie odpuścić i pozwolić mu zrobić numerki w spokoju... – Podniosłam się, żeby odejść. – Nie udawaj przy mnie skromnisi. – Chwycił mnie za ramię. – Wy, odstawione laski, widziałyście więcej sufitów niż Michał Anioł.

– Kobiety nie liczą już szpar na suficie. – Byłam teraz pełna jadu. – Kiedy siedziałeś, powstało coś, co się nazywa Ruchem Kobiet. Wiesz – rzuciłam sarkastycznie – co to feminizm? – Podniosłam się i powoli odchodziłam.

– Ty mieszczańska lasko. Każesz mężczyźnie zeżreć kilometr twojego gówna, zanim będzie mógł pocałować cię w dupę – zawołał za mną, a jego złoty ząb błyszczał. Wszelkie małostkowe wątpliwości rozplynęły się tego dnia. Stanowczo postanowiłam przemienić Billy'ego w Odrodzonego Człowieka.

W czasie sześciu miesięcy, które na niego czekałam, na naszym progu zaczęły pojawiać się dziwne przesyłki. Pudełko herbatników. Pojemnik wyładowany puszkami mieszanki trzech rodzajów kukurydzy. Stare telewizory i radia samochodowe. Przyzwyczyliśmy się do anonimowych prezentów. Co wieczór po pracy wychodziłam za róg naszej ulicy w Dario z dreszczykiem jak w poranek Bożego Narodzenia. Oszłomiła mnie śmiałość Billy'ego.

– Nie będę trzymać całej tej kontrabandy w domu – rzekła Kerrie, wciskając się w kolorowe rajstopy drugiego gatunku.

– Skąd wiesz, że to wszystko kradzione? – odparowałam. – To, że siedzi w więzieniu, jeszcze nie znaczy, że jest prawdziwym kryminalistą. Wyrok nie zawsze jest równoznaczny z przestępstwem, Kenie.

– W porządku. Niech będzie. Jest ofiarą okoliczności, a okoliczności sprawiły, że jakieś osoby stały się jego ofiarami.

– Billy powiedział, że jego przyjaciele na wolności będą się nami opiekować.

– To inna sprawa. Nie podoba mi się, że podziemie ma nasz adres.

– Rajstopy z wadą to jeszcze nie podziemie. W każdym razie lepiej się do tego przyzwyczaj. Będzie musiał się gdzieś zatrzymać – zaryzykowałam – kiedy wyjdzie z więzienia w przyszłym roku. – Kenie rzuciła mi spojrzenie, wyrażające czystą złośliwość.

– Nie będzie mieszkał w tym domu. Kropka.

– Dlaczego?

Kenie podciągnęła rajstopy. Dziurkowane krocze było krzywo zszyte, a elastyczny pasek sięgał jej do pach.

– Bo facet, który się tu wprowadzi, zniszczy nasz pieprzony wzajemny kontakt!!!

Tej samej nocy otrzymałyśmy naszą ostatnią, nieoczekiwaną przesyłkę. Drzemałam w łóżku, gdy usta przykryła mi dłoń. Od dawna wyobrażałam sobie ten moment. Wygięcie ręki przy każdej pieszczocie. Palce, które oddzielają mnie od ubrania z filatelistyczną precyzją. Gwałtowne uniesienia z powodu każdej blizny z boiska piłkarskiego i przyrodzonego znamienia. Jak jego twarz będzie się wykrzywiać w miłosnym akcie... Jak będzie wykrzykiwał moje imię...

– Jesteś pie-en-kna – powiedział, całując mnie mocno w usta. – Ale, skarbie, mówiąc szczerze, teraz dla mnie najpie-en-kniejszą rzeczą na świecie byłby stek!

Po wizycie, podczas której zachowywano normalny kontakt, Billy po prostu wyszedł z więzienia. Zajął miejsce jednego ze swych młodszych braci. Wymienili ubrania, policzono głowy i Billy, otoczony wianuszkami gości, wyszedł niezatrzymywany. Gdy odkryją oszusta, otrzyma pół roku za wykroczenie. A teraz Billy jest dłużnikiem swego brata. Tak to było w ich światku. Billy zamierzał „zadekować się” w moim mieszkaniu, póki nie zorganizujemy samochodu i jakiejś kurwy nędzy. „Pieniędzy”?, domyśliłam się. Potem zorganizujemy wycieczkę – ucieczkę, wytłumaczył mi – do Johannesburga.

Byłam dziennikarką. Wiedziałam, jakie kary grożą za pomoc uciekinierowi z więzienia. Ale sprawy były moją sprawą. Według mnie, to więzienia były niemoralne i stanowiły kuźnię zbrodni.

Przy posiłku rozmawialiśmy o Germaine Greer, Kaczorze Donaldzie i Rorym O'Moore.

Do rana Billy wszystko ponaprawiał. Lodówka zamykała się już bez pomocy paska do hokeja. Stół się nie kiwał. Deska do prasowania, zardzewiała do stanu *rigor mortis*, została teraz naoliwiona i odstawiona.

– Wiedziałam, że zmieni każdy... ech – wydusiła z siebie Kerrie. Nasypała kawy do czajniczka od herbaty. – Dlaczego nie może być nieporadny, jak inni mężczyźni? – Wyciągnęła deskę do prasowania z powrotem z kredensu i ustawiła ją na baczność. – Najpierw zmienia nam ustawienie mebli, potem będzie chciał poprawić nasze rysy twarzy. – Billy robił ćwiczenia na podbródek, opierając się na futrynie kuchennych drzwi. – Nie możesz tu zostać.

– Nosisz tę sukienkę, bo poszło o zakład czy co? – Billy wziął w dwa palce skraj winylowej minispódniczki Kerrie, gdy przesunęła się obok niego bokiem, ponuro próbując po raz kolejny zrobić filiżankę kawy. Na blacie zostały resztki porcji dragów, trochę haszu i na pół zjedzony batonik Mars. Kerrie bezceremonialnie wyrzuciła je do kosza na śmieci.

– Trzymanie kontrabandy w domu to igranie z losem.

– Lubię igrać. – Billy miał taki sposób mówienia. W więzieniu wraz z celną odżywką twoje szanse rosną. To towar.

– Dragi powodują raka – rzekła, wycierając resztki kawy ze swej spódniczki ręcznikiem kuchennym. – Trzymam się z daleka od batoników Mars, kwasu glutaminowego, alkoholu, masła orzechowego, fajek wodnych i nadmiaru seksu. Billy ciężkim stąpnięciem spokojnie zszedł na ziemię.

– Więc po co żyć? – Wyciągnął batonik z kosza i pochłonął go jednym żarłocznym chapsnięciem. Powąchał się pod pachami. – Boże, trochę śmierdzi pod starymi blachami. – Kenie spojrzała na mnie. – Blacha, pacha – odcyfrowałam. Potem wypił łyk mleka z kartonu. – Uuch... macie coś do tego? Nie mogę pić samego mleka. Czuć w nim wymię.

Kerrie wyjęła mu karton z ręki.

– Och, strasznie mi przykro, że nasz gość z hotelu Hiltona Jej Królewskiej Mości nie jest zadowolony. – Wstawiła karton z powrotem do lodówki i przesłała obok Billy'ego z udawaną obojętnością.

– Nasze panienki z klasy średniej mają trochę błędne pojęcie o działaniu naszego systemu prawnego. – Ścisnął ją mocno za przeguby w miejscu, gdzie zakłada się kajdanki. – Zasadniczo wszystko zależy od grupy dwunastu ludzi o przeciętnej ignorancji, wybranych, by zdecydować, kto ma najlepszego prawnika.

Wysoki Sądzie Kerrie Kangurzyco – rzekł grzecznie – czy mogę złożyć apelację od twojego wyroku?

Kerrie poczerwieniała na twarzy. Wyraźnie zmiękła. Przestępcy tak działają na kobiety. Grupa Opieki nad Więźniami składała się głównie z przedstawicielek płci żeńskiej: nauczycielek, dziennikarek, pań z towarzystwa, pracownic społecznych, pisarek, gwiazd filmowych. Była wśród nich nawet pewna słynna pani senator. Przypisuję to teraz kompleksowi Neda Kelly’ego, rycerza w zardzewiałej zbroi. Ale wtedy tego nie wiedziałam.

– Może... – zażartowała, nie wrywając się z jego uścisku. – Raz z kimś spróbuję.

– Jestem przyzwyczajony do ciężkich robót – uniósł powieki znad cierpkich niebieskich oczu. Kerrie stała nieruchomo, zaskoczona.

Wtedy powiedziałam Kerrie, że zgadzam się z nią. To pora, byśmy z Billym wyruszyli na północ. Mężczyzna w naszym domu rujnuje nasze wzajemne pierdolone stosunki.

Ucieczka przypomina grę w filmie gangsterskim klasy B. Co więcej, samochód, który wybrał Billy, był to potężny, lśniący chevrolet, z wystającym tyłem i oponami białymi na brzegach. Był tak wielki, że na tylnym siedzeniu dałoby się pływać wkoło. Billy prowadził szybko, zostawiając zmiętoszonych przechodniów na środkowym pasie jezdni. Gdy przekroczyliśmy granicę, winylowe siedzenia były śliskie od naszego potu.

My, południowcy, nazywamy Queensland daleką północą. Cała Australia kieruje się na złote wybrzeże, do identycznych apartamentowców, zwanych „Wieżami Zanadu” i „Czarowną Krainą”. Świadomie chude ciała okryte niesamowitymi, młodzieżowymi strojami, obracały się, odsłaniając przedpotopowe głowy. Queensland może się poszczycić najwyższą średnią rozwodów, najwyższym spożyciem alkoholu, najwyższą liczbą przejęć majątkowych za długi i konsumpcją większej ilości środków uspokajających niż jakikolwiek inny stan. Krokodyle mają zwyczaj żywić się ludźmi. Żony obcinają dobra niewiernym mężom. Politycy posiadają na własność tory wyścigowe. Aborygeni wieszają się w celach z tajemniczą regularnością. Marsze uliczne są zabronione, przerywanie ciąży jest niezgodne z prawem, homoseksualiści lądują w więzieniach.

Poza tym to raj.

Na granicy zostawiliśmy samochód u byłego więźnia i czekaliśmy na Leona.



– To kumpel prawnik – rzekł Billy. – Nie przejmuje się byle czym. Leon odwała dobrą robotę w Grupie Pomocy Więźniom. Lubi chłopaków, nie gardzi też ostrym handlem. – Jego dom, jak mi powiedział Billy, jest „bezpieczny”.

Przybył zdezelowanym volkswagenem. „Chodź topless. Wynajmij samochód ze składanym dachem” – wypisano landrynkowo różowym kolorem na jego boku. Leon był kościsty, miał krzywe nogi, wystawiał na pokaz resztki młodzieńczego trądziku i nie mógł skłonić ludzi, by umieszczali jego nazwisko na kartkach z życzeniami na Boże Narodzenie. Nie był zadowolony z odkrycia, że Billy ma w swym bagażu jakąś torbę. Wpakował mnie na tył razem z innymi pakunkami, gdzie, jego zdaniem, było moje miejsce. Jego głos zniekształcał wiatr, tak że dochodziło do mnie tylko co drugie słowo na temat jego obecnych spraw oraz bitew, które on i Akcja Pomocy Więźniom w Queenslandzie toczą przeciw osławionemu więzieniu Bogga Road.

Jedliśmy obiad we Francuskiej Restauracji „Żabki i Łapki”, gdzie wolno było przynosić własne napitki. W połowie przystawek Leon poinformował mnie, że jestem ciotą.

– Rzeczy, przy których robisz, rozbijają solidarność ruchu – mówił tonem ledwo skrywanej pogardy.

– Daj spokój! Rozmiar powierzchni przyjemności, jakie dajemy więźniom, nie dał osadzonym... – Wykrzywiłam się, gdy Billy uderzył w denko butelki z sosem pomidorowym i roztarł krople na czosnkowych krewetkach. – ...wystarczających powodów do walki... Nie oblizuj noża, kochanie.

– Nasza miłość mnie rozłożyła – promieniał Billy. – Billy Bridges, człowiek którego więzienie Bogga Road nie mogło złamać. Uziemiony przez zwykłą kobitkę! – Złożył na moich ustach nasycony krewetkami, władczy pocałunek. – Kiedyś, my oba, ja i Bruce Kieł, zastraszyliśmy tę kurwę, nie...

– Obydwaj – poprawiłam automatycznie, chcąc kontynuować dyskusję z Leonem.

– .. . więc zabraliśmy mu tę elektryczną grzałkę, zwinęliśmy aluminiowe naczynie do pasztecików z kuchni oficerskiej i dwa kawałki befsztyka z ich kuchni. Piekliśmy go pieprzone dwie godziny, ale, nie, za to co za smak!

– Billy, nie zaczynaj zdania od „więc” i nie wtrącaj co chwila „nie”.

– Ty też co chwila mówisz „nie”. – Ukrywszy rękę pod obrusem, wsunął mi ją między uda. – A co powiesz na małe ciagotki?

„Pieszczotki” – zrozumiałam i skrzyżowałam nogi. Wycofawszy odrzuconą rękę, posilał się dalej.

– Naprawdę uważasz, Leonie, że kilka powierzchownych ustępstw spowoduje, że więźniowie stracą... Billy, czy musisz jeść palcami? ... jedność głodu i niewygody?

– Czy przez cały pierdolony czas musimy mówić o pierdolonym więzieniu? – Billy cisnął swój widelec i rozparł się na miękkim, czerwonym, aksamitnym oparciu fotela. – Julia, nie chcę, żebyś więcej chodziła na te dyskusje. To dżungla. Debaty są o tyle dobre, że można w tym czasie robić różne przekręty. Robiliśmy was w konia na potęgę. Jasne, gadaliśmy o korupcji, ale to was, dzieci, chcieliśmy skorumpować! – Billy zerwał się od stołu i oznajmił, że chce uścisnąć rękę bezrobotnym. Chłodny uśmiezek wygiął kąciki warg Leona.

Gdy tylko Billy zniknął w męskiej toalecie, Leon palcami wyłowił korniszona ze słoika, zmiażdżył go żółtymi zębami, po czym drugą połowę ofiarował mnie.

– Myślisz, że jak długo może trwać pociąg fizyczny? – Nie czekał na moją odpowiedź. – Tydzień? Dziesięć dni? – Dopiero kiedy wgrzyłam się w ogórka, zauważyłam opryszczkę w kąciaku jego ust. – W pudle masturbacja to nic wielkiego. To tak, jakby się odlać. Najlepsze jest plastikowe opakowanie od pałeczki do perkusji. Po prostu do środka trzeba wsmarować tonę margaryny. Albo dostają świra i posuwają się na paście warzywnej. Niektórzy stosują jedno i drugie, ale większość bierze sobie dupę. Cwaniaki biorą. A cwele dają – oświadczył tonem na poły szyderczym. – Wiedziałaś o tym, co?

Billy wsunął się z powrotem na swoje siedzisko i położył mi ciepłe ręce na szyi. Drgnąłam.

– Przyniosłem ci to. – Złoty łańcuch obsunął się na przód mojej koszuli. – Popatrz tylko. To czysta robota – podkreślił. – Po prostu złożyłem facetowi propozycję nie do odrzucenia.

– Jaką? – Odskokczyłam od niego. – Że złamiesz mu obie nogi?

– Jeśli obiecasz, że skończysz z tym gadaniem o reformach więziennictwa, będę się trzymał z daleka od wszystkich moich dawnych kumpli z pudła. W przeciwnym razie – zamyślił się – lepiej się pożegnajmy... Więc jak będzie? Ręka?

– Ręka, kumplu. – Uścisnęliśmy sobie dłonie i przypieczętowaliśmy umowę pocałunkiem. Leon z pogardą wpatrywał się w zawartość popielniczki.

– Boże, zrujnowałaś mnie na wieki, nie, moja chytra pani. A w każdym razie – Billy głęboko zaczerpnął powietrza – mogę co chwila powtarzać „nie”, bo to część zdania, nie? – Uśmiechnął się triumfująco.

Po obiedzie Leon odwiózł nas do Brisbane, by odwiedzić rodziców Billy’ego. Mieszkali w domku na przedmieściu, który Billy nazywał „Majestatycznym

włóknem”. Ceramiczny Meksykanin, trzymający kaktusa, opierał się o elektroniczny dzwonek. Na bardzo krótko przystrzyżonej trawie stali karłowaci aborygeni z wymierzonymi włócznieami. Mosiężna tabliczka nad drzwiami ochrzciła dom jako „Robjune”. Całość tworzyła katastrofalny kicz.

Robb Bridges otworzył synowi drzwi. Rzucił na mnie podejrzliwe spojrzenie.

– Wesółych jaj – powiedział ostro. Popatrzyłam na Billy’ego zaskoczona. Uścisnął ojcu rękę.

– Do siego roku, tato. Gdzie jest kucharka?

Matka Billy’ego, June, krzątała się z tyłu przy beczułce. Rodzina była zwarta, jak przystało na szajkę złodziejską. Ojciec Billy’ego chrząknął, usłyszawszy moją poprawną wymowę, i poszedł sobie. Australia nie jest społeczeństwem bezklasowym. Lecz choć, jak w Anglii, urodzeni do sprawowania władzy prawicowcy czują się lepsi, nikt tu nie uważa się za gorszego. Ojciec Billy’ego wykrztusił trochę flegmy i patrząc na mnie zimno, wypluł ją do ogrodu.

– Nie jesteś jedną z tych feministek, co nie? – Matka Billy’ego przyjrzała mi się uważnie. – Jak Germaine Greer. Siedzą tylko i gędzą o swoich... – Rozejrzała się, by się przekonać, że nasza rozmowa zarezerwowana jest tylko dla naszych uszu. – ...waginach. – June opuściła swe obfite ciało na trzcinowy fotel i wskazała mi miejsce obok siebie. – Dobrze wychowałam swoich chłopców. Nie są prawdziwymi włamywaczami. Po prostu ciemne owce, i tyle. Wiesz – rzekła konspiracyjnie – czarne konie. Billy wybije się w tym świecie. Nie jak jego pieprzony ojciec. – Jej twarz pociemniała. – Nie patrzy człowiekowi w oczy, kiedy z nim rozmawia, wiesz? – Zezowała w moim kierunku. – Jego ojciec ukradłby mleko z herbaty swojej babki.

Ojciec Billy’ego patrzył, czy wykażę objawy najlżejszego niesmaku na widok rolek papieru toaletowego, przykrytych robionymi szydełkiem lalczyrnymi sukienkami, czy obrazkiem ulicznego urwisa, lejącego pastelowe łzy.

Pani Bridges westchnęła ponuro, po czym natychmiast się wypogodziła.

– Chciałabym, żeby chodził z lepiej wykształconą dziewczyną i w ogóle. Może go pani, no... trochę powstrzymać. Przed kryminałem i w ogóle. – Uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Może pani go wiele nauczyć.

– Co się stało, dziecinko? – rzekł Billy opiekuńczym tonem. – Ktoś cię obraził? – Napiął każdy mięsień, tak że jego tors jeszcze bardziej przypominał stożek lodów. – Ktoś cię skrzywdził? – Kuzyn Billy’ego był sprzedawcą samochodów. Dał mu starego dodge’a i wracaliśmy teraz do rajy surfingowców przez Florydę i Miami, przedmieścia, na które przybywano, by uniknąć amerykańskiej zimy.

– Czy byłeś cwelem? – wykrztusiłam. – W pudle.

– Dlaczego? Co Leon ci opowiadał? Nie przejmuj się nim. Jest słaby jak filiżanka w wagonie restauracyjnym. Nie może rozsmarować margaryny na chrupkim chlebie.

Poczuwszy ulgę, powiedziałam mu, że jego rodzice to świetni ludzie, sól ziemi. Mają wszystkie podstawowe najlepsze cechy. Ciało Billy’ego stężało.

– Nie traktuj mnie tak protekcyjnie – syknął. – Byłem wyjątkowy przez całe życie. Psychologowie i pracownicy społeczni sondowali mnie i główkowali nade mną. „Och... Jest bystry”. – Naśladował ich mimikę. – „Jakie to dziwne. A jego ojciec pracuje w hucie”. O klasie robotniczej można tylko jedno powiedzieć – wykręcił, by wyminąć przejechanego kangura – że chce się z niej wydostać.

Gdy się ze mną kochał tej nocy, ugryzł mnie w wargę zbyt mocno, tak że aż krwawiła.

Kochać człowieka, który siedzi w więzieniu, to jak kochać księdza. Romans bez żadnego ryzyka. Zamknięty w konfesjonale pokoju widzeń, prezentuje ocenioną wersję siebie, namiętności widziane z daleka z powodu nacisku bezradności. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak mało wiem o Billym Bridgesie. Nie mam pojęcia, jak długo przebywałam z nim na Złotym Wybrzeżu. Dnie i noce przechodziły w siebie wzajemnie we mgle upału i zakłopotania.

Początkowo lekceważyłam napięcie między nami jako symptom wydostania się z więzienia. Zawsze myślałam racjonalnie, że czas powstrzymuje wszystko, by nie stało się od razu. Ale Billy nie czekał na upływ czasu. Picie, tańce, ataki wściekłości, pociąganie haszu, pieprzenie się, jedzenie, szybka jazda, robienie pieniędzy, picie... całymi tygodniami robiliśmy to wszystko naraz.

Potem obwinałam hierarchię więzienną. W pudle Billy był Królewiczem-Dupowiczem. Na wolności stał się nikim. Nasza umowa wpędziła go w nicość pomiędzy światem kryminalnym i kulturalnym. Dałam mu wizę wykształconego turysty i zabierałam na koncerty, do opery, galerii sztuki. Ale źle się tam czuł, przekonany, że wszyscy się na niego gapią. Na plaży smarowałam jego anemiczne mięśnie balsamem do opalania. Billy nie miał nawet wspaniałej australijskiej opalenizny, bardziej przypominał białą kulę bilardową. Zwracał na siebie uwagę, rozmiękły, jakby morze dopiero co go wyrzuciło i sprawiał na piasku wrażenie, że łatwo go można zranić. Swe zażenowanie pokrywał zuchwałością. Gdy ratownik powiedział mu, by nie rzucał puszkami po piwie, Billy zapytał go, czy lubi podróże i seks. Gdy rozbawiony ratownik odparł, że tak, owszem, Billy chciał się następnie dowiedzieć, dlaczego ratownik się nie odpieprzy. Warknęłam na niego, a jego oczy

zweżyły się w szparki, z których bił brak zaufania. Kiedyś cofnęłam się przed jego uniesioną ręką. A on tylko drapał się pod pachami.

Usprawiedliwiałam go też tym, że nie był przy narodzinach Ruchu Kobiecego. Nie w teorii, ale w praktyce. Licząc poprawczaki, większość życia Billy spędził w zamknięciu, dlatego oczekiwał, że będę mu przygotowywała grzanki i zmieniała rolki papieru toaletowego. Billy uważał, że ZNP (Zespół Napięcia Przedmiesiączkowego) to pociąg ekspresowy z Newcastle.

Również za jego obsesję łóżkową winę ponosiło więzienie. Nasz seks był szalony, masturbacyjny. Chciał, bym udawała różne rzeczy, na przykład że jestem młodym chłopcem, albo wydawała dźwięki, że to niby pierwszy raz, a gdy pojawiał się słoik z wazeliną, bym zgadzała się na to, co nazywał wycieczką na Khyber – czyli słyszał o tej przełęczy w Afganistanie.

Gdy miał czas odwyknąć od tych wszystkich rzeczy, napięcia między nami składałam na karb zbyt dużego upału. Od słońca można dostać świra. To tłumaczyło, dlaczego jego umięśnieni „przyjaciele” wpadali po północy, wypijali piwo i opowiadali o przekrętach i awanturach. To tłumaczyło, dlaczego znikał w wynajętych samochodach i wracał pijany albo zaćpany. To tłumaczyło, dlaczego ćwiczył jak szalony, biegając w równikowym słońcu, w górę autostrady, w dół kanału odpływowego, nakłaniając mnie do tego samego, gdy robiło mi się niedobrze z upału, potem rzucał mnie w krzewy i wciskał jedną nogawkę moich szortów w drugą. To tłumaczyło, dlaczego czułam się wystraszona.

A jednak nadal wierzyłam, że żywiłam doń prawdziwe uczucie.

Zatrzymaliśmy się koło różowej posiadłości w „Raju Surfingowców”. W sztucznych kanałach roilo się od motorówek, warczących aż do zmierzchu. Billy rozsiadł się koło opitych piwem miliarderów po przeciwnej stronie basenu. Choć byli pochrząkującymi analfabetami, płynnie wypowiadali się na temat niepłacenia podatków.

Kobiety, o skórze kasztanowej od ciągłego jedzenia precli, nosiły barwne suknie z lamy i naszywane cekinami dodatki. Usta, zęby, oczy, uda, każdy kawałek ich ciała lśnił, gdy wysuwały swoje szpony, gotowe zatopić je w rozwodniku, będącym właścicielem potężnej firmy budowlanej. Hałaśliwymi, sztucznymi głosami z zapalem opowiadały mi o zaletach wyłożenia jadalni tapetą w kremowo-czerwonym kolorze.

Wzięłam Billy’ego pod ramię.

– To prehistoria, mężczyźni i kobiety trzymający się osobno na przyjęciach. Człowiek może pomyśleć, że wszyscy jesteście gejami.

Mężczyźni zmierzili mnie oczami od stóp do głów, jakbym była ofertą budowlaną.

– To zabronione! W Queenslandzie nie mamy gejów ani biseksualistów – chwalił się Bazza, przedsiębiorca budowlany. – To rodzinny stan.

– Proszę, kochanie. – Farmer o głowie krewetki, będący zarazem dentystą hodującym ostrygi, zaproponował mi coś ze swojego talerza. – Owiń swój aparat do śmiechu wokół tego. – Wszyscy patrzyli, jak zjadam ostrygę.

– A niech to diabli. – Polityk partii narodowej zwany Prosiakiem zwrócił się do Billy’ego: – Nie dostała tych truskawek, od których ślina idzie do ust. – Pod pretekstem zabicia moskita Billy wyszarpnął rękę z mojej.

– Czy wiecie, że ostrygi są biseksualne? – powiedziałam rzeczowo. – Musicie zaarrestować dzierżawy ostryg Krewetkogłowego z uwagi na Akt o Prawie Rodzinnym i Przyzwoitości. – Wynajęta orkiestra rzępoliła muzyczkę: nudne zwiastuny najnowszych przebojów. Kandelabry zwisające niestosownie z brezentowego dachu markizy rzucały jaskrawe światło na moich towarzyszy. Pili z przesadnym smakiem, usiłując ukryć zakłopotanie z powodu zjedzenia pogardzanych stworzeń.

Billy zamówił dla mnie taksówkę. Powiedział, że musi porozmawiać o interesach.

– Prosiak ma dla mnie nowe propozycje.

Wiedziałam, że wszelkie propozycje, składane przez tych mężczyzn, zawrą się w jednym zdaniu: „Chcesz iść do kibla od tyłu?”

– Trochę zaczyna nam brakować kiełbasy i puree.

– To co? Mam mnóstwo gotówki...

– Za każdym razem, kiedy idziemy do pieprzonego sklepu albo do pieprzonego pubu, ty płacisz. Jak, twoim zdaniem, ja się czuję? Wszyscy na mnie patrzą jak na niedołęznego skurwysyna. Mój stary nie pozwoliłby mojej mamie płacić za nic. Mam tego potąd. Słuchaj, kochanie, nie chcę na zawsze pozostać dupkiem. – Odsunął mnie poza zasięg słuchu taksówkarza. – Zrobię jeden interes, który nas ustawi, i na tym koniec. Potem będę mógł zadbać o ciebie...

– A co z naszą umową?

– Poza tym – powiedział – przyłożyłem Johnny’emu Gwałcicielowi w barze „Pod Stekiem i Nerką”. Niedługo tu będą, żeby mnie dopaść. Muszę być na właściwej liście płac. Najlepiej, żebyś dała stąd nogę – powiedział z udawaną beztroską. – Jesteś tu tak ceniona jak bździna w kombinezonie kosmicznym!

Następnego ranka wstałam wcześniej i pojechałam z Leonem do więzienia

Bogga Road. Radio w samochodzie ostrzegało przed falą upałów.

Billy czekał na mnie w korytarzu, gdy wróciłam.

– Jakiś facet nasyła ci robotę. – Jego twarz miała wygląd drapieżcy. – To brat mojego kumpla z celi, z którym chodziłem razem na wybieg, widział cię w Bogga Road, jak rozmawiałaś z Jimmym Manikiurzystą.

– Rozmawiałam, owszem. – Na moment ogarnęła mnie panika i przecisnęłam się obok niego. – Ale nie wszyscy mężczyźni rozmawiają krocami.

– Jego własna babka ściągnie majtki pod jego urokiem.

– Z jakim facetem miałeś wspólny wybieg? – Przeszłam do kuchni. – Obiecałeś, że nie będziesz widywał się ze swoimi dawnymi kumplami z pudła. – Steki się nie rozmroziły. Wstawiłam je pod prawie wrzącą wodę.

– W porządku, dziecino. – Wypuścił powietrze, w którym wyczuwało się zapach brandy i haszu. – Chodzi o to, że odwiedzanie więzień jest niebezpieczne. – Uciskał moje piersi. – Psychologicznie, a także mogą cię dorwać fizycznie. Nie wspominając już o twojej reputacji. – Pociągnął mnie za sutek. – Dzisiaj już dwa razy musiałem bronić twojego honoru. Chłopaki uważają, że się mną bawisz, że mnie wykorzystujesz.

Zaczęłam kroić cebulę.

– Nie mogę po prostu tego rzucić. Dla kobiet w Mulawah trzeba poczynić jakieś ustępstwa, mamy próby teatralne, czytanie poezji... – Nadal panowało czterdzieści stopni. Sam dom pocił się z żaru. Nawet podniesienie noża było zbyt uciążliwe.

– Zostańmy w łóżku przez następne trzy tygodnie, jak leci. – Ugryzł mnie w małżowinę. – Ścisnąłem rękę pani Palmers i jej pięciu córkom przez pięćdziesiąt osiem tygodni. – Zmiał mi dzinsy. – Póki nie dałem nogi, żeby być z tobą, jedyną uciechą, jaka spotkała starego chłopca, było wsadzenie fujary w sos krabowy. – Pchnął mnie na lodówkę.

– Billy – zapytałam słabo – szukasz dobrej cipy?

Oczy mu pociemniały. Odwrócił się i oparł o zlew, oddychając głęboko.

– Słuchaj, dziecino, z moim chłopięcym wyglądem i nieodpartym urokiem, nigdy nie miałem kłopotu ze znalezieniem kogoś do łóżka. – Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. – Lubię sobie pobzykać. Ale ty jesteś teraz moją kobietą. – Rzucił się gwałtownie do przodu i zaczął mnie pieścić, ale się uchyliłam.

– Nie jestem twoją kobietą. Nie jestem niczyją kobietą. Słuchaj, Billy. Chyba już pora, żebyśmy wrócili do Sydney. Zasiadam w różnych komitetach. Mam zobowiązania zawodowe. Terminy. I zaniedbałam przyjaciół...

– Zaprosz ich tutaj. Leon nie będzie miał nic przeciwko...

– Lubię mieć własnych przyjaciół.

Jego udawana uprzejmość rozplynęła się.

– Wstydzisz się mnie, co? Przed swoimi przyjaciółmi. Twoimi Głęboko Zaangażowanymi, Walczącymi Socjalistami. Bo nie umiem robić żartów na temat opryszczki, holistycznego leczenia i pierdolonego sprzętu komputerowego. – Cisnął mnie o tylne drzwi. – Szkolisz mnie na swoją ludzką torebkę, żebyś mnie mogła wieszać na ramieniu na premierach i uroczystych kolacjach. Jesteś taka sama jak te mieszczki, przychodzące na Spotkania Pomocy Więźniom, bo to kręci. A ciebie to nie kręci? Ja bym cię rozpałił. – Wcisnął mnie w drzwi. – Chciałabyś zarobić parę siniaków? Nosiłabyś je jak trofea. Opowiedz wszystkim o swoim zwierzaku, który liże ci dupę od góry do dołu. – Chwycił nóż z deski do krojenia. – Czyją jesteś suką? – Przycisnął błyszczące ostrze do mojej krtani. – Czyją jesteś suką?

Gdzieś z oddali usłyszałam własny głos, poblady ze strachu.

– Billy’ego – odpowiedział.

Ciągle siedziałam skulona na werandzie od tyłu, gdy usłyszałam, jak nadjeżdża Leon. Jego zalotny głos doleciał do mnie z daleka.

– O tak, znam jej typ. Głoszą, że „seks naoliwia społeczeństwo konsumpcyjne”, ale jak myślisz, dlaczego świrują na punkcie kryminalistów? Chcą, żeby ktoś nad nimi panował. Rzucił na łóżko i zgwałcił. Ostro je potraktował. To ostatnia moda wśród dobrze wykształconych kobiet z klasy średniej. Szumowina to nowina. – Jego śmiech wzniósł się do rytmicznego pisku.

Opadłam na barierkę, przytłoczona własną nieszczerością. Gdy pomyślałam o porządnej dziewczynie z dobrego domu, byłam skrycie przerażona sposobem, w jaki Billy jadł, i zirytowana, gdy swe bury do biegania wkładał do lodówki, żeby je ochłodzić.

– Co na to powie Bruce Kieł, co? Niedługo wychodzi... Piwa? – Słyszałam syk odciąganego kółka. – I od razu przyjedzie tutaj, żeby cię dopaść. Rozdepcze ją jak karalucha. Zmiażdży.

– Co, do kurwy nędzy, chcesz przez to powiedzieć?

– Słuchaj, wiem, że kręciłeś z Bruce’em.

– Kieł i ja byliśmy pierdolonymi kumplami. Ty jesteś pierdoloną ciotą. Jesteś pierdolonym homo. Nie próbuj mnie wypaskudzić swoim gównem.

– Bruce powiedział mi, że byłeś jego chłopakiem.

To, co uważałam za siłę Billa, to były po prostu nerwy i brawura. To, co wzięłam za miłość, to uwielbienie własnego, ponurego rozgłosu. Nasz



ideologicznie zdrowy związek był niczym więcej niż romansem z harlequina. Po całym wysiłku, który włożyłam w przemianę Billy'go, mogę się teraz tylko uskarżać, że nie jest już takim człowiekiem, jakim był, gdy go pierwszy raz zobaczyłam.

W łóżku tej nocy zachowywał się jak wariat. Wepchnął mi głowę między swoje kolana. Takie rzeczy mi się nie zdarzały. Byłam niezłą dziennikarką. Skończyłam uniwersytet... Nie pozwolił mi zaczerpnąć oddechu. Miałam rachunek w towarzystwie budowlanym św. Jerzego. Jeździłam hondą civic... Błagał, „bym go nigdy nie opuszczała, bo beze mnie będzie zgubiony”. Prenumerowałam organ Partii Pracy. Płaciłam składki jako jej członek. Pisałam artykuły o zmieniającym się obliczu feminizmu... Powiedział, że tyle razy go zdradzono, że teraz podejrzewa wszystkich. „Ale wydawało mi się, że w tobie dostrzegłem lojalność i uczciwość”. W Sydney byłam znana z tego, iż nad porannym muesli (niesłodzonym) wygłaszałam przemowy o tym, że uczucia są przelotne, że ważne są tylko przekonania. W nieruchomym powietrzu krzyczał w moje włosy, że „jestem jego kobietą, że żaden inny sukinsyn już mnie nie dostanie”.

Zabiłby, powiedział, żeby mnie zatrzymać. Miałam opery Mozarta na kompaktach i mogłam obyć się bez samochodu. Byłam sprawna. Energiczna. Dawałam sobie radę. Stanę z nim twarzą w twarz, przemówię mu do rozumu i postawię na swoim.

Następnego dnia, gdy poszedł pobiegać, wypełniłam kieszenie monetami. Billy, lękając się, że może daje za mało drobnych, płacił tylko dużymi banknotami. Jego kieszenie wypchane były resztą. Przeszukałam je teraz, zarezerwowałam lot, wezwałam taksówkę i uciekłam.

W Sydney siedziałam w bawialni naszego mieszkania w Darlinghurst, czując się odrętwiała, podczas gdy Kerrie kwiliła żałośnie. Zeszłego wieczoru po przyjęciu, na którym lały się trunki, poszła do łóżka z kochankiem przyjaciółki i dręczyły ją teraz wyrzuty sumienia.

– Nawet nie było mi z nim dobrze – zakończyła zwierzenia, wrzucając do szklanki pastylki na kaca. – W ogóle mnie nie popieścił. – A do tego wodne łóżko zaczęło przeciekać z lewej strony. Soula pojechała do domu, by odwiedzić rodziców. Swatają ją ze Stavrem. – Naprawdę jest dziwny. Ma wielką szparę pomiędzy zębami i jest cały owłosiony na plecach.

Debbie straciła zapal do surfowania i odwiedzała znajomych w poszukiwaniu

sympatii.

Z powodu mojego powrotu nie było żadnego szumu. Kerrie powiedziała, że kiedy następnym razem zainteresuję się oryginalną kolekcją płyt, sięgnę po coś klasycznego, nie kryminalnego. A potem po prostu wrzuciły Billy'ego na dno wielkiej szafy na bieliznę, razem ze sprzętem do nurkowania, linami do wspinaczek wysokogórskich, fotografiami, zastawą stołową, puszkami ze sprejem i przyborami do drukowania na jedwabiu.

– Ta, która się waha, tkwi w celibacie, zgadza się? – Kerrie nadeła się usprawiedliwieniem własnego uczynku, po czym równie gwałtownie opadła. – Co mam zrobić? Nie ma sensu ciebie o to pytać, ty nieodmiennie lądujesz na czterech łapach.

Zawsze panujesz nad sytuacją. Nigdy nie zdarzyło ci się nic kurewskiego.

– Nie – powiedziałam. – Nigdy nic. Byłam taką osobą, do której znajoma dziewczyna dzwoni o północy, gdy chłopak opuścił ją dla Innego Mężczyzny. Byłam taką osobą, do której się dzwoni po numer telefonu, chcąc uzyskać pomoc prawną, konsultacje z terapeutą rodzinnym, poradę w sprawie AIDS. Wiedziałam, który minister ma w swojej gestii sprawy weteranów. Trzymałam za ręce kumpelki w klinice aborcyjnej i działałam jako „osoba wspierająca” samotne matki z naszego kręgu: ocierałam im pot z czoła, masowałam plecy, zachęcałam, by prawidłowo oddychały.

Na górze leżałam w łóżku, nasłuchując wszelkich trzasków i jęków w domu. Czułam jego obecność w konsystencji powietrza. Po raz pierwszy wiedziałam, na kogo złożyć winę. To ja, nie on, byłam kryminalnym artystą. Emocjonalne załamanie, a potem ponowne włączenie. Inteligencka zbrodnia serca. Zadrzałam i skuliłam się przy ścianie. Światło uliczne, przesączające się przez rolety, układało się w kraty na moim łóżku.

# **CZERNIAK O IMIENIU BRUCE**

Jechałam o świcie moim bombowym volkswagenem po Kurnell Road, w Cronulli, mijając śmierdzące góry śmieci obok klubu ligowego, klubu Rekinów, obok fabryk, tłących się gumowych opon i wypalonych samochodowych wraków. Było to miejsce lądowania kapitana Cooka. „Tu narodził się nasz kraj” – uczyliśmy się w szkole.

Cronulla to zabytek z głębi czasu, gdyż nadal królowały tutaj flanelowe koszule, pustynne buty i furgonetki z rozsuwanymi dachami. Nic się nie zmieniło, odkąd brylowałam tu jako Surfingowy Ogórek.

W Sydney istnieje mnóstwo gangów. Są Łomociarze, Przygłupki, Bandy Byków, Mózgi Benzynowe i Obrotowe, Pożeracze Felg, Mózgi Wegetariańskie, Czarnuchy albo Czekoladowe Żabki, a nawet niżej na drabinie rasistowskiej, Mutanci, którzy są zniechęceni, gdyż mają po półtorej głowy. My, Kapitanowie i Złote Rączki, płaciliśmy czarnuchom za branie wszystkich robótek, teraz czarnuchy skarżą się na Azjatycką Inwazję. Jest jeszcze mnóstwo innych gangów – Mózdzki Maryhy, Głowy Haszu, Mods, Trogs (od troglodytów), Łobuzy, Groźne Bille, Zachodniacy... Ale najbardziej zapalczywi ze wszystkich są Zabijacy. Surfingowcy to ziemnowodny, zamieszkujący plaże gatunek, który grupowo poluje na kobiety o nogach jak nożyce.

Wiecie, łatwo się rozsuwają. Laski mają ksywę prosięta z lasu, wieprzki bagienne, larwy, plujki albo połykaczki.

Nie surfowałam w Cronulli od wieków. W istocie od pięciu lat. Od czasu, gdy ich wykołowałam, wyciągając deskę brata. Nie mogłam stanąć ani nic. Po prostu czołgałam się, chybocząc się na płytkiej przezroczystej wodzie. Chłopcy z mojego gangu z Greenhill powiedzieli mi, że jestem zasranym mięczakiem i że bym spieprzała z ich terytorium. Odrzucili mnie. Bruce splunął mi na plecy i przejechał przez moją deskę swoim kombi. Potem zaczął chodzić z Tracey, zanim zupełnie ześwirowała. Od tamtej pory, gdy wychodziłam z domu, surfowałam na plażach północnych. Stałam się też po trosze zawodniczką. Tyle że amatorką... Ale wiedziałam, że nigdy nie będę rozrywana, póki nie uznają mnie chłopaki z Cronulli. Dlatego wróciłam. Po zemście i uznaniu.

Fale w Voodoo sięgały wysoko. Przeszłam przez wzgórza piaskowe, gdzie nocami paliliśmy fajki wodne i rzucaliśmy petardy w światłach rafinerii. Słońce wstawało nad solidną południową falą. Była to doskonałość licząca dwa i pół do trzech metrów, lekko cofająca się od brzegu. Stałam na parkingu, patrząc, jak woda przybiera. Szczyty fal wznosiły się z przypływem i uderzały w skały. Voodoo jest cholernie niebezpieczne. Nie tylko z powodu fal, przez które można trafić do

szpitala, lecz także dlatego, że nanoszą ścieki z oczyszczalni. Jak inaczej można by oznakować miejsce narodzin narodu?

Jedyne rekiny, grasujące tam tego ranka, były dwunożne. Samochód kombi dociągnięto do samego brzegu parkingu, wychodzącego na skały. Faceci w środku albo spali na tylnym siedzeniu, albo palili poranną fajkę wodną, zanim wybiorą się popływać. Naciągnęłam swój elastyczny kombinezon. To było ich terytorium. Muszę się oddalić o parę fal, zanim oni tam dotrą.

Gdy ci faceci wychynęli w swych kombinezonach, ja byłam już natarta i robiłam rozgrzewkę. W różnokolorowych strojach wyglądali jak słój landrynek. Gdy im się bliżej przyjrzałam, omal nie padłam. To był Bruce i jego kumple.

– Świetne warunki. – Squid nabrał flegmy w gardło i wypluł jak pocisk kulkę śluzu na asfalt parkingu.

– Kurewskie fale – przyznał Bodge. – Klasyczne. – Wyglądał, jakby dostał kurczu, gdyż rękawy jego kostiumu zwisały obok ciała. Był to typowy nazista surfingowy. Facet, którego popisowym numerem na przyjęciach jest urznąć się i podpalić sobie włosy łonowe.

– Haa! Już tam idę! – Bruce zmiął karton po soku pomarańczowym i wyrzucił go z trzaskiem.

Z deską pod pachą przebiegłam obok nich w kierunku morza.

– Hej! – dodał Bodge, którego oczy wypalały dziury w moich okrytych kombinezonem pośladkach. – Wchodzę tam.

– O kurwa! Surfujące laski. – Squid podkreślił swoje szyderstwo kolejnym gulgotem w gardle.

Patrząc na rozwarłe, nadchodzące z lewej strony fale, które uderzały o skały Voodoo, zdenerwowałam się i za wcześnie zaczęłam wiosłować na płytkiej wodzie, by ustawić się w odpowiednim miejscu. Gdy w morzu nie ma nikogo, trudno odgadnąć, gdzie fale osiągają najwyższy punkt. Usiadłam okrakiem na desce. Słońce wschodziło i usiłowałam coś dojrzeć przez jego blask. Horyzont uniósł się. Byłam zbyt blisko. Akurat, żeby mnie rąbnęła załamująca się fala.

– Nie da sobie rady – usłyszałam, jak Bruce zapewnił swoich kolegów, wiosłujących za mną. – Laski nie mogą surfować. To przez te cycki. Zakłócają im równowagę. – Trzech kumpli, znanych w okolicy jako Zespół Surfingowy Boba Hawke'a (w zimie pracują na budowach, a przez całe lato żyją na zasiłku), chrząknięciem przyznało mu rację. Surfujące dziewczęta tolerowano tylko ze względów perwersyjnych – płyną za nimi z tyłu i patrzą, jak zanurzają się z głową.

Gdy fala się zbliżyła, nabrałam szybkości, po czym nieco się uniosłam i

wcisnęłam gołenie w tylną część deski tak mocno, że cała się zanurzyła. Morze rozprysnęło się na wir kropelek.

Spoglądając przez ramię, zauważyłam, że chłopaki wyciągają głowy zza ściany wody, która ich zalała. Zostawiłam ich z tyłu. Będą rzygać.

Dotarli do strefy, z której można zacząć pływać. Siedząc okrakiem na deskach, przypatrując się falom, Bruce, Bodge i Squid rzucali mi pełne nienawiści spojrzenia.

– Dum-dum-dum-dum-dum. – Przecinając powietrze rozpostartą dłonią, Bodge nucił motyw przewodni z filmu *Szczęki*.

– Przekonamy się, kto to jest! – Bruce położył ręce na biodrach. – Podobno zmieniłaś się w wielbicielkę Av, dzidzia. – Zawsze istniała wrogość między Cronullitami i przeżuwaczami wodorostów z Avalonu. – Nie możesz serfować na Voo, dziecino – napomniął. – Zabijesz się!

Siedząc od wewnętrznej strony, widziałam wznoszącą się górę wody. Wiedząc, że mam dobry bekhend, chciałam się na nią dostać. Leżałam i zaczęłam wiosłować w jej kierunku. Bruce wystartował do tej samej.

– To męska fala! – ryknął. Ale wiedziałam, że na mnie nie skoczy. Nie robi się tego przy pierwszej fali danego dnia.

Czułam, jak woda mnie wypycha. Uniosłam się wysoko na grzbiet fali i opadłam z powrotem na deskę. Kątem oka zauważyłam, że Bruce się unosi. Skurwysyn. Opuściłam się nisko, cały ciężar ciała przerzuciłam na znajdującą się w tyle stopę i ciężkim łukiem zsunęłam się w dół. Ten neandertalski przygłup opóźnił pierwszą kolejkę. Gdy zostałam zatrzymana za falą, zmiażdżył mnie wierzch następnej. Byłam zarzygana. Przytopiona. Ludzka Torebka Herbaty. Wynurzając głowę na powierzchnię z astmatycznym pokasływaniem, wślizgnęłam się na deskę i oddaliłam od strefy załamania, przeklinając tego pierdolca rekinów. Z tyłu, uszykowani do boju, chłopcy śmieli się i wykrzykiwali szydercze słowa. Owacyjnie powitali Bruce'a, gdy do nich dołączył. Ja siedziałam oddalona, czekając na następną serię fal, słaba jak kociak.

Jako dziewczyny surfingowców składałyśmy im ręczniki, kupowałyśmy im kanapki z kurczakiem, pilnowałyśmy ich napojów mlecznych, leżałyśmy na brzuchach. („Gdy się przewrócisz na plecy – powiedzieli nam chłopcy – przelecimy cię”). Wycinałyśmy z papieru imiona naszych chłopców i przyczepiałyśmy je taśmą klejącą do naszych brzuchów, by zrobić sobie słoneczny tatuaż. Większość moich przyjaciółek pod koniec każdego lata miała już potężny zestaw. Tracę największy, ale to było, zanim kompletnie ześwirowała. Jeśli

kiedykolwiek dostanę raka, złośliwa narośl ułoży się w kształt jednego imienia. Wyobraźcie sobie czerniaka, zwanego Bruce'em. Ale po to tu przyjechałam, czyż nie? Żeby zrobić sobie Brucetomię.

Na morzu zapadła ciężka cisza. Zniechęcona, przepłynęłam przez parę fal, które się nie załamały. By przepędzić nudę, chłopaki usiłowali stawać na deskach i balansować w spokojnej wodzie. Z rozpostartymi ramionami, mogli zrobić obrót o 360 stopni. Bruce zanurzył swoją deskę w wodzie, wycelował i rzucił we mnie jak harpunem. Nie zdenerwowałam się. Rzucanie deską było zwykłą zabawą podczas ciszy morskiej. Sznur, który przywiązywał do nogi, zatrzymał deskę tuż przed moją głową. Przypuszczam, że nienawidzę zwierzątek domowych, dlatego że jako nastolatka zajmowałam się tyłoma zwierzętami...

Dwóch innych chłopaków wychodziło z wody. Rozpoznałam Garry'ego. W szkole był niezwykle agresywnym zwierzęciem. Teraz stał się nauczycielem. Facet, z którym był, to surfingowiec z Avalonu. Totalny trendoid o najmodniejszej fryzurze – z lokami na ciemieniu i ogolony po bokach.

– Co ci przyszło do łba, Gazzo, żeby się prowadzić z typkiem z Av, który ma ananasa zamiast głowy? – wycedził z niesmakiem Bruce.

– Co się stało z morzem? – zaskomlił Garry. – Triple J. zapowiadał, że będzie jak szkło, idealne, metr czterdzieści do półtora. To jest... ach... Damien.

– Czy przypadkiem wiatr cię nie kręci, koleś – zapytał Bruce, nastawiony wrogo jak do cioty.

– Hej, Deb! – Garry uśmiechnął się i zaczął brodzić w moim kierunku. – Rozpruwacz. Jak ci leci? Dużo masz? Nie widziałem cię od wieków.

– Jest tu wystarczająco beznadziejnie bez lasek – wycedził Bruce. – Nie wiem, ku czemu zmierza ten świat. Laski serfują wte i wewte po wybrzeżu. Osoby przemawiające i osoby przewodniczące i całe to gównno.

– Taak – dołączył się Squit. – A jak, do kurwy nędzy, nazwą chirurga – ryknął na mnie. – Osobą chirurg?

– Tak, chyba tak. – Garry odwrócił się szybko i podążył w ich stronę. Emocje surfingowców są niejako wrodzone. Pojedynczo nie są całkowitymi odrzutkami. Dopiero w grupach stają się chodzącymi kombinezonami.

Morze zrobiło się płaskie jak tablica. Wszyscy siedzieliśmy okrakiem na deskach, czekając na fale i wpatrując się w wodę. Nerwowo grałam paznokciami w kółka i krzyżyki na wosku deski, podczas gdy chłopaki rozmawiali.

– Sam nie wiem – rzekł Damien, sprawdzając mnie. – Mam wrażenie, że feminizm pozwala nam, facetom, wydobyć naszą własną wrażliwość. – Włożył

rękę w spodenki, by przesunąć sobie jaja. – Feminizm sprawia, że jestem dużo wrażliwszy i podatniejszy na ciosy.

Zespół Surfingowy Boba Hawke'a wymienił spojrzenia pełne obrzydzenia.

– Pewnie twoje gówno też przestanie śmierdzieć. – Squid wycelował pociskiem śluzu. Ześlizgnął się z przodu deski Damiena.

– W istocie – ciągnął Damien, wcale nie zbity z tropu, kierując swoje uwagi do mnie – uważam się teraz za męskiego feministę.

– To kim jesteś? Ukrytą lesbą... Gówno! – Squid uniósł swoją deskę nieco w bok, by uniknąć obrzydliwego kawałka papieru toaletowego i łajna. – Uwaga, zasadzka! – ostrzegł i wszystkie chłopaki podniosły nogi.

– Wiem, że to dołujące. To znaczy perspektywa przymusowego orgazmu też mnie dobija, chłopcy.

Bodge spojrzał na niego tępo.

– Mów po australijsku, dobrze?

– Kobiety – wyjaśnił Damien – chcą teraz więcej w łóżku.

Bruce wzruszył ramionami.

– Naprawdę?

Squid zdarł trochę wosku z deski i zwinął go w kulkę.

Oparłam nogi o deskę, widząc płynącą prezerwatywę. Podpłynęła do nogi Bruce'a. Widziałam, że zgarnął ją po cichu i napełnił wodą morską.

– Nie opowiadam głupot. Kobiety zmieniają się jak szalone. Oczekują dużo więcej. Dzisiaj, jeżeli chcesz zakręcić z dziewczyną, musisz znać się na receptach, napięciu przedmiesiączkowym i diabli wiedzą, czym jeszcze.

– Chryste Panie – zaczął zawodzić Bruce. – Gdzie się podziały dobre, stare, romantyczne czasy, kiedy można było po prostu poprosić dziewczynę, żeby się z nią popieprzyć?

– Tak – wykrzyknęły chłopaki. – Niech to szlag.

Damien podpłynął do mnie.

– Strasznie trzaskasz dziobem o tym, jakim to jesteś wrażliwym mężczyzną – jęknął.

Odwróciłam wzrok. Mieszkając w mieście, spotkałam mnóstwo takich Damienów. Niebawem zaczęłam podejrzewać, że cała ta gadka o feministach bierze się stąd, że faceci chcą się bzykać z kimś inteligentniejszym.

– Myślisz, że łatwo być zwierzęciem? – Bruce wcisnął deskę między Damiena i mnie.

– Taak – Squid usiłował wyrazić ich dylemat intelektualny. – Jeśli nie zaprosisz



dziewczyny do łóżka, nazwie cię łowcą czekoladowych pączków.

– A jeśli ją poprosisz – użalał się Garry – jesteś perwersyjnym, psychopatycznym gwałcicielem.

– Nie chcę, żebyś to uznał za obrazę, koleś, skoro dopiero cię zobaczyłem. – Bruce zanurzył dziób deski Damiena w wodzie. – Ale jesteś rzadkim gównem.

Damien prychnął.

– No, kolego, radzę ci, żebyś wyhodował sobie jeszcze jedną komórkę mózgową. – Zepchnął rękę Bruce'a do wody. – Ta, którą masz, musi się czuć tam strasznie samotna. – Leżałam spokojnie, cała zamieniona w słuch. Bruce napiął każdy mięsień w swoim metrze osiemdziesięciu centymetrach ciała. – To tylko taki żarcik... – płaszczył się Damien. Jednak Bruce się wściekł i rzucił prezerwatywą w Damiena. Ale chybił i upadła z trzaskiem na deskę Squida. Squid odrzucił ją z powrotem. Wokół wybuchały pociski z wodorostów, kulek woskowych i bomby kondomowe. Bruce wyciągnął swoją deskę, wyrzucając Damiena do góry. – Człowieku, uspokój się. Właśnie założono mi plombę... – zapiszczał Damien i za sekundę został zanurzony w wodzie.

Chłopaki nie widziały, że morze za nimi się wzburzyło. Ja siedziałam na zewnątrz, tak że przyczałam się i zaczęłam z wolna wiosłować stopami, posuwając się coraz dalej i dalej na właściwą pozycję. Gdy chłopcy zauważyli, że fala przybiera, i ruszyli ku niej, ja byłam już gotowa do startu. Podniosła się największa fala tego ranka. Prawie trzymetrowa.

– Gnojek! – zaskrzeczał Bruce przez wodę do mnie. – Surfująca laska. – Uderzał ramionami. – Flap, flap, flap...

W połowie fali zawróciłam. Był to późny start. Musiałam odbić się tylko raz i już stałam na nogach. Powierzchnia fali wsysała pionowo. Czułam, jakbym bezwładnie opadała. Wiedziałam, że muszę trzymać właściwy tor, bo inaczej zanurkuję dziobem. Dojechałam do dna, pionowo, wyczułam siłę fali i pochyliłam się w ciężkim, bekhendowym obrocie z całą siłą tylnej stopy.

Spoglądając przez wodę ku płaskiemu morzu, spostrzegłam, że chłopaki zwisają z grzbietu fali. Żaden nie zajął właściwej pozycji, by wystartować. Stracili tę falę. Odwróciłam się pod wznoszącą się krawędź, zmieniłam tor ruchu, pochyliłam się do przodu, idealnie ustawiona, i uleciałam. Grzbiet fali spłynął mi nad głową. Znalazłam się w potężnej jaskini, czując wciągającą mnie siłę. Hałas był straszliwy, ogłuszający, wypierający wszystko. Cztery czy pięć sekund w huczącej rurze to jak wieczność. Widziałam niebo, jak w innym świecie, przez membranę wodną. Sunąc pod krawędzią, przeraziłam się, że wodny cylinder

zamknie się. Potem zamiast wycofać się tyłem z fali, postanowiłam gnać do drugiej linii fal. Zamknęłam się w beczułkowej przestrzeni i pędziłam pod krawędzią fali, gdy przechodziła nade mną. Czując, że opadnie za mną, zebrałam się w sobie, przyspieszyłam i wypłynęłam po drugiej stronie. Rura po prostu mnie wypłuła. Okręciłam się dookoła twarzą do fali, podskakiwałam na pianie, obróciłam się kilka razy, a potem zaciągnęłam deskę do kanału.

Długi szereg tych, którzy późno wstali, obserwował mnie ze skał. Krzyczeli i wrzeszczeli, gdy wyłoniłam się z wodnej rury. Przekonany, że zostałam rozszarpana na kawałki, Zespół Surfingowy Boba Hawke'a gapił się na mnie, gdy wychodziłam z wody. Dosłownie zważyło ich z nóg.

- Wyszła z tej?
- Kurczę! Wyszła.
- To niesamowite.
- Klasyczne.
- Powaliła ją.
- Pierdołę. Mówiłeś, że nie potrafi surfować.

Gdy napłynęło następnych kilka fal, wszystkie chłopaki zachowywały się wzorowo. Nikt się nie kłócił. Nie najeżdżał na cudze deski. Surfowali nerwowo, lękając się, by nie spaść na moich oczach.

Wiatr zaczął wiać w kierunku brzegu. Dał potężnie. Woda się wzburzyła. Wszyscy weszliśmy razem, chłopcy trzymając się w pełnej szacunku odległości ode mnie. Minęłam innych, którzy wiosłowali. Niezgułę, Wogo, Midi, Garnka, Gębę, Konga, Królika, Gordona, Gibbona, Brudasa, Zita, Płaczka, Konia, Nosorożca, Bлагiera. Schodzili mi z drogi. Pobiłam rekord.

Gdy ciągnęłam swoją deskę, celica z tabliczką P, drżąca w rytm gitary Bruce'a Springsteena, zostawiała ślad na piasku.

Cała plaża pełna była wymalowanych dziewcząt. Z powiewającymi długimi włosami, makijażem jak do wyjścia, wyglądały niczym panny na opakowaniach szamponów. Sprawdziwszy raporty surfingowe, wiedziały, że na Voodoo będzie przyływ i że zapaleni surfingowcy będą tam już od świtu. Opierając się na desce, rzuciłam im uśmiech. Chciałam powiedzieć, żeby spróbowały! Połknęły bakcyła. Poszły na maksa. Że przed nimi rozciąga się cały szeroki świat. Wszystko się zmieniło! Trzeba się tylko stąd wydostać i ruszyć śmiało. Kobieta przy kierownicy opuściła szybę.

- Co za ciota! – splunęła.
- Zdaje ci się, że potrafisz surfować. – Utleniona głowa wychyliła się przez

rozsuwany dach.

– Co ty chcesz zrobić, niedojdo? – Celica tatusia okrążała mnie jak czterokołowy rekin, szykujący się, by dopaść ofiary. – Możesz polizać dupy naszym chłopcom, ty kretynko.

– Są trzy typy łajna. – Najładniejsza schyliła się i podniosła kamień. – Entliczek, pentliczek... – Cisnęła go w moją głowę. – A ty jesteś gównem. Więc stąd spieprzaj. – Podniosłam deskę akurat w porę. Kamień odbił się od maski i pękł.

– Co chcesz zrobić? Ukraść nam naszych chłopców? Wszystko nam zawalasz.

Okryte tylko majteczkami bikini, smarowały piersi faktorem numer cztery, wciągały włosy łonowe, które im się wysunęły, paliły papierosy, porównywały opaleniznę, walczyły o egzemplarz „Tracks”, robiły skręta... a potem kładły się i czekały na chłopców.

# **PLUTON W OWSIANCE**

Brakuje mężczyzn. Wszyscy są albo żonaci, albo geje. Albo żonaci i geje. A reszta ma słownictwo, składające się z kilku wyrazów, które wymawia z chrząknięciem: „nie”, „nie mam pojęcia” i „eech”. Prócz brytyjskich poetów, przejeżdżających czasami przez miasto, nie ma tu nikogo. Nic. Zero.

Ty i twoje kumpelki wyskrobujecie resztki z dna biologicznej baryłki. Kerrie zwróciła się ku swemu szefowi. Jest, oczywiście, żonaty. (Nazywa się to osiągnąć dno przez łóżko). Deb zrobiła się jadowicie złośliwa. (Chodzi z facetem tylko ze względu na jego samochód, obecnie z dziennikarzem, który z honorami ukończył studia i ma maserati). Soula za wszelką cenę chce wyjść za mąż i stać się Ludzką Torebką na Rękę. Tracey ma Bliskie Spotkania polegające na obmacywaniu z całą drużyną piłkarską. Julia zastanawia się, czy nie zostać lesbą. (Ty też o tym myślisz, ale nie składasz się tylko z cycków i łechtaczki). W porównaniu z masturbacją albo wibratorem nawet angol, który namiętnie pływa, wydaje się całkiem egzotyczny.

Za mało kręci się tu angol. Kiedy przyjeżdżają, to albo z promocją książki, szukają planów filmowych do koprodukcji, albo robią filmy dokumentalne o drugiej stronie ziemi, a ty i twoje kumpelki dzielicie ich między siebie. W końcu, jesteście siostrami w nieszczęściu, a to jest zarezerwowane dla dorosłych.

Chichocząc, pijecie dżin z tonikiem i porównujecie poematy Keatsa, cytowane wam w łóżku, wspominając, jak się dziwili, że tak nisko przebiega wam linia opalenizny. Obowiązuje jedna zasada: nie zakochać się. Jest szczyt lata. Julia dzwoni do ciebie.

– Ro... angol, reżyser filmowy, seksowny... dosyć. – Jej ocena jest zwięzła. – Z wyjątkiem skarpetek i... – przetyka z trudem – ... sandałów.

Melvyn jest serdecznym, zadziornym, potężnym facetem z brodą, ma zmarszczki wokół oczu, fajkę i skórzane łąty, naszyte na łokciach. Powiada, że jest dalekim krewnym kapitańskim Cooka. Nazywa cię kochaniem. Swoją najdroższą. Słonkiem. Mówi ci, że jesteś bardzo piękna i pochodzisz od aniołów. Twierdzi, że gdybyście żyli w czasach rzymskich, poszłabyś do świątyni bogini, złożyć dzięki. „Prawdopodobnie do Diany Efeskiej, do której święty Paweł wyraził nienawiść w Nowym Testamencie za licznych kochanków”. Zbiera twoje niedoreczone przez pocztę listy jak w powieściach Grahama Greene’a. To dziewiętnastowieczne zaloty. Wyobrażasz sobie, że twoje listy miłosne idą za ogromną cenę na londyńskiej aukcji. Piszesz piórem, zamiast posłużyć się komputerem. Wydruk w formacie A4 nie wyglądałby tak dobrze za szkłem w Muzeum Wiktorii i Alberta.

– Jadę do Anglii. Posmaruj mnie na plecach, dobrze?

Twoje przyjaciółki wymieniają cenzorskie spojrzenia zza swoich polaroidów.

– Ro, jak możesz poważnie zastanawiać się nad zamieszkaniem w kraju, którego jedynym wkładem w światową kuchnię jest kanapka z ogórkiem? – Julia zgarnia piasek w kształt poduszki, potem kładzie na nią ręcznik, a w końcu siebie na tym prowizorycznym materacu. – Niech Melvyn tutaj przyjedzie.

– Ambre Solaire?... – Soula wyjmuje butelkę z rąk Kerrie. – Jest wystarczająco silny? – pyta, smarując ci ramiona balsamem przeciwsłonecznym.

– Nie może. Jest producentem filmowym. – Zachowuj się jak gdyby nigdy nic. – Mówi, że musi być „na pierwszej linii”.

Kenie opada na materac, który właśnie nadmuchała.

– Naprawdę chcesz mieć pluton w owsiance?

Soula opala się, położywszy okrągły plaster na odciski na oba blade sutki.

– Żonaty?

– Ma dzieci – wyznajesz. – Ale małżeństwo już dawno nie istnieje. To tylko formalność. Wprowadzi się do mnie, będziemy razem pracować i...

– Żonaci – fala powietrza syczy astmatycznie, gdy Kerrie zmienia pozycję – jak uczy historia, pozostają żonaty.

– Tak – przyznaje Soula. Gdyby jej powiedzieć, że plastry na odciski mają likwidować odciski, sutki by jej odpadły.

Twoje przyjaciółki przytaczają ci mitologię papużek nierozłączek. Wymieniają tłumy Australijek, którym północna półkula złamała serca.

– Oni tutaj zakochują się w kraju. W hedonizmie, upale, bezklasowości, naszych związkach z naturą... – Julia grzebie w torbie, po czym z siłą gazu bojowego otacza was cztery środkiem przeciw insektom. Masz nadzieję, że to odstręczy również cały autobus japońskich turystów, którzy zapełniają plażę. Oblani potem w garniturach i krawatach, skupiają się przy brzegu, szpilki pań zapadają się w grząski piasek. – To, że przyjmujemy ludzi takimi, jakimi są...

– Ładunek żółtków – szepce Debbie, jakby dowodziła oddziałem. – Dziesiąta, godzina szczytu. – Para z aparatem fotograficznym zbliża się, by zapytać, czy mogą zrobić zdjęcie bujnego biustu Julii. To druga japońska inwazja na Pacyfik, tyle że tym razem uzbrojeni są w kodaki kaliber dziewięć. Z kostiumem kąpielowym zrolowanym do bioder, Kerrie otacza nagim ramieniem przerażonego Japońca. Sunie jak krab z powrotem do swego autobusu.

– Skończyły się wyjazdy najlepiej wykształconych do Londynu – wykrzykuje Julia. Patrzysz, jak czerwone plamy z prędkością zdjęcia polaroidowego wyskakują na pośladkach Kerrie i przyglądasz się niezdecydowanie swemu skwierczącemu ramieniu. – Sydney jest tak samo kosmopolityczne jak największe miasta na

świecie – przekonuje Julia. – Jesteśmy równie wyrafinowani...

– Szkoda, że nie znam języka żabojadów... Jesteś pewna tego faktora, Soula? – Kerrie przypatruje mu się, po czym czyta głośno drobny druk: „Creme Apres Soleil” – Co to znaczy?

Postanowiono, że nie jedziesz do Anglii. Twoje siostrzane papużki nierozłączki uznały, że angole mają zahamowania seksualne, zawsze chcą, żebyś nosiła szelki, i z rozkoszą wałą cię po tyłku. Nie znoszą brać kąpieli i są sztywniakami, krzyczą tylko wtedy, kiedy zobaczą rekina.

Gdy wszystkie przewracacie się na plecy, smarujecie kremem kolana, sutki, ramiona, wiercicie się i na nowo usypujecie piasek, słońce chowa się za wał gęstej, szarej chmury.

Pisz ci w liście miłosnym, że ma nadzieję i modli się do swego anioła stróża na tej planecie, by sprawił, ażebyście mogli niebawem być razem. Pierdolisz aniołów. Dzwonisz do linii lotniczych.

Ponieważ jedną z rzeczy, które w tobie kocha, jest twoja spontaniczność, postanawiasz przyjechać bez uprzedzenia i dwukrotnie drzesz list, który napisałaś do krewnych, trzykrotnie ich usuwasz ze swojej książki adresowej, podobnie jak miejsce zamieszkania niezamężnej ciotki kochanka twojej masażystki. Wkrótce będziesz sączyła najlepszą herbatę Lapsang Souchong i zagłębiała się w dyskusję o egzystencjalizmie. Melvyn jest głęboko, namiętnie, poetycznie zakochany w tobie. Jesteś tego tak pewna jak faktu, że Anglia jest strefą wolną od herbaty w torebkach.

Natrafiasz na jego ślad. Rzucasz się na niego u Harrodsa. Cofa się z przerażeniem.

– Przepraszam... Moje cholerne klasyczne wychowanie... – mamrocze, rozglądając się nerwowo. – To mnie powstrzymuje... – zdajesz sobie sprawę, że Anglicy lubią nieco spontaniczności, jeśli zostaną uprzedzeni.

– Cóż, Ro, jak ty, z młodszego kontynentu, oceniasz Europę na podstawie tej wizyty? – Na razie dochodzi do ciebie tylko tyle, że w tym pokoju możesz spędzić jeszcze najwyżej pół godziny. Powiada ci, że cały urok spaceru z tobą po Londynie i odwiedzania galerii polega na tym, że miasto przybiera nową aurę. Liżesz go pod pachami. Chichocze, skręca się, potem wzdycha: – Dlaczego ja, dlaczego my wszyscy, Europejczycy, jesteśmy tacy ponurzy, tacy... śmiertelnie poważni?

Mówisz mu, że to nie jest wizyta.

Twoje filiżanki herbaty, które rano podają ci w hotelu, są brązowe i zimne jak Tamiza.

– Występują komplikacje – mówi zdławionym głosem. Zdajesz sobie sprawę,

że nikt w Anglii nie mówi normalnie po angielsku. To namiastka języka ojczystego. Potrzeba słuchawek z Narodów Zjednoczonych, żeby zrozumieć eufemizmy. „Trochę kłopotów na froncie domowym” oznacza karierę, dzieci, hipotekę i małżeństwo z Octavią.

Zapamiętujesz jej imię. Octavia. Wiesz po prostu, że nosi koczek i tweedowe spódnice, rozwiązuje szarady, jęczy po łacinie i z powietrza (naprawdę jest radioaktywne) bierze cytaty poetyckie oraz szczegóły biograficzne Donne’a.

Pytasz o radę, gdzie mogłabyś zamieszkać.

Wygląda na przerażonego.

– Czy zauważyłaś – odwraca twoją uwagę pocałunkami – że wielcy kochankowie w literaturze europejskiej zawsze umierają w swoich ramionach? Romeo i Julia, Tristan i Izolda, Lancelot i Guinevere, Troilus i Kressyda? Najpiękniejsze historie miłosne na tym kontynencie zawsze opowiadają o utracie. Utrata w miłości – podkreśla – należy do wielkiej europejskiej tradycji.

Dolewając herbaty, zauważasz sznureczek od torebki, zwisający samotnie z małego dzióbka czajnika.

Zabiera cię do klubu o nazwie „U Groucha”. Jest pełen producentów, poetów, dramaturgów oraz wykładowców uniwersyteckich z niezliczonymi podbródkami. Wszyscy przekazują sobie wiadomości o książkach i filmach na podstawie książki oraz o nagraniu musicalu radiowego na kasetę wideo. Gdy odkrywają, że jesteś z Australii, zachowują się tak, jakby razem wdepnęli w psie gówienko.

– Wasza gospodarka zwalnia z jakiego powodu? Wasz kraj za długo balował. – Wykrywasz ślad zawiści w splątanych samogłoskach jego wykształconego głosu. Melvyn przedstawia go jako słynnego aktora szekspirowskiego z Krainy Jezior. – Znana jest z pewnością w koloniach ze względu na rysunki krajobrazów – rechocze szekspirowski aktor.

– Grał pan jakieś główne role? – pytasz ze słodyczą. Anglia wydobywa z ciebie wszystko, co najgorsze. Masz ochotę rozmawiać o niedołączach w łóżku i sikaniu na porcelanę.

– Jeszcze jedna twórcza osóbka z kolonii. Chyba już dosyć was nazwoziliśmy. – Mówisz mu, że pracujesz w antybrytyjskim, wszechlesbijskim przeglądzie zatytułowanym „Samotność długodystansowca krajowca na gorącym piachu”. Melvyn z zaciśniętymi ustami wyjaśnia, że zmęczyła cię różnica czasu, po czym syczy ci do ucha, że kalambury to najprymitywniejsza forma dowcipu.

Przez trzy dni nie odpowiada na twoje telefony. Idziesz do największej księgarni – Foylesa. W *Świecie opery* Kobbego sprawdzasz akcję Troilusa i



Kressydy oraz Tristana i Izoldy. Zaplątani w intrygi, od których krwawi serce, nieodmiennie zostają przebici sztyletami, a mimo to śpiewają. Wokalni hemofilicy.

To dziwny kraj. Intelktualiści chcą pieprzyć Margaret Thatcher. A cała reszta pragnie pracować jako fryzjerzy księżnej Diany, a potem sprzedać pamiątki. W lodowate zimno opalają się na leżakach w Hyde Parku, a ich sutki unoszą się z anemicznych piersi jak małe różowe kulki lodu.

Skulona na rozkładanej kanapie, czujesz się, jakbyś się kochała w plecaku. *Constrictus Claustrophobis* – to jedyne, co przychodzi ci na myśl, gdy chcesz jęknąć po łacinie. Pytasz go, jak długo będzie utrzymywał formalne małżeństwo.

– Niepokój emigrantki. Och, jaka jesteś dzielna, Ro. – Ubrał się szybko, każda dziurka od guzika przytwierdzała go mocniej, jego moralność była teraz tak wymuskała jak jego jedwabny krawat. – Doświadczenie wygnańca jest raczej kubistyczne, nie wnosisz? – Poklepał swoje czarne, skórzane łaty na łokciach, jakby to były zimne nosy zabłąkanych psów. – Tak naprawdę żyjesz w przestrzeni, gdzie kolidują ze sobą obecność kraju, w którym mieszkasz, i wspomnienia domu. Tragiczne. – Przeskoczył przez łóżko i pomaszerował w stronę domu.

Kiedy nie miałaś od niego wiadomości przez tydzień, wypisałaś wszystkie znane ci dowcipy o angolach... Gdzie angole chowają pieniądze? Pod mydło.

Gdy zagroziłaś, że wypijesz truciznę, zabrał cię na premierę swego nowego filmu, w której uczestniczył dwór królewski. Octavia brała udział w konferencji w Brukseli na temat „Odrodzenia zapomnianych dialektów”. Melvyn poradził, żebyś włożyła najlepszą sukienkę. Para królewska ścisła wszystkim ręce. Obiecałaś, że wzniesiesz się ponad poziom psów corgi i postarasz się mówić brytyjską angielszczyzną.

– ... bry wieczór – witasz księżną Dianę. Zadziwiająco, jak lewicowcy i radykałowie omdlewają na myśl o spotkaniu członków dworu królewskiego. Londyn jest księstwem spragnionym wielmożów. Jej uczesanie zaprzeczające prawu ciężenia jest cudem techniki. Zastanawiasz się, czy jej mózg też jest sztucznie pofalowany. Pytasz o ulubiony program telewizyjny Jej Wysokości.

– *Dynastia* – odpowiada, obrzucając spojrzeniem twoją skórzaną spódniczkę mini. Wszyscy inni mają na sobie długie, szyfonowe suknie. Wreszcie dowiadujesz się, na czym polega różnica między suknią i sukienką. Ty nosisz sukienkę. Suknia nosi ciebie. Dlaczego podoba jej się *Dynastia*?

– Och – odpowiada – lubię eskapizm.

Uderza cię, że dla księżnej Diany *Dynastia* to dokument. Powinna oglądać serial na temat zamieszek rasowych w Brixton.

– Nie bardzo podobają mi się kobiety w *Dynastii* – wyznajesz. – Nie są prawdziwe. Żadna z tych dam nie ma wągrów ani kurczów menstruacyjnych. – Nagle wszyscy wokół ciebie usiłują zaczerpnąć oddechu, jakby cierpieli na gigantyczny atak astmy. Może błękitna krew nie miewa okresów. Z twarzy Melvyna zniknął wszelki wyraz. Kręcisz się i niespokojnie przestępujesz z nogi na nogę, po czym zagłębiasz się w nowy temat. – Zawsze chciałam panią o coś zapytać... – Twarze tężeją, gdy jej otoczenie czeka, aż zapytasz o długość trwania jej orgazmów, umiejscowienia punktu G i czy lubi czasem być wiązana pasem, pokrytym słodkim sosem. – Czy posiadała pani sztukę ziewania z zamkniętymi ustami? – Błyskawicznie usuwają ją z twojego sąsiedztwa, a Melvyn bierze cię pod łokieć i wyprowadza z sali. Gdy wychodzisz, słyszysz, jak księżna Di opowiada jakiejś gwiazdzie krykieta, której zdjęcie widziałaś na opakowaniu płatków owsianych, że najbardziej w krykiecie odpowiada jej eskapizm.

Dom Melvyna jest wielki, pełen gabinetów wyłożonych boazerią zaplamioną porto oraz licznymi łózkami z baldachimami. Wypijasz za dużo, po czym upuszczasz swój kieliszek do szampana.

– Nie przejmuj się. – Melvyn przybiera sztywny uśmiech gospodarza, którego jeden z gości upuścił kieliszek. – Osiemnaste stulecie było bardzo długie. Na pewno zrobili ich o wiele więcej.

Usadowiona na szezlongu, oświadczasz, że gdybyście zamieszkali razem, mogłabyś zostać w łóżku przez miesiąc. Mówisz mu, że zrobiłabyś to, by ucałować najskrytsze załamania jego ciała, które przypomina ci butelkę mleka.

Oznajmia ci od niechcenia, że ojciec Octavii jest hrabią. A może szlachcicem? W każdym razie jest spokrewniony z postacią na znaczkach pocztowych.

– Rozwodowi brakuje tego pewnego szlachectwa, które jednak zobowiązuje – wyjaśnia.

Odpowiadasz, że twoim zdaniem rasa ma coś wspólnego z hodowlą psów.

– Zapóźnienia twego kraju, wasza izolacja i postkolonialny niepokój są znacznie zdrowsze niż nasze – wygłasza z godnością Melvyn, wciskając cię w szpilki i gorset. Gdy wymachuje pejczem, przypominasz sobie, że Anglicy są o wiele bardziej ekscentryczni niż każdy inny naród.

Jest zajęty. W plenerze. A więc wypijasz popołudniową herbatę w „Savoyu” sama, wbijając w siebie tyle ciastek, ile się da za cztery funty. No dobrze, mówisz sobie, żyje się tylko dwa razy. Raz teraz i raz po potrójnej operacji wstawienia bypassów. Sporządzona w pośpiechu lista niezamężnych ciotek i krewnych teraz wydaje się dobrym pomysłem. Kerrie i Debbie przysyłają ci *chop suey*, ekspresem,

pocztą lotniczą. Zżera cię niesamowita tęsknota za domem, łapiesz zaziębienie i przytykasz swe okryte pończochami, zlodowaciałe nogi do suszarki do rąk w damskiej ubikacji, żeby trochę odtajały.

Thatcher jest jak przeziębienie, którego Anglia nie może się pozbyć. Kinnock biega z chusteczkami, wycierając, co się da, lecz zawędrowało ono głęboko w pierś narodu. Gdy się przytknie nos, punki z pocztówek pachną mydłem i szamponem. Twoje zaziębienie przechodzi w całodobową gripę. Kapsułki penicyliny kończą się po dwudziestu czterech godzinach. Twoją jedyną rozrywką jest obserwowanie zmiany warty wraz z towarzyszącą jej paradą wojskową, co stanowi angielską wersję Disneylandu. Zaczynasz myśleć, że być może Melvyn ma rację – na tle szarości i niepokojuw angielskiej zimy Australia iskrzy się od możliwości.

– Australia jest zapachem angielskiego miesiąca – ślesz entuzjastyczne pocztówki swoim kumpelkom. I siedzisz z innymi emigrantami, opowiadając sobie, jak słynni są Paul Hogan, Peter Carey i Clive James oraz jaki to szyk dla Australijczyków siedzieć w Londynie i opowiadać, jak szykownie jest być Australijczykiem siedzącym w Londynie.

Melvyn musi mieć rację, gdy uświadamia ci znaczenie Australii na mapie świata. To miejsce przyszłościowe. Miejsce dla dzielnych. Ostatnia szansa republikańskiego marzenia. Teraz mu wierzysz, kiedy powiada, że często będzie tam jeździł.

Jesteś w biurze podróży, zamawiając bilet powrotny, i decydujesz się zatrzymać na Hawajach, koktajlowej stolicy świata. Przeglądając broszury opisujące miejsca, gdzie możesz się zatrzymać, twój wzrok pada na artykuł o kapitanie Cooku. „Największym odkryciem, jakiego kiedykolwiek dokonał kapitan Cook, było dopłynięcie do Wysp Hawajskich”. Unosząc brew, czytasz dalej. „Królowa angielska wysłała go, by odnalazł Wielki Nieznany Ląd na Południu, co mu się nigdy nie udało”.

– Uchuu! – krzyczysz do nikogo w szczególności, pośrodku Piccadilly Circus. – My tam jesteśmy!

Okrywasz go pocałunkami. Obiecujesz, że twoje Paskudne Dni się skończyły. Nie będziesz już nosiła niebieskiego z czarnym ani hodowała przypadkowych kepek włosów pod pachami, co dotychczas uchodziło twojej uwagi. Obiecujesz, że nie będziesz wyśmiewać się publicznie z jego wystającego brzucha – żadnych więcej żarcików o werandzie nad sklepem z zabawkami.

Od twego przyjazdu do Anglii emocjonalny teren Melvyna najeżył się drutem kolczastym. Przeskoczyłaś go, by mu powiedzieć, że go kochasz, potrzebujesz i że

go uwielbiasz. Ale on wlecze cię z powrotem na twardszy grunt – porusza bezpieczniejsze tematy, jak terroryzm i składowanie odpadów nuklearnych.

– Wy, Anglicy, zachowujecie się zupełnie inaczej na swoim terenie niż w moim zakątku świata. – Na szarym chodniku wystają kocie łby, czujesz się, jakbyś chodziła po tym, co podają ci na śniadanie. – Przyjeżdżacie do mojego kraju i wymyślacie się na nowo.

– Może jesteśmy wymyśleni na nowo? Ale robimy wszystko, by rozmarzyć się o Australii. Czy to chodzi o światło? To światło musi sprawiać, że angielskie męskie libido nie zgadza się już więcej na noszenie gatek!

Twoja opalenizna zbladła. Piegowata skóra wygląda jak gra polegająca na łączeniu kropek. Obawiasz się, że jeśli je wszystkie połączysz, okaże się, że jesteś osłem.

– Pamiętaj, że jesteś światłem mojego życia – powiada Melvyn, wyjeżdżając na plenery do Kanady. – Kwiatuzsku, chcę, żebyś się czuła bezpieczna, wiedząc, że dla mnie istniejesz tylko ty... i Octavia.

– Chwileczkę. – Julia rzuca ci swój kapelusz od słońca na głowę. – Co się stało?

Czujesz, że się roztapiasz w południowym słońcu.

– Australia istnieje tylko po to, żeby Anglia miała wobec kogo czuć wyższość...

– Uuch! Pamiętaj, że jest absolwentem Oksfordu. To miejsce, dzięki któremu Anglia uważa się za lepszą.

– A ja myślałam, że on kocha ten kraj! – Kenie leży sztywno w stringach, patrząc nerwowo, czy nie wymknęły się jej jakieś włosy łonowe. – Sądziłam, że jest w prostej linii potomkiem kapitana Cooka, na miłość boską!

Gadanie dla zamydlenia oczu. Pamiętaj o poprawnej wymowie samogłosek. Spróbuj nie płakać.

– To co? – odparowujesz. – Żadna kobieta nie jest kontynentem.

– Boże drogi – jęczy Julia – dlaczego kobiety zawsze kończą jako ofiary?

Gdy Narelle rzucił jej angielski narzeczoną, bezskutecznie usiłowała wytoczyć mu sprawę o złamanie obietnicy małżeństwa. Gail przeżyła załamanie nerwowe w Brighton, została sama, poddano ją elektrowstrząsom i teraz jest na całonocnej psychoterapii oraz pracuje na pół etatu w londyńskim oddziale Rady Australijskiej. Pamiętasz swój ostatni dzień w Londynie? Płakałaś w egzemplarz szekspirowskich sonetów miłosnych, potem wspięłaś się na jego biurko w gabinecie, zdjęłaś karnisz,

usunęłaś zatyczki po obu stronach i wypełniłaś pustą rurkę surowymi krewetkami. Twoje szlachectwo po prostu nie chciało zobowiązywać.

Czytasz w gazetach, że Anglię ogarnęła niespodziewana fala upałów. Wyobrażasz sobie, jak Melvyn zdiera deski z podłogi, usiłując odkryć źródło smrodu.

I bardzo dobrze. A czego się spodziewał? W końcu jesteś tylko dziewczyną z kolonii.

**DZIEWCZYNY SIĘ BAWIĄ**

## *Herbatka z prezentami*

Wszystkie twoje przyjaciółki wychodzą za mąż. Co sobota pieczesz ciasto, owijasz w ozdobny papier szatkownicę do buraków i z wolna podążasz do podmiejskiego saloniku na herbatkę, na którą obowiązkowo przynosi się prezent. W tym tygodniu wypadło na Kylie. Mamy, dalekie kuzynki, sąsiadki i koleżanki okrążają dom z ciastami, chichocząc i cmokając.

– Ty będziesz następna, Jo. – Skręcasz się pod ich uważnymi spojrzeniami. – Chyba najwyższa pora, żebyś i ty się ustatkowała i miała gromadkę dzieci.

Gdy przyszła żona zostaje zasypana żywcem górą kapturków na czajniki do herbaty, wycieraczek, słoików na przyprawy, rękawic do rozgrzanych garnków, suszarek, czajników i obrusów, goście niespokojnie wyciągają szyje, by się przekonać, kto przyniósł najkosztowniejszy prezent. Przyjaciółki patrzą na twoją szatkownicę z pogardą. To jasne, że lubisz Kylie o \$5,68 mniej niż cała reszta. Niektóre prezenty wyglądają na znajome. Tę zakładkę do książki z kła słonia i ceramiczną miniaturkę zwierzątka ofiarowano już kiedyś na dwudzieste pierwsze urodziny, a na herbatkę z prezentami co najmniej dwukrotnie.

Gdy oddajesz paczuszkę, mijasz krzesło przy pianinie i bawisz się z zaproszonymi dziećmi, dochodzisz do wniosku, że prędzej będziesz chodzić po rozżarzonych węglach, krępować sobie stopy albo przewiercisz nos i wsadzisz tam kość niż ścierpisz podmiejski obrzęd małżeński. Nigdy nie nadejdzie właściwa pora, byś się ustatkowała i miała gromadkę dzieci. Nigdy, przenigdy.

## *Przyjęcie zaręczynowe*

Na przyjęciach zaręczynowych jesz pasztecik z mięsem i deser beżowy. Wysokie obcasy wbijają się w grząską trawę, trzęsiesz się w grupce zgromadzonej wokół ponczu. Ojcowie nalewają piwa z dwu koszy na śmieci, z których wystaje topniejący lód. Chłopcy walczą zacięcie o puszki z piwem. Dziewczęta porównują pierścionki, wpatrując się uważnie w twoją dłoń.

– Oświadczył ci się już?

Upewniasz się, że twoi przyjaciele pobierają się tylko dlatego, że dzięki temu łatwiej dostać kredyt na działkę w Menai. Powinni składać przysięgi małżeńskie w agencjach nieruchomości. Mieć i kupować akcje. Szanować i spłacać. Póki raty nas nie rozłączą.

## *Dziewczyny się bawią*

Umawiasz się na paniński wieczór z kumpelkami w chińskiej restauracji „U Choya”, gdzie można przynieść własne napoje. Jesteście najlepszymi przyjaciółkami. Od czasów szkolnych wyciskałyście sobie wągry. Porównywałyście cellulitis. Mówiłyście sobie, że wyglądacie szczupło. Kłamałyście na temat złych płynów do trwałej, chwytających tylko u nasady. Radziłyście sobie wzajemnie, by ufarbować brązowe pasma na czarno, a czarne na blond i gdzie położyć różowe i pomarańczowe smugi na policzkach, by wyglądały bardziej naturalnie. Zostawałyście z tyłu w miejscach publicznych, by sprawdzić, czy menstruacja nie narobiła plam. Porównywałyście sposoby zapobiegania ciąży. I zapewniałyście się nawzajem, że wasi mężczyźni to albo kompletne niedojdy, albo straszni zapaleńcy. Żadna nie miała narzeczonego z osiemnastokaratowym brylantem.

Zamawiacie egzotyczne koktajle z parasoleczkami. W miarę upływu czasu, coraz trudniej jest zapamiętać zamówienia.

– Dwa razy „Kahlua”, raz „Pierzasta Kaczka”, trzy razy „Łomot Harveya”, dwa razy „Rozchylacz Nóg”... mm. – Zapowiadasz swoim przyjaciółkom, że jeśli kiedykolwiek postanowisz wyjść za mąż, twój mężczyzna zorganizuje herbatkę z prezentami, a ty udasz się na kawalerskie przyjęcie. Ponieważ on lubi gotować. A ty lubisz mężczyzn.

– Jak leci twojemu chłopakowi? – pyta Kerrie, przyklepując swą nową trwałą, zrobioną tylko u nasady. (Utrzymuje, że salon zmienił siedzibę ze względu na nią). – Dalej ciągniesz z tym saksofonistą z „INXS”? Dobry Boże, jesteś anorektyczką. – Rzuca w ciebie miską z orzeszkami ziemnymi. – Kiedy ostatnim razem widziałam coś równie cienkiego, była w tym pasta do zębów. – Wszystkie się śmieją. Cztery czy pięć lat młodsza od reszty, usiłujesz nie zwracać uwagi na ich protekcyjne uśmiechy. Przypadek zaborczej miłości.

– Jest fantastyczny – odpowiadasz neutralnie. – A jak miewa się Russell?

– Och! Rewela. Już-już zostawia żonę i przenosimy się do jego mieszkania w Kirribilli. – Kerrie ma dwadzieścia trzy lata, każe sobie wyskubywać brwi, pracuje w telewizji i wypróbowała każdą dietę, od grejpfrutowej przez Beverly Hills po ograniczającą się do ożywionego życia seksualnego i niskokalorycznych węglowodanów. – Wyobraźcie sobie, dziewczyny, ten widok na morze!

Ro przewraca oczami. Wypróbowała już jazdę konną, punków, psychoanalizę, elektrowstrząsy, pracę maklera, zen, Anglików i ponowne narodziny, a teraz, w



wieku dwudziestu trzech lat, uznaje tylko celibat.

Julia, pachnąca chlorem i czosnkiem, oznajmia, że jej nowa miłość może wpaść później. Julia się nie maluje, swe dziennikarskie materiały zawsze oddaje na czas, rozprawia wśród dziewcząt wyroby ludowe z Afryki Południowej i, mając dwadzieścia cztery i pół roku, jest wśród nas Osobą Dorosłą.

Wszystkie odwracamy się do niej, przerażone.

– Julio. Postanowiłyśmy coś. To paniński wieczór.

– To jest dziewczyna.

Zadyszana Debbie wbiega po schodach, pełna przeprosin, akurat, by zdążyć na kotlety z krewetek. Debbie jest blondynką, opaloną na brąz, i spotyka się z pierwszorzędnym dziennikarzem politycznym. To prawdziwa miłość. Pije wodę z jego jacuzzi.

– Mnóstwo czasu przesiedziałam w jego samochodzie. Nie chciałam, żeby się zorientował, że nie mogę znaleźć cholernej klamki. – Spojrzałyśmy na nią zdumione. – Wtedy mógłby zacząć podejrzewać, że po raz pierwszy siedzę w ferrari!

Reszta z nas wymienia przerażone spojrzenia. Kerrie zamawia dla Debbie mózdzek.

– Przyda ci się każda pomoc, Deb.

Soula ogłasza, że Garry wreszcie zostawia żonę i wprowadza się do niej. Kerrie najeża się.

– Boże, to musi być fantastyczne mieć takie małe piersi, Sue. Ubrania pewnie na tobie świetnie leżą. – Soula poprawia swój sportowy bawełniany top i siada w kącie. Nikt nie zwraca na to uwagi. Kerrie jest Navratilową komplementów z bekhendu.

Robiąc obchód pubów w mieście, Debbie zastanawia się, które z zawodniczek zespołu piłkarskiego są lesbami.

– Można to poznać po krótkich paznokciach. Najwyraźniej dzięki temu dużo lepiej jest się kochać – chichocze. Palce zaciskają się nieśmiało wokół okrągłych szklanek z bacardi i colą. Oczy zerkają niespokojnie. Debbie czuje się zakłopotana surową ciszą. – Nie znoszę rozgłaszać plotek, no ale co można z tym zrobić?

– Założę się, że nie tylko to roznosisz. – Kerrie patrzy wściekle, gasząc papierosa.

Przytaczasz najrozmaitsze szkolne wspomnienia. Jak wtedy, kiedy Julia podpałiła pracownię nauk ścisłych. Albo gdy schowały torby chłopców na dachu audytorium. Wieczór tańców, kiedy Kerrie rozłożyła nauczyciela na trawie. Ro

informuje, że widziała Tracey, niesławną wielbicielek drużyny piłkarskiej.

Samotna matka. Dwoje dzieci.

Rozlega się zbiorowe szydercze westchnienie. Julia proponuje toast. Żebyśmy nigdy nie wpadły w zasadzkę kariery miłości rodzinnej.

– Boże, jakżeż ona nam imponowała, pamiętacie? – wzdycha Debbie. – Była od nas o tyle starsza. Prawdziwa buntowniczką. I taka pełna życia.

– Taak – powiada Kerrie. – A teraz jest ledwo spluwaczką na sperme.

Przysięgasz sobie, że nigdy się nie ustatkujesz i nie będziesz miała dzieci. Nigdy, przenigdy.

### *Striptiz*

Stoisz w kolejce wraz z gośćmi z przyjęcia bożonarodzeniowego w klubie tenisowym i dziewcząt z panieńskiego wieczoru na Jamison Street. Zerkasz na plakat, reklamujący męskiego striptizera.

– Nasi mężowie myślą, że gramy w bingo – wyznaje Charlene z klubu Matek Mortdale. Szpilki wbijają się w klubowy dywan. – Mój Harry uważa, że to obrzydliwe patrzeć na intymne części innych. – Niezniechęcone, ty i twoje przyjaciółki hurmem przechodźcie przez wejście.

W skórzanym mieszk na penisa i nabijanej nitami psiej obroży, Mięśniak Gordon wypada na scenę. Podrygując nogami i skręcając się, przypomina pudła spuszczonego ze smyczy.

– O Boże! – skrzeczy Soula, a jej głos wznosi się coraz wyżej. – Ten facet z Macquarie Fields to wykapany nasz hydraulik!

– Ma tylko takiego dużego – syczy rozczarowana Debbie, wysuwając mały palec w kierunku przedmiotu jej niezadowolenia.

Czekając przy barze, ze znużeniem przysłuchujesz się toczącym się rozmowom. Konceptualne infrastruktury. Forsa od projektanta. Krótkoterminowe odsetki. Chciałabyś kontynuować dyskusję filozoficzną, rozpoczętą w sobotę na miejscowym meczu krykieta. Po meczu siedmioletnia dziewczynka wyznała, że jest dwóch Bogów. „Bóg w środku i Bóg na zewnątrz” – poinformowała rzeczowo twoją rzepekę kolanową. Śmiech. Zastanawiasz się, czy można mieć dzieci, nie ustatkowawszy się. Czujesz niepokój. Prenatalną, prekonceptualną depresję. Mówisz, że trzeba się stąd wydostać, zanim tłum ruszy. Wracając do stolika, mijasz Mięśniaka Gordona przedzierającego się przez publiczność.

– Ależ Julio, a co z popędem biologicznym?

Julia skręca się.

– Jestem nastawiona na zrobienie kariery. Nie mam popędu biologicznego, który kazałby mi cały wolny czas poświęcać na pilnowanie jakiegoś młodocianego przestępcy, żeby nie spuścił w toalecie morskiej świnki.

– Ale ty chcesz je mieć, co Debbie? Ty kochasz dzieci.

– Zejdz na ziemię! Nie mam z czego żyć. Jakiś kurewski, złośliwy pedał prawdopodobnie w tej chwili zabiera mi kartę kredytową.

– Daj spokój. Nie chciałabyś któregoś dnia zajść w ciążę, Ro? Lubisz spróbować wszystkiego.

– Tak, ale nie jestem nudziarą. – Wciska dwudolarowy napiwek w suspender wąsatego kelnera. – Chodzi mi o to, że potomek może wyrosnąć na sprzedawcę samochodów.

Ogólne westchnienie przerażenia.

– Albo, co gorsza – Julia zaciska palce na swojej whisky – zwolennika Partii Narodowej!!!

– Ta-ak, kogo obchodzi płęć embriona? – Kerrie podnosi się. Opracowała ścisłą listę gwiazd. – Zależy mi na takich ultradźwiękach, które wykryją przyszły zawód dziecka. Plus inne podstawowe informacje. Na przykład... czy będzie sprzątać swój pokój? Czy będzie głosować na Joha Bjelke Petersona? – Patrzysz, jak zmierza w stronę toalet. – Czy ktoś chce się wysikać?

– Sama nie wiem – wahasz się – może przez macierzyństwo naprawdę można się zrealizować. Wiecie. Jako kobieta.

Męski striptizer kocim ruchem ociera się o ciebie, zabiera ci okulary i wkłada je do swego skórzanego mieszka. Przewiązuje ci oczy i mówi, byś wyciągnęła okulary zębami. Piosenka puszczana z płyty przebrzmiała. Nagle czujesz się jak staruszka. Przeżytek. Przypadek geriatryczny. W ciemności twój olśniewający jedwabny top prześwieca przez dyskretny biały żakiet. Czując się mniej więcej tak podniecona, jak u dentysty, niżasz się w poczuciu podmorskiej klaustrofobii do jego schowka na penis.

– To ma cię też uczynić pełną kobietą – triumfalnie karci cię Julia.

– A cholerny ból? – protestuje Ro, przygryzając paznokcie. – Potrzebuję środka uspokajającego, jak idę do dentysty. Tylko na fluoryzację.

– Podobno pierwszy stosunek potem jest dużo gorszy niż sam poród! – Debbie wykrzywia się w udawanym cierpieniu, nakładając szminkę.

– Wspierałam kiedyś przy porodzie moją przyjaciółkę – poucza Julia, pożerając orzeszki – z Filmowego Towarzystwa Kobiet. Gdy doktor zszywał japo nacięciu

krocza, powiedziała mu, żeby nie przestawał. – Dało się wyraźnie słyszeć zbiorowe krzyżowanie nóg pod stołem. – Nie chciała, by cokolwiek, kiedykolwiek jeszcze tam wchodziło albo stamtąd wychodziło.

– Niech to diabli – użala się Kerrie, która wróciła z toalety. Jej przekrwione oczy są rozszerzone. – Te kobiety mają charakter. Własnoręcznie robią sobie tampony.

– Nie tylko to, ale do końca życia będziecie musiały robić – Julia konspiracyjnie zniża głos – ćwiczenia podstawy miednicy. – Machacie uszami z pełnej przestachu ciekawości, gdy Julia plastycznie opisuje, jak mięśnie pochwy muszą się zacisnąć z siłą imadła, potem rozluźnić i tak sto razy, rano i wieczorem oraz w chwilach nudy. To nadaje zupełnie nowy wymiar kolejkom do kibla i na przystankach autobusowych. Gdy czekasz, aż zwolni się miejsce w damskiej toalecie, trzepocząc wewnętrznie jak migocząca świetlówka, wpatrujesz się w twarze innych kobiet, usiłując odgadnąć, która jeszcze szybciotko trenuje swoją strefę G. Nie, powiadasz sobie, nie ustatkujesz się i nie będziesz miała dzieci. Nigdy, przenigdy.

Soula idzie za tobą do toalety.

– Może masz rację, Jo – rzuca – może skończymy jako osoby samotne... – Zbierasz się w sobie. Powiedz jej, że owszem, że nie ma co żałować wszystkich tych bezdzietnych par, pływających po przystani w Sydney w niedziele i topiących swoje smutki w dom perignon i pasztecie.

Mówi do ciebie z sąsiedniej kabinki.

– Może tracimy mnóstwo radości i w ogóle. – Tak, myślisz o wszystkich spacerotonach, których nie będziesz musiała sponsorować. Grach w monopol, w których nie weźmiesz udziału. I nikt cię nie zmusi, żebyś wydeptywała Mayfairs i Park Lane. Nie, powiadasz jej stanowczo, nigdy, przenigdy... Chwiejnym krokiem wracasz do stolika. Oznajmiasz swoim przyjaciółkom, że uczeni w Piśmie mogą wiele wiedzieć o położnikach, ale ty postanowiłaś popierać nienaturalne narodziny. Na macierzyństwo można by było cię namówić tylko wtedy, gdybyś codziennie otrzymywała wyniki badania nadtwardówkowego, od momentu poczęcia do dnia, gdy dziecko skończy dwadzieścia lat. Poklepują cię z aprobatą po plecach i przyrzekają nigdy nie ustatkować się i nie mieć dzieci. Nigdy, przenigdy.

Muzyka osiąga najwyższe tony. Pośladki Mięśniaka Gordona trzęsą się jak galareta. Ściąga ostatni sznurek. Ta ekspozycja ma własną kompozycję. Patrzysz, jak jego genitalia wykonują serię popisów gimnastycznych. Penis skręca się jak łąka, potem rozciąga i kurczy niczym kawałek elastycznego tworzywa. Jeszcze

parę razy zakręcił miednicą i już po wszystkim. Publiczność popatruje po sobie.

– Rany – powiada mamuśka z klubu tenisowego Cabramatta – to lepsze niż bingo.

### *Rozbieranie się do emocjonalnych majątek*

Kup zapas coca-coli, chipsów, lodów, piwa i burgerów u McDonalda. Wejdź na bramę ogrodu botanicznego. Stań na rękach, rób młynki, udawaj lady Di. Policz swoich kochanków – przy podwójnych liczbach pamięć zawodzi. Porównuj rozmiary męskich fiutów i śmieję się histerycznie z głupich dowcipów, tłumaczących rozsądny powód stworzenia mężczyzny. Te fujary nie potrafią nawet wystawić śmieci.

Wyciągnij się pod promieniem księżyca. Tkwi w rogu nieba, jak przyrząd do obcinania paznokci u nóg. Dochodzisz do wniosku że, biorąc pod uwagę, jak bołą Julię jej wielkie piersi, kiedy biegnie, ile cierpień przysparzają kurcze menstruacyjne i poród, Bóg zdecydowanie jest facetem. Nie. Nie ma mowy, żebyś się ustatkowała i miała dzieci. Nigdy, przenigdy. Mouche by nie rodziła. Od czasów Sushi pracowała dla PLO, IRA, a teraz, kiedy wróciła do domu, wstąpiła do klasztoru – co jest kolejną formą terroryzmu i oczywiście nie ma mowy o dzieciach...

Zrób półprzytomny przegląd swego ciała. Język obrasta ci futerkiem. Syndrom Downa, żartujesz sobie. Daj spokój... To nie jest śmieszne. Wytrzeźwiej. Nagle ogarnia cię lęk przed mongolizmem. Myślisz sobie, że w miarę jak lata przelatują na biologicznym zegarze cyfrowym, rosną szanse urodzenia upośledzonego dziecka. Nagle dzwoni budzik, by wytrącić cię z drzemki.

– Jo, masz dziewiętnaście lat – ze znużeniem przypomina Julia. – Nie musisz jeszcze przejmować się mongolizmem.

Światła nadają tajemniczym kodem Morse'a na wodzie. Ten kod wywołuje u ciebie wyrzuty sumienia. W duchu już pakujesz swój krążek domaciczny na zawsze do torby z mąką.

– A może my wszystkie mogłybyśmy mieć jedno?

– Niemożliwe – Julia miażdży twoją propozycję. – A jeśli okaże się typem Edypa? – Powiedz jej, że będziecie miały dwójkę. – A jeżeli zaczną się ze sobą kłócić? – Powiedz, że trójkę. – No jasne, a potem czwarte, żeby uniknąć syndromu trzeciego dziecka.

– Ale najmłodsze dzieci – bełkocze pijacko Ro – są rozpuszczone do szpiku

kości. Co znaczy, że trzeba mieć szóste, siódme, ósme...

– Poza tym – Kenie wymawia słowa wolno, jakbym czytała z jej ust – zanudzisz znajomych na śmierć. Nic mi tak nie zamula mózgu jak rozmowa o listach przyjęć do żłobka i... pierwszych oznakach geniuszu.

Julia uroczystym tonem podaje statystyki, mówiące, że lata dwudzieste są najbardziej ekscytujące i pobudzające w życiu kobiety.

– Jesteśmy w kwiecie młodości! – krzyczy z pijacką żarliwością.

Zwracasz swojego burgera i piwo.

Twoje chwilowe odchylenie uznają za DPM: Depresję Post-McDonaldowską.

– Dlaczego miałybyśmy ustatkować się i mieć dzieci, skoro wszystkie odnosimy sukcesy, jesteśmy szczęśliwe, spełnione?

Siedzisz samotnie na wilgotnej trawie i wpatrujesz się w gwiazdy.

– Co się stało? – pyta Kerrie. – Czyżbyś wstała dzisiaj lewą nogą z czyjś łóżka?

Przyznajesz, że w zespole „INXS” nie ma saksofonisty. Soula łąka, że w pokoju dla personelu Garry zachowuje się, jakby nigdy jej nie widział.

– Nie mówiąc o tym, że z nią spał – dodaje Kerrie. Soula wyznaje, że postanowiła poślubić syna przyjaciela swego ojca, Spira, prawdziwego czarnucha ze Starego Kraju.

– A niech to – Kerrie wybucha salwą kichnięć. Podgrzewacz jej wodnego łóżka zepsuł się. Od tygodnia chodzi spać w bawełnianym półgolfie, rękawiczkach i kominiarce. – Russell przenosi się do Los Angeles z żoną i rodziną. Powiedzmy, że w tym „niefunkcjonującym” małżeństwie coś zaczęło grać.

Julia jest już teraz dobrze naoliwiona i pełna wyrzutów sumienia. Wyjawia, że działa z subtelnością łomu. To przez nią wrócił Billy.

Debbie kopnięciem ściąga buty.

– Mój intelektualista nawet się nie pojawił. – Przyznaje, że przygotowuje lunch na promocje samej siebie i prowadzi literackie dyskusje w Berowra Waters. – W łóżku nawet palcem nie kiwnie – skamle. Łzy czarnym strumyczkiem płyną przez warstwę rózu do kącika jej ust.

Ro wydobywa się z pozycji lotosu. Jęczy, że porzuciła seks dla aerobiku, wstrząsów elektrycznych i pływania i że teraz czuje się zdrowsza, inteligentniejsza, przepelniona chlorem i znudzona na śmierć.

Wszystkie dajecie nura w olimpijski basen uzalania się nad sobą. Pławicie się w nim. Razem zjadacie paczkę chipsów.

– No – mówisz reszcie – ale przynajmniej wiemy, co robić, kiedy nam się

nudzi. Napinać mięśnie pochwy! Osiemdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden, dziewięćdziesiąt dwa...

### *Śniadanie*

Śmiejecie się. Obejmujecie. Kerrie powiada, że dopadło ją zapalenie jamy ustnej. Gdy ma się zapalenie jamy ustnej, w ustach czuje się smak dupy. Ze szpilkami w rękach, maszerujecie obok galerii sztuki, koło wystaw sklepowych na Woolloomooloo, pełnych Świętych Mikołajów w kostiumach kąpielowych, w górę za błyskającym nerwowo neonem coca-coli. Oglądacie świt z Góry Krzyża, wysysając resztki piwa. Uniesione poczuciem koleżeńskiej solidarności, pijecie za „sukces”. Dzięki zaszczepionej wam ambicji, zawieracie pakt. Poruszacie się w strefie wolnej od bekania i tyłków. Pijecie za karierę, nie żłobki. Za pokoje w pensjonatach, nie za niemowlęce pupy.

– Nasze słownictwo nigdy nie będzie ograniczone do: „Łokcie ze stołu. Nie rób min, bo będzie przeciąg i już tak ci zostanie” – wykrzykuje Ro.

Zgadzasz się. Zmieniać można podpaski, nie pieluchy.

Tryskacie pewnością siebie młodych, silnych kobiet w młodym, silnym kraju. Bądźcie wdzięczne za to, że macie wszelkie przywileje feminizmu, lecz żadnych blizn z walk o nie. Poklepcie się po plecach, gdyż jesteście szczęściarami, żyjącymi w Wieku Wyborów.

Podczas śniadania w „Burbonie i Befszytku”, ziewasz w filiżankę czarnej kawy. Czujesz się wypompowana. Napięcie uszło z twojego żołądka. Może Soula ma rację. Może skończysz jako samolubny odludek, żyjący w próżni. Tyle, jeśli chodzi o Wiek Wyborów. Możesz zdecydować jedynie o tym, że nie możesz się zdecydować. To przemijająca tęsknota za dobrymi, staroświeckimi, nieskomplikowanymi dniami... gdy po prostu podnosiłaś tyłek, nie robiąc tego celowo. Zastanówcie się nad atrakcjami rodzenia: duże piersi, dzieci. Nie tylko są one wielkimi filozofami, ale też nigdy nie wpadają o północy, by skamleć o swych prawdziwych kłopotach, nie grożą podaniem do sądu ani zrobieniem kursów elektrowstrząsów.

Siedząc wokół stołu, jesteście poważnymi, wyrafinowanymi kobietami lat osiemdziesiątych. Kelner krąży wokół. Smażone kartofle, rogaliki, szynka i omlety z pomidorami.

– To jest właśnie takie dobre w naszym pokoleniu – poucza Julia, której spis potraw wsunięto pod czajnik z herbatą. – Jesteśmy stanowcze... Nie dręczą nas

wahania niezdecydowanych słabeuszy!

– Jakie chciałyby panie jajka?

Wytłumacz sobie, że sprzedawania samochodów nie wysysa się z mlekiem matki, to kwestia otoczenia. Poza tym, to naprawdę zależy od rodzaju samochodu. Używane mikrobusy z rozsuwanym dachem? – Nie ma mowy. Ale importowane porsche?

– Proszę pani?

Wzruszasz ramionami. Spoglądasz bojaźliwie. Powiedz mu: „Zapłodnione”!

Kerrie krztusi się, obryzgując sokiem pomarańczowym Soule, która gorączkowo zaczyna wycierać suknię. Rehot Debbie rozpoczyna reakcję łańcuchową. Chichot Kerrie jest zaraźliwy. Ro zanosi się teraz śmiechem. Zaciśnięte usta Julii zaczynają układać się w fałdki. Śmiech zamienia się w sapanie.

– Co was tak śmieszy? – pyta Soula. To rozbawia was wszystkie od początku. Śmiejecie się ze swoich wzajemnych śmiechów, wskazując palcami, chwytając się za brzuchy, dławiąc się, wijąc, usta szeroko otwarte, chwytacie się w objęcia, w głowie wam się kręci z zachwyty, śmiejecie się i śmiejecie, podniecone i przerażone własną hipokryzją.